KRZYSZTOF BOSAK DLA „DO RZECZY”

Sojusz z USA jest sojuszem z państwem, a nie z jego aktualnym prezydentem

Tuszowanie pedofilii przez bp. Wojtyłę? Gontarczyk o manipulacji aktami SB

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 16/676 13–19 KWIETNIA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NAGOŚĆ LUDZKIEGO CIAŁA I JEJ KULT

Profesor Wielomski o tym, dlaczego warto grać z Chinami

MANIFEST KSIĘDZA PROFESORA DARIUSZA OKO

„List biskupów” obraża i utrudnia zbawienie

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 16 >

REPUBLIKA

Więcej dyskusji o najważniejszych wydarzenia mijającego tygodnia.
Więcej gości. Więcej konfrontacji dziennikarzy z ekspertami.
Wszystko na żywo. W nowym studiu. I o nowej porze.
Dla Polski. I dla Polaków.

SALONIK ZIEMKIEWICZA

SOBOTA
16:00
w Republice

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl d22c75f697

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nie pyrrusowe, ale trumpowe zwycięstwo

Oceniając dotychczasowe osiągnięcia prezydenta Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie, należałoby, obawiam się, zacząć od utworzenia całkiem nowego języka. Faktycznie, gdyby się posługiwać tym zwykłym, wiele wypowiedzi gospodarza Białego Domu mogłoby się wydawać co najmniej osobliwymi – choćby stwierdzenie, że Irańczycy są zwierzętami i że cofnie Iran do epoki kamienia łupanego, jednocześnie ogłaszając, że celem wojny, którą zaczął razem z Izraelem, jest „uczynienie Iranu znowu wielkim" („Make Iran great again"). Na razie groźby i samochwalstwo – zniszczyliśmy irańską armię i rzuciliśmy naszych wrogów na kolana – przyniosły wielce zaskakujący skutek, czyli dwutygodniowy rozejm i uznanie, że podstawą dalszych negocjacji ma być także 10-punktowy plan Teheranu. Nigdy wcześniej zwycięzca nie godził się dyskutować z pokonanym na… warunkach przegranego. Nigdy wcześniej zwycięzca nie kończył konfliktu, pozwalając pokonanemu na więcej, niż ten miał, nim konflikt wybuchł – w tym przypadku wszystko wskazuje na to, że Donald Trump zgodził się na de facto uznanie suwerenności Iranu nad cieśniną Ormuz. Żeby było bardziej groteskowo, nadal istnieje Hamas czy Hezbollah. Doprawdy, myślę, że pora pożegnać się z dawnym, czcigodnym powiedzeniem o „pyrrusowym zwycięstwie" i zastąpić je nowszym, XXI-wiecznym, „trumpowym zwycięstwem". Choć między obu sformułowaniami jest też pewna różnica: to pierwsze opisuje faktyczne zwycięstwo, które przyniosło w rezultacie ze względu na straty własne porażkę; to drugie opisuje chełpliwą opowieść o zwycięstwie, które jest tak naprawdę rejteradą.

Teraz kilka najważniejszych wniosków. Zaczynając od Bliskiego Wschodu: na razie największym beneficjentem wojny okazuje się Iran, który to wskutek nieprzemyślanej awantury amerykańsko-izraelskiej awansował nagle do roli najważniejszego podmiotu w regionie. Jeśli zachowa kontrolę nad cieśniną Ormuz, to będzie kontrolował największe złoża surowców na świecie i stanie się, obok Chin i Rosji, kolejnym centrum władzy światowej.

Na całej awanturze najwięcej straciły państwa arabskie, sojusznicy USA. Być może to one będą musiały zapłacić Iranowi reparacje. Doprawdy, to się nazywa godny zaufania sojusznik: w chwili próby USA nie tylko nie były w stanie zapewnić swoim podopiecznym bezpieczeństwa, lecz także być może będą na nich wymuszać zapłatę za wojnę, w której szejkowie zostali poszkodowani. Cóż, są bogaci, niech płacą. A to, że nie ma to nic wspólnego ze sprawiedliwością, to już całkiem inna historia.

Nie wydaje się, żeby na konflikcie cokolwiek zyskał Izrael. Nie tylko, że nie osiągnął nic realnego, ale jeszcze ostatecznie zniszczył swój wizerunek, i to wśród dużej części Amerykanów. Najwyraźniej premier Beniamin Netanjahu się przeliczył. Czy przetrzyma tę porażkę? Trudno powiedzieć. Do tej pory cała izraelska propaganda (tak jak propaganda amerykańska) twierdziła, że wojna z Iranem i jego zniszczenie są konieczne, bo Iran jest dzisiejszym wcieleniem nazistowskich Niemiec z późnych lat 30. XX w. Trump i Netanjahu rzekomo robili to, czego nie były w stanie w 1938 r. zrobić demokracje zachodnie w Monachium. Dziś przypominanie o tych tezach propagandowych tym bardziej ośmiesza tak Izrael, jak USA.

Największym wygranym wojny okazują się Chiny, które to, praktycznie bez żadnego wysiłku i kiwnięcia palcem, zdobyły sobie wizerunek mocarstwa obliczalnego, obrońcy pokoju i równowagi światowej. Faktycznie, w porównaniu z agresywną i ognistą (by nie powiedzieć wariacką) retoryką USA głos Pekinu brzmiał spokojnie i rozsądnie. Chiny wielu dotychczasowym sojusznikom USA jawią się jako stabilny i potencjalnie atrakcyjny partner. Siła w polityce międzynarodowej nie polega bowiem na tym, by wywijać na prawo i lewo maczugą, ale na budowaniu systemu stałych aliansów i pozyskiwaniu maksymalnie wielu partnerów, którzy we współpracy będą widzieli swój interes.

W czasie ostatnich kilkudziesięciu dni wśród wielkich beneficjentów wojny była też Rosja. Nie tylko, że dzięki skokowemu wzrostowi cen ropy zarobiła na wojnie krocie, lecz także doprowadziła do znacznego ograniczenia sankcji. Zresztą wydaje się, że postępowanie Donalda Trumpa w ogóle skompromitowało pojęcie sankcji. Do tej pory Zachód mógł je nakładać na Rosję, twierdząc, że atakując Ukrainę, złamała ona reguły prawa międzynarodowego. Jak można dziś bronić tego stanowiska i przechodzić do porządku dziennego nad sytuacją, w której to lider wolnego świata i orędownik sankcji łamie sam wszelkie możliwe reguły współżycia między narodami?

Trudno powiedzieć, na ile obecny rozejm będzie trwały. Dziewięć miesięcy temu Donald Trump też ogłosił wiekuisty pokój i wspaniały sukces. Czy obecne porozumienie przetrwa dłużej? Trudno mi w to uwierzyć, biorąc pod uwagę prosty fakt, a mianowicie niezaspokojone i nieokiełznane apetyty Izraela. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

TEMAT TYGODNIA

14 KS. DARIUSZ OKO
„LIST BISKUPÓW" OBRAŻA I UTRUDNIA ZBAWIENIE
Episkopat zawiódł wiernych

KRAJ

20 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM
SOJUSZ Z USA JEST SOJUSZEM Z PAŃSTWEM, A NIE Z JEGO AKTUALNYM PREZYDENTEM
Nie czas na politykę wielowektorową

23 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GRA POZA PLANSZĄ. BEZPRAWIE W PAŃSTWIE TUSKA

26 PIOTR SEMKA
GRZEGORZ ROSSOLIŃSKI-LIEBE: PRZYPADEK PEWNEJ KARIERY

29 PIOTR GONTARCZYK
TUSZOWANIE PEDOFILII PRZEZ BP. WOJTYŁĘ? ANATOMIA MANIPULACJI AKTAMI SB

32 RADOSŁAW WOJTAS
NFZ ZNÓW TNIE

34 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
EKSCENTRYK Z ŁODZI

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
NAGOŚĆ LUDZKIEGO CIAŁA I JEJ KULT
Od zgorszenia do podziwu

39 GRZEGORZ KONDRASIUK
SZTUKA I ZABIJANIE

40 PIOTR GOCIEK
BAŚNIE PORWANE

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 ADAM WIELOMSKI
DLACZEGO WARTO GRAĆ Z CHINAMI
Polska mogła być chińskim hubem w UE

49 PIOTR CIOMPA
HETKA-PĘTELKA DLA MOCARSTW

52 FILIP MEMCHES
„GIEDROYCIOWCY" PRZECIW GIEDROYCIOWI

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
LEON XIV TO KONTYNUACJA

HISTORIA

56 BARBARA STANISŁAWCZYK
ROSYJSCY „APOSTOŁOWIE" HEREZJI
Fragment książki „Bękarci judaizmu"

ŚWIAT

60 JACEK PRZYBYLSKI
„PAPIEROWE" NATO
Co naprawdę zamierza Donald Trump?

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
ASTANA MOSKWIE WCIĄŻ WIERZY

66 ROZMOWA Z MICHAŁEM BRUSZEWSKIM
EUROKALIFAT ZAMIAST EUROISLAMU

EKONOMIA

70 ŁUKASZ WARZECHA
DŁUG PUBLICZNY – DŁUG KOSMICZNY
Polskie problemy z budżetem

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
KOBIETA Z BRODĄ
Erozja ról męskich i żeńskich

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl d22c75f697

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Tomasz Hołod/Polska Press/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Pierwsze świadectwo wiary", Paweł Lisicki, „DRz" 14/2026

Szanowny Panie Redaktorze, Droga Redakcjo,
pragnę złożyć wyrazy najgłębszego uznania dla redaktora naczelnego Pawła Lisickiego, autora eseju opartego na książce „Prawdziwie Zmartwychwstał. Śledztwo w sprawie najważniejszego wydarzenia w historii". Opublikowany tekst to nie tylko znakomity przykład rzetelnej apologetyki, lecz także intelektualna uczta, która przywraca należne miejsce logice i faktom w dyskursie historyczno-teologicznym.

Autor nie tylko skutecznie broni prawdy historycznej, lecz także dowodzi, że ortodoksyjna wiara doskonale radzi sobie w konfrontacji z najsurowszymi wymogami rozumu. Przekaz jest niezwykle spójny, a skomplikowane zawiłości egzegetyczne zostały podane w sposób fascynujący i zrozumiały.

Gratuluję Redakcji publikacji tak wybitnego materiału, a red. Lisickiemu dziękuję za ogrom włożonej pracy. Z niecierpliwością oczekuję kolejnych tekstów, które z równą odwagą i kompetencją będą bronić chrześcijańskiego dziedzictwa.

Z poważaniem
Anna, Łódź

Boki zrywać!

Szanowna Redakcjo,
[...] pan minister Sikorski udowodnił, że zarządzanie dyplomacją w czasach globalnych napięć to nie tylko ciężka praca, lecz także doskonała okazja do uprawiania stand-upu na poziomie wczesnego gimnazjum. Primaaprilisowe żarciki o nominacjach ambasadorskich podpisanych rzekomo przez prezydenta są doprawdy wyborne. Boki zrywać. Dobrze wiedzieć, że szef MSZ ma czas, chęci i przestrzeń na radosne „trollowanie" w serwisie X. Kto by się tam przejmował powagą urzędu czy prestiżem polskiego korpusu zagranicznego, gdy można zebrać trochę wirtualnych zasięgów?

Jednak to nie minister jest największą gwiazdą tego żenującego spektaklu, lecz nasze niezastąpione media informacyjne – ze stacjami telewizyjnymi na czele. Mówimy tu o tych samych redakcjach, które na co dzień z namaszczeniem wygłaszają moralizatorskie kazania o walce z dezinformacją i zagrożeniach płynących z sieci. O tych samych strażnikach jedynej słusznej narracji, którzy z lubością filtrują rzeczywistość, na każdym kroku decydując za nas, szarych obywateli, co jest „fejkiem", komu ufać, co wolno mówić, a co powinno być ocenzurowane w imię wyższego dobra.

I oto ci sami tytani weryfikacji faktów, owi samozwańczy arbitrzy prawdy, na widok jednego – umówmy się, wysoce niewyszukanego – wpisu polityka łykają haczyk, spławik i pół wędki. Bez mrugnięcia okiem, bez jednego telefonu do rzecznika i bez cienia analitycznej refleksji puszczają ową rewelację na paskach jako breaking news.

Trudno o piękniejszą kompromitację i celniejsze podsumowanie kondycji dzisiejszego dziennikarstwa politycznego [...].

Z poważaniem
Jan Grabarczyk

Efekt odwrotny

[...] decyzja o wprowadzeniu przymusu uczęszczania uczniów na tzw. edukację zdrowotną będzie miała efekt dokładnie odwrotny do zamierzonego. Przymus i narzucanie kontrowersyjnych treści „odgórnie" nie zbuduje świadomości zdrowotnej, lecz wywoła potężny opór społeczny. Zamiast dialogu otrzymujemy dyktat. Mydli nam się oczy, że nie będzie tam treści światopoglądowych, ale znając nasz rząd, trudno w to wierzyć.
Jako rodzice nie damy się zmarginalizować. To my, a nie urzędnicy z Warszawy, jesteśmy odpowiedzialni za formowanie kręgosłupa moralnego naszych dzieci. Jeśli resort Barbary Nowackiej myśli, że obowiązkowość przedmiotu zamknie nam usta, to jest w głębokim błędzie. Taka arogancja władzy tylko motywuje nas do większej czujności i ochrony naszych rodzin przed ideologicznym walcem [...].

Anna D.

eprasa.pl d22c75f697

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Z zimną krwią

Ale nie ma prezydenta" – ten okrzyk posła Łukasza Kmity przejdzie do historii polskiego Sejmu. Tak poseł PiS zareagował na kłamliwe deklaracje, że parodia zaprzysiężenia kandydatów na sędziów Trybunału Konstytucyjnego odbywać się ma rzekomo „wobec prezydenta".

Najlepszym dowodem na to, że całej tej prawniczej mistyfikacji nie traktują serio nawet sami liderzy Koalicji Obywatelskiej, była nieobecność w Sejmie Donalda Tuska i ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka. Gdyby byli pewni, że ten dziwaczny, uzurpacyjny show w Sejmie zakończy się dobrze, z chęcią pozowaliby razem z Włodzimierzem Czarzastym do zdjęć. Ale nie. Tusk zostawił ten „numer na rympał" do wykonania czerwonemu marszałkowi Sejmu. A ten aspirując do roli idola „silnych razem" z ochotą podjął się tej politycznej brudnej roboty.

Tusk upiekł więc parę pieczeni na jednym ogniu. Po raz kolejny użył swej ulubionej broni – ostrej politycznej polaryzacji. Im gorzej stoi w sondażach, tym chętniej sięga po tę niszczącą państwo broń. Przy okazji przetestował kolejny raz koalicjantów. PSL wzywa do resetu konstytucyjnego, ale gdy przyszedł moment weryfikacji, pokornie przyjął do wiadomości sejmową szopkę.

Sławomir Mentzen znów pokazał, że odwraca się plecami do prezydenta. Tak było, gdy zaatakował kontrprojekt Karola Nawrockiego w sprawie SAFE. Teraz lider Konfederacji skrytykował głowę państwa, że posłusznie nie przybyła do Sejmu i nie zaprzysiężyła kandydatów Sejmu do TK. „PO i PiS na potrzeby partyjnej nawalanki rozwalają kolejne instytucje naszego państwa. Mam dość jednych i drugich. Nie mogę się doczekać dnia, że wyborcy was w końcu pogonią i zaczniemy budować normalne państwo". Formalnie brzmi to jak odrzucenie obu największych sondażowo partii, faktycznie jest to prezent dla Tuska. Bo z kim chce Mentzen budować to normalne państwo, jeśli już dziś odrzuca PiS? Sam? Tylko z Koroną?

Wróćmy do podstawowej kwestii. Czy prezydent miał obowiązek zaprzysiąc wybranych przez Sejm kandydatów na członków TK? Nie, nie miał. Wybrano wyłącznie kandydatów koalicji, co zdradza chęć zabetonowania TK kandydatami tylko jednej opcji. Trudno wymagać od głowy państwa akceptacji takiego manewru.

Kampanie prezydenckie są w Polsce tak ostre i zażarte, bo urząd głowy państwa posiada liczne prerogatywy. Takie jak np. decyzja, czy zalegalizować wybór danego kandydata Sejmu do TK swoim podpisem. Gdyby prawie rok temu wygrał Rafał Trzaskowski, a PiS miałby w Sejmie większość i wybrałby tylko kandydatów ze swego obozu, prawnicze „autorytety" wzywałyby gospodarza Belwederu do zablokowania takiego zawłaszczania Trybunału.

Ale skoro w opinii liberalnych elit wygrał „nie ten co trzeba", to Koalicja 13 grudnia walczy poprzez bezprawne opiłowywanie kompetencji Karola Nawrockiego. I to o niego dziś idzie gra. To jego Tusk próbuje od ośmiu miesięcy odzierać z kompetencji i prestiżu. To, jaki będzie prestiż Trybunału Konstytucyjnego, obchodzi Tuska znacznie mniej. ©℗

JACEK MAGIERA NIE ŻYJE

W piątek zmarł Jacek Magiera. Szkoleniowiec pełnił rolę drugiego trenera piłkarskiej reprezentacji Polski w sztabie Jana Urbana. W przeszłości był związany m.in. z Legią Warszawa. Pracował także jako trener w takich klubach jak Zagłębie Sosnowiec czy Śląsk Wrocław. Jak poinformowało Radio Wrocław, trener zasłabł podczas treningu biegowego. Został szybko przewieziony do Wojskowego Szpitala Klinicznego, ale jego życia nie udało się uratować. Miał 49 lat. ***(jap)*** ©℗

FOT. JONATHAN ERNST-POOL/GETTY IMAGES

TRUMP URATUJE VIKTORA ORBÁNA?

– Kocham Viktora, jestem po jego stronie. Stany Zjednoczone są z nim – tymi słowami do fanów węgierskiego premiera zwrócił się przez telefon prezydent Donald Trump, do którego podczas wiecu w Budapeszcie zadzwonił wiceprezydent USA. – Macie wybór. Albo ugniecie się przed tyranią, albo dumnie powstaniecie ze św. Stefanem i wybierzecie prawdziwego lidera – zwrócił się do Węgrów J.D. Vance przed wyborami parlamentarnymi zaplanowanymi na 12 kwietnia. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl d22c75f697

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Na początek ważny komunikat. Mamy znajomego notariusza. A tenże notariusz ma uprawnienia. Gdyby więc ktoś potrzebował zaprzysiąc sobie jakiegoś sędziego Trybunału Konstytucyjnego albo prezydenta Albanii, to zapraszamy. My już dostaliśmy od naszego notariusza po Noblu z literatury i po Pulitzerze za dziennikarstwo śledcze. Konkretne propozycje od ludzi w potrzebie prosimy przesyłać na adres redakcji. Na zamówienia hurtowe (od czterech zaprzysiężonych w górę) korzystne zniżki.

Zgodnie z naszymi wcześniejszymi doniesieniami okazało się, że podpisów pod wnioskiem o referendum w Krakowie wystarczyło, więc głosowanie nad odwołaniem prezydenta miasta się odbędzie. Co oczywiście nas cieszy, gdyż popieramy demokrację. Taką normalną, nie warczącą. Natomiast w sumie nie rozumiemy jednej rzeczy: czy Platforma Obywatelska, czy jak tam się teraz oni nazywają, nie może po prostu wskazać kogoś w miejsce Aleksandra Miszalskiego i go sobie zaprzysiąc? Jakby co, to mamy znajomego notariusza. Ale, zdaje się, Wołodia Czarzasty też ma, ostatnio zlecał mu jakąś fuchę w Sejmie.

Zanim Kraków zostanie wzięty, oczekujemy upadku Moskwy. A może już nastąpił? Taka w każdym razie była nasza myśl, kiedy wkroczyliśmy na pewną konserwatywną imprezę, która odbywała się na warszawskim Mokotowie. Naszym oczom ukazał się bowiem wówczas nie kto inny jak sam Adam Słomka, od kilku już lat niewidywany. A konkretnie od wybuchu wojny na Ukrainie. Wówczas to Słomka udawał się walczyć na Dzikie Pola, zapowiadając, że wróci dopiero, kiedy Moskwa zostanie podbita.

Musimy powiedzieć jasno i wyraźnie: wierzymy Mateuszowi Morawieckiemu. Zwłaszcza gdy mówi, że jego nowe stowarzyszenie nie będzie nigdy żadną partią polityczną i nie ma nic wspólnego z polityką. Nasza wiara oparta jest na solidnych podstawach. Wierzyliśmy bowiem równie mocno Ryszardowi Petru, gdy powoływał Stowarzyszenie Nowoczesna.PL. Oraz Szymonowi Hołowni, gdy powoływał Stowarzyszenie Polska 2050. Dlaczego nie mielibyśmy więc wierzyć i teraz?

Umknęła nam przed świętami w zamieszaniu sprawunków wiadomość o nagim czarnoskórym mężczyźnie, który przechadzał się nocą po moście w Toruniu oraz wystraszył kobietę, która musiała salwować się ucieczką i schronić w taksówce. Już się niepokoiliśmy, serio. Na szczęście komunikat policji objaśnił, że kawałek o kobiecie i taksówce mija się z prawdą. Odetchnęliśmy z ulgą. Gdyż co do reszty – czym się tu przejmować? Któż z nas nie spotkał w nocy na moście przechadzającego się nagiego czarnoskórego mężczyzny?

Dziwi nas hejt na powrót Stana Tymińskiego do polskiej polityki. My powitaliśmy ten fakt z uśmiechem pełnym wyrozumiałości. Ale może to dlatego, że mamy zbyt wielu kumpli w świecie służb. Jeden z nich komentując powrót Stana, też uśmiechnął się ciepło i błysnął maksymą: „Nie ma czegoś takiego, jak zasób zbyt stary, by go użyć". Tak, słowo „zasób" ma w tym świecie konkretne znaczenie. Myślcie w kierunku sformułowania „zasób osobowy".

Tak czy inaczej, powrót Stana stał się dla nas okazją do ponownej lektury jego słynnej książki „Święte psy", napisanej i wydanej przez Stanisława Tymińskiego w czasie kampanii prezydenckiej. Znaczy napisanej głównie przez Romana Samsela, weterana PZPR i „Trybuny Ludu". Który potem się nawrócił, kiedy Tymiński powiesił go na krzyżu. Dosłownie, ale to inna historia. W książce jest dużo o wolnym rynku i o Bogu. Nam podczas lektury przypomniała się inna maksyma ludzi ze świata służb: „Najbardziej pożyteczni są ci, co wierzą w to, co mówią".

Powiedzmy wprost: jest kłopot. Z Trumpem. Nasze europejskie wiewiórki informują, że kierownictwo takiej np. Alternative für Deutschland wydało swoim członkom zakaz jakiegokolwiek publicznego miziania się z wysłannikami prezydenta USA czy nie daj Boże, przychylnego wypowiadania się o jego polityce. Gdyż każdy taki akt obniża aktualnie notowania partii, która to czyni. Widzimy tu diabelską alternatywę dla polskiej prawicy. Z jednej strony wypadałoby, patrząc na nastroje elektoratów, zrobić podobnie. Z drugiej – jak wybrnąć z tego, że robi się to samo, co Alternative für Deutschland?

Nie wiemy, co zrobi cała polska prawica, ale wiemy, co zrobili Sławomir Mentzen oraz Dawid Jackiewicz. Otóż spotkali się. A z tego spotkania wynikł był ciekawy konkret. Otóż lider Konfederacji oraz były minister skarbu w rządzie PiS ustalili, że ten ostatni (dla mniej orientowanych: to właśnie Dawid Jackiewicz) będzie kandydował do Senatu. Jako kandydat Konfederacji właśnie.

Jak wiecie, przyglądamy się uważnie przygotowaniom do układania list wyborczych. Na razie wygląda to tak: ludzie od Mentzena i Bosaka chcą kandydować z list Brauna. Ludzie PiS chcą kandydować z list Mentzena i Bosaka. Pozostaje pytanie, czy ktoś jeszcze chce kandydować z list PiS.

Z mediów. Tuż przed weekendem pojawiła się publikacja na Wirtualnej Polsce o pewnej Rosjance z francuskim paszportem, która w Liechtensteinie pracowała dla Giertycha. Cóż, zdradzimy, że sprawa ta była znana już za rządów PiS. A konkretnie wpadli na nią funkcjonariusze CBA prześwietlający najdłuższego polskiego mecenasa. Agentom biura Rosjanka z daleka zalatywała nieładnie, jednak nie mogli nic zrobić, gdyż ustawa o CBA nie daje im prawa zajmowania się zbrodnią szpiegostwa. Z tego powodu sprawę przekazano do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która zgodnie z ustawą zajmuje się kontrwywiadem. Ta jednak ową sprawę olała. Dopisujemy więc tę kwestię do długiej listy zbrodni PiS. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Lokomotywa na cukier

Dwie wiadomości o Niemczech zaczerpnięte z mediów biznesowych. Pierwsza – wyciekły konkluzje audytu, który zarząd koncernu Volkswagen zlecił firmie doradczej McKinsey. Mówiąc ogólnikowo i krótko, kondycja Volkswagena jest opłakana. McKinsey rekomenduje szybkie zamknięcie ośmiu z dziesięciu zlokalizowanych w Niemczech fabryk, bynajmniej nie gwarantując, że to wystarczy. Oprócz gwałtownego cięcia kosztów trzeba jeszcze znaczących inwestycji w nowe produkty, bo te, które miały zawojować rynki zagraniczne, sromotnie przegrały w swoich kategoriach z analogicznymi samochodami chińskimi.

Druga: analitycy Commerzbanku alarmują, że plan ratowania gospodarki przez wpompowanie w nią biliona euro nie daje spodziewanych rezultatów, ponieważ dotacje są alokowane w podtrzymywanie konsumpcji i transfery socjalne, a nie w inwestycje, które dawałyby szanse na odzyskanie konkurencyjności na światowych rynkach, a bodaj nawet tylko na rynku unijnym. Zauważmy, że już sam ten plan jest jednym z wielu dowodów, że Unia Europejska tak naprawdę przestała istnieć: jak można mówić o wspólnym obszarze gospodarczym, jeśli jedna z unijnych gospodarek, ta największa, dostaje tak gigantyczne wsparcie publiczne? Mądrze użyte mogłoby ono doprowadzić do serii przejęć przez Niemców podmiotów z mniejszych unijnych krajów i taki był faktycznie cel programu, słabo maskowany frazesami ministra Habecka, że silne, doinwestowane Niemcy pociągną za sobą całą Europę. Szczęściem dla nas wszystkie dostępne środki idą na razie na oddalanie politycznej katastrofy – jak w upadającym PRL z czasów Rakowskiego.

Eksperci ukuli na tę sytuację określenie „sugar rush" – zastrzyk cukru. Zastrzyk, który dodaje energii na jakiś czas, ale kiedy cukier już zostanie spalony, wszystko znów będzie, jak było. Niemiecka lokomotywa wciąż dymi i hałasuje, ale to sztucznie podtrzymywane pozory. Dodajmy, że oba raporty zrobiono jeszcze przed zablokowaniem cieśniny Ormuz, które skokowo podniosło ceny energii. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

4 razy „nie"

W związku z prośbą, czy też sugestią, zawartą w Liście KEP, by 13 kwietnia, w 40. rocznicę, gdy Jan Paweł II „po raz pierwszy od czasów apostolskich przekroczył próg żydowskiego domu modlitwy", odwiedzić synagogę, jeden z proboszczów zwrócił się z zapytaniem do kurii:

1. Czy Wydział Duszpasterski ma jakieś sugestie, zalecenia, dotyczące sposobu przeprowadzenia takiej wizyty przez grupę wiernych z parafii?

2. Czy jest w posiadaniu listy synagog, które można by odwiedzić [...]?

3. Czy jest w posiadaniu spisu osób do kontaktu, z którymi można by ustalić taką wizytę?

4. Czy być może nasi Księża Biskupi planują na ten dzień wizytę w synagodze i można by to uczynić wspólnie z nimi lub też grupą z Kurii lub Seminarium?

Dalej ksiądz zaznacza, że rozważa właśnie przeprowadzenie takiej wizyty z grupą wiernych z parafii.

Jeszcze tego samego dnia przyszła odpowiedź z Kurii:

„W odpowiedzi na Księdza pytania informuję, co następuje:

Ad. 1 – Nie;

Ad. 2 – Nie;

Ad. 3 – Nie;

Ad. 4 – Nie posiadam takiej wiedzy.

[…] dyrektor Wydziału Duszpasterskiego".

Znam autora zapytań, wiem, że jego list był swoistym testem. Fakt jego wysłania i zdawkowa odpowiedź Kurii pokazują, jak dalece inicjatywa KEP była odklejona od naszych realiów. Redakcja PCh24.pl próbowała ustalić, kto był autorem listu KEP i czy treść była poddana pod głosowanie. W odpowiedzi uzyskano tylko informacje, że treść listu przyjęto w tajnym głosowaniu. Teraz okazuje się, że autorstwo listu przypisuje sobie s. Katarzyna Kowalska ze zgromadzenia Notre Dame de Sion – jak sama o sobie mówi: teolożka katolicka, religioznawczyni, z Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów. Szkoda, że dowiedziałem się tak późno, bo zapytania proboszcza można by wysłać właśnie do niej. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

ĆWIERKOT

Bezkarność umarlaków

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Prawo jednak działa, i to szybko, tyle że w Kłodzku. Stop. W ostatnich wyborach samorządowych w tym mieście podpisy dla Koalicji Obywatelskiej zbierała niesłynna Kamila L. skazana na sześć i pół roku za zoofilię i pedofilię. Stop. Okazało się, że zbierała nawet od nieżywych, bo na liście podpisało się jej 50 nieboszczyków. Stop. Prokuratura wszczęła śledztwo, ale umorzyła już po pięciu miesiącach. Stop. W sumie czy można winić umarlaków, że się podpisują, i na co takiego skazać?

Augiaszowy bałagan z sędziami Trybunału Konstytucyjnego próbował obiektywnie i esencjonalnie wyjaśnić Paweł Musiałek z Klubu Jagiellońskiego. Stop. Przytoczę w całości, bo warto: „Kto ma rację w sporze o TK? To bardzo proste: Ślubowanie sędziów TK przed Sejmem jest nielegalną odpowiedzią na nielegalne odmówienie przyjęcia ślubowania przez Prezydenta, będące odpowiedzią na nielegalne zwlekanie przez Sejm z powoływaniem wakatów w TK, będące następstwem nielegalnego nieuznania przez Sejm całego TK, będącego efektem nielegalnego zaprzysiężenia nadmiarowych sędziów przez Sejm poprzedniej kadencji i zignorowanie wyroku TK w tej sprawie, będącego następstwem nielegalnego zaprzysiężenia sędziów przez jeszcze wcześniejszą kadencję Sejmu. Czego nie rozumiecie?”. Stop.

Lewaczka na stanowisku ministra edukacji Barbara Nowacka przez rok testowała, czy dzieci i rodzice chcą mieć nikomu niepotrzebny przedmiot edukacja zdrowotna. Stop. Ponieważ dzieciaki miały przedmiot w głębokim niezainteresowaniu, średnio tylko 30 proc. zapisało się na nieobowiązkowe zajęcia, a w liceach zaledwie co 10. pozwalał, aby wtłaczano mu przemycaną papkę ideową, Basia nasza kochana podjęła decyzję: W nowym roku ten przedmiot będzie obowiązkowy. Stop. I co? Łyso wam?

Profil „Służby w akcji” podał, że „Analityk z ABW, który wykrył Pawła Rubcowa, rosyjskiego szpiega GRU, obecnie pracuje w urzędzie za minimalną krajową. Inny został portierem”. Stop. Przypomnijmy, że Rubcow udawał w Polsce przez lata hiszpańskiego dziennikarza Gonzáleza, zbierał informacje i dziennikarki do sztambucha, paru gejów broniło go po zatrzymaniu zajadle, niczym tęczy na Placu Zbawiciela. Stop. Rubcow okazał się dla Rosjan tak cenny, że na lotnisku w Moskwie witał go sam Putin. Stop. Cóż, degradacje dla zasłużonych analityków to wyraźny sygnał od ludzi Tuska, którzy dają służbom do zrozumienia, gdzie i kogo nie szukać. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

BEZ TAKICH PYTAŃ

Co można kupić za 65 tys.? Na pewno samochód, to też spora część wkładu własnego pod kredyt mieszkaniowy; dobra poduszka finansowa w razie zwolnienia. Opcji jest wiele. Są jednak na tym świecie ludzie, którzy postanawiają przeznaczyć taką kwotę na „mentoring", czyli psychoduchowe prowadzenie. Tego rodzaju usługi oferuje Riya Sokół (vel Pati Sokół, kiedyś wokalistka). W podcaście Julii Izmałkowej padło zasadne pytanie: Co obiecuje „mentorka" swoim klientom? – Nic nie obiecuję. Dlatego mówię, że ty nie rozumiesz, co to jest mentoring – rzuciła w stronę prowadzącej. – Ja niczego tam nie obiecuję [...]. To nie jest obietnica niczego, bo tam trafiają osoby, które mnie już znają, które ze mną bardzo dużo przeżyły, mają własne doświadczenie i wiedzą, czego mają się spodziewać po mnie – odparła Riya. Wywiad sprowadził na Sokół sporo krytyki. Ona jednak, jak to „spirytualna przewodniczka", widzi dalej i głębiej. Jej zdaniem Izmałkowa „robi dramę" i była nieprzygotowana do rozmowy. „Czułam się ztriggerowana [poruszona, sprowokowana – przyp. red.]. Czułam, że nie chodzi o to, aby faktycznie się dowiedzieć i zainspirować, tylko żeby zrobić dramę. Rozumiem, że wtedy są lepsze wyświetlenia, ale ja też mam dobre – bazując na wspieraniu kobiet, a nie dzieląc już i tak podzielony kraj. Lubiłam Julię i uważałam, że jest bardzo inteligentną osobą, ale jeśli od ponad roku zadaje wciąż te same pytania, tylko w ostrzejszej formie, pod przykrywką »pytań konfrontacyjnych« – to ja już nie mam na to zgody" – stwierdziła. „Nie mam zgody, aby ktoś obrażał moich klientów i publiczność. Nie mam zgody, aby na Whatsappie i poza kamerami udawać kogoś innego, a przed – grać w jakąś niezrozumiałą dla mnie grę. Nie mam zgody na to, aby podważać ciężką pracę moją i moich ludzi oraz nasze ogromne zmiany" – przekazała na Instagramie. „Byłam też ztriggerowana nieprzygotowaniem się do wywiadu (co wyszło kilka razy w jego trakcie). Brak wiedzy na mój temat, moich treści, treści mojej książki – którą podobno prowadząca przeczytała. Nie chciałam wypuszczać tej rozmowy" – przyznała na koniec. Najlepsze jest to, że nadal nie wiadomo, co oznacza „mentoring za 65 tys. zł".

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

FITNAZWISKO

Co prawda, prima aprilis już dawno za nami, ale klimat nadal unosi się w powietrzu. Wszystko za sprawą fitinfluencerów, Pameli Stefanowicz i Mateusza Janusza. Popularna w sieci para, znana z promowania sportowego stylu życia, jakiś czas temu się pobrała i spodziewa się teraz dziecka. Działają pod marką Fit Lovers. Małżonkowie wyznali, że aby jeszcze bardziej podkreślić swoją tożsamość, chcieli zmienić swoje nazwisko na... Fitlovers. Jak przyznała Pamela, wynika to z tego, że zazwyczaj i tak nazywa się ich po prostu Fitlovers, bez używania prawdziwego nazwiska. – Chcieliśmy mieć swoje własne nazwisko związane z naszą tożsamością. Niestety, praktycznie przez cały rok nie udało się. Chcieliśmy zmienić nazwisko na... Fitlovers. Wiem, to ludziom może się wydawać śmieszne, ale prawda jest taka, że wszyscy do nas mówią Fitlovers [...]. Chcieliśmy mieć po prostu własne nazwisko, własną drogę zbudować. Państwo Fitlovers – wyznała Stefanowicz w rozmowie z portalem Kozaczek. Narzekanie na urzędy to stara polska tradycja, ale tym razem brawa do urzędników. „Bobas Fitlover(s)" – przyznają państwo, że ma dziecko szczęście.

KAMEROM STOP!

W Internecie, na czerwonym dywanie, na drodze. Wszędzie tam celebryci czują się „nadzwyczajną kastą". To ostatnie dokumentuje kanał „Konfitura", który publikuje na YouTube nagrania ukazujące łamanie przepisów w Warszawie. Niedawno na kanale ukazało się wideo z Edytą Pazurą w roli głównej – w okolicy jednej ze stołecznych szkół. Żona Cezarego Pazury odniosła się do publikacji. Przyznała, że faktycznie zaparkowała na chodniku, i zapewniła, że tego nie powtórzy. Jednocześnie wyraziła sprzeciw wobec działalności samozwańczego strażnika, który, jak wskazała, nagrywa dzieci i pokazuje adresy ich szkół. „Było pytanie, »czy lubię jeździć po chodnikach«. Nie, nie lubię i nie jeżdżę, zaparkowałam na chodniku – tak, źle. Przeprosiłam, przyjęłam do wiadomości, że nie będę tak parkować [...]. Nie żałuję jednak, mimo że zbiegło się tutaj stado żołnierzy, wyzywając mnie od najgorszych – trudno, przeżyję. Dlaczego?" – rozpoczęła Pazura. „Dlatego że nasze dzieci oraz my jesteśmy dzień w dzień nagrywani. Niektóre relacje na żywo pokazują twarze tych dzieci oraz adresy placówek (mamy screeny). Nie zgadzam się, aby ktoś chronił swoje prawa, tym samym łamiąc prawa innych. Nie jesteśmy w niczym lepsi od innych, ale gorsi też nie. Można to parkowanie zgłosić odpowiednim służbom, zrobić zdjęcia, ale to codzienne podchodzenie pod placówki stresuje przede wszystkim dzieci, które nie wiedzą, co się dzieje, a jeszcze często dochodzi do awantur, które już są nie do zniesienia" – napisała Pazura. Po publikacji serii wpisów twórca kanału „Konfitura" pokazał dłuższe nagranie z awanturującą się przed szkołą celebrytką. „Dla pani Edyty nagrywanie wykroczeń i zwracanie uwagi kierowcom jest niedopuszczalne. Z tego powodu zasugerowała w przestrzeni publicznej, że mogę być pedofilem [...]. Pani Edyta zapewniła również, że dzisiaj zaparkowała prawidłowo. Zapomniała jednak wspomnieć, że w inne dni zdarza jej się jeździć po chodniku [...]. Jazda po chodniku jest wyjątkowo niebezpieczna i nieodpowiedzialna. Rodzice z tego powodu boją się puszczać swoje dzieci do szkoły na piechotę" – stwierdził. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, tyle się dzieje w sprawach międzynarodowych, iż nie wiemy, od czego zacząć. We wtorek kładliśmy się spać pełni napięcia, czy przypadkiem w nocy nie nastąpi armagedon zgodnie z zapowiedziami Trumpa, że zniszczy całą cywilizację, a już w środę co prawda się okazało, iż końca świata co prawda nie ma i musimy iść do korpo podsumować Q1 (najgorzej), ale za to może się okazać, iż będziemy mieć koniec NATO, jakie znamy.

Otósh Trump zagroził, iż Ameryka wyjdzie z NATO, gdyż NATO w czasie próby go zawiodło. I tak sobie myślimy, mówiąc szczerze, iż NATO się bez Ameryki Trumpa doskonale obejdzie i być może jest to kolejny wyimaginowany problem, który tak naprawdę – przy odrobinie dobrej woli i strategicznego, pozytywnego podejścia – może się okazać szansą.

Otósh NATO, jak sami wiecie, jest sojuszem wojskowym, który siłą rzeczy jest mocno zorientowany militarnie, zmusza państwa członkowskie do wydatków na zbrojenia, zwiększania PKB poświęconego na ten cel, a jeszcze w dodatku zdarza się, iż w państwach członkowskich żołnierze chodzą po ulicach i wywołują w nas nieprzyjemne odczucia.

Wydaje nam się, że przy odpowiednim nastawieniu środowiska międzynarodowego dałoby się unowocześnić NATO, nie w zakresie militarnym, jakichś dronów i deep techów, ale w zakresie umiejętności komunikacyjnych, których tak generalnie brakuje we współczesnym świecie. Zamiast przepalać tony hajsu na rakietę, która wybuchnie i elo – już jej nie ma, możemy ćwiczyć kompetencje miękkie, które u kursantów zostaną już na zawsze i w dalszej perspektywie przyczynią się do rozwiązywania konfliktów i sporów za pomocą np. komunikacji non-violence.

I tak sobie myślimy, że może to jest właśnie ten moment dziejowy, w którym ludzkość wreszcie dojrzeje i zrozumie, że zamiast kolejnej eskalacji, wyścigu zbrojeń i nerwowego analizowania, kto ma większy przycisk, powinniśmy usiąść w kręgu, nazwać swoje emocje i powiedzieć: „Czuję lęk, gdy planujesz wyeliminować mojego przywódcę, w zamian potrzebuję bezpieczeństwa i wzajemnego szacunku".

Oczywiście poza wielką geopolityką ważne rzeczy dzieją się także w tym kraju i mamy tu na myśli, kochani, system kaucyjny, który okazuje się nie tylko rządowym masterpiece w zakresie recyklingu, walki z zanieczyszczeniami i odzyskiwania surowców.

Otósh pod przykrywką rozwiązań proekologicznych mamy tu rozwiązanie, które wymiernie podnosi stopę życiową Polaków, zwłaszcza tych z mniejszych ośrodków, do których z powodu niedoboru kompetencji nie zgłaszają się wielkie korporacje.

Otósh – jak donoszą media – system kaucyjny jest także „szansą" dla tych mieszkańców tego kraju, którzy dzięki niemu mogą zarobić sobie nawet kilkaset złotych. Widzicie – nie trzeba żadnych kwot wolnych od podatku, żadnego podwyższania drugiego progu ani nic. Mamy tu subtelne rozwiązania, dzięki którym rząd szepcze: jestem tu dla was, działam, pomagam, chociaż czasami tego nie dostrzegacie ani nie rozumiecie.

Serio, podziwiamy tę próbę budowania nowoczesnego państwa dobrobytu, które zamiast rozdawać pieniądze wprost, tworzy sprytne, angażujące mechanizmy grywalizacyjne, w których obywatel sam, z własnej inicjatywy i przy odrobinie ruchu na świeżym powietrzu może sobie ten dobrobyt wypracować, zbierając rozproszone po przestrzeni publicznej mikroaktywa. I może w tym właśnie tkwi pewna elegancja tego rozwiązania, że państwo niczego nie musi nikomu tłumaczyć ani obiecywać, tylko delikatnie projektuje rzeczywistość, tak abyśmy wszyscy stawali się bardziej zaradni! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Sędziowie

Marcin, tych sędziów to trzeba jakoś wprowadzić do budynku.
Spokojna głowa, Donek. Już zadysponowałem na jutro kontrterrorystów. O piątej rano wjedziemy.

Ale sędziowie wiedzą?
No... Do jednego dzwoniłem na razie.

I?
Powiedział, że on tak wcześnie nie wstaje.

Dobra, przełóż to na siódmą. I niech śpiwory wezmą. I karimaty.
Ale po co?

Jak: po co? Przecież, jak już wejdą, to nie mogą wyjść. Nie będziemy ich z policją wprowadzać pięć razy w tygodniu.
Wiesz co? To sam do nich zadzwoń. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] konsekwentnie przywracamy konstytucyjne instytucje obywatelom".

WALDEMAR ŻUREK, *minister sprawiedliwości, na X o działaniach w sprawie TK wbrew prezydentowi Karolowi Nawrockiemu*

eprasa.pl d22c75f697

HISTORYCZNA MISJA ARTEMIS II

Astronauci misji Artemis II – troje Amerykanów: Christina Koch, Reid Wiseman i Victor Glover oraz Kanadyjczyk Jeremy Hansen – oddalili się od Ziemi na większą odległość niż jakikolwiek człowiek wcześniej. Maksymalna odległość od Ziemi wyniosła podczas tej misji niemal 406 777 km. Dotychczasowy rekord – wynoszący 400 171 km – został ustanowiony 15 kwietnia 1970 r. i należał do załogi Apollo 13.

Historyczna misja – pierwsza tak daleka od 54 lat – przyniosła również nowe obserwacje Księżyca i Ziemi, a także zdjęcia wykonane z pokładu Oriona (w tym zachodzącej Ziemi). – Zobaczyliśmy rzeczy, jakich przedtem nie widział żaden człowiek, nawet Apollo, i to było dla nas niesamowite – meldował dowódca misji Reid Wiseman. – Widok, który teraz rozciąga się z Księżyca gołym okiem, jest dla mnie oszałamiający. To po prostu niewiarygodne – przekazał z kolei do NASA przez radio Jeremy Hansen, apelując do swych następców, by nie czekali zbyt długo z biciem kolejnego kosmicznego rekordu.

Zgodnie z planem trwająca 10 dni misja Artemis II – której głównym celem jest przygotowanie powrotu człowieka na Księżyc – zgodnie z planem miała zakończyć się w nocy z 10 na 11 kwietnia. Misja z lądowaniem na Srebrnym Globie planowana jest na rok 2028. ***(jap)*** © ℗

FOT. NASA

eprasa.pl c22c75f697

eprasa.pl d226

Jeden list, tylko jeden historyczny, przemijający Episkopat to nie jest jeszcze cały Kościół

FOT. BP KEP

„List biskupów” obraża i utrudnia zbawienie

ks. Dariusz Oko

List polskich biskupów z 22 marca u wielu może osłabiać wiarę i nadzieję, przyczyniać się do ich zniechęcenia. Wiele osób pyta: „Dlaczego nagle, bez wyraźnego powodu, jesteśmy aż tak agresywnie, z taką arogancją i pychą oskarżani i atakowani?”

Po „Liście biskupów” z 22 marca polscy katolicy są głęboko zranieni i upokorzeni. Czują się zdradzeni przez własnych pasterzy, niektórzy nawet nadal płaczą na samo wspomnienie tego tekstu. Z tego, co wiem, wygląda na to, że ponad 90 proc. pracowników katolickich uczelni potępia ten list i go odrzuca. Podobnie ponad 90 proc. księży, którzy nawet nieraz pomimo wyraźnego nakazu nie przeczytali go w swoich parafiach (moja wiedza jest tutaj zgodna np. z szacunkami Marcina Palade). Nawet pomimo groźby sankcji ze strony własnego biskupa ten list jakoś nie mógł im przejść przez gardło. Księża czasem nawet w pierwszym momencie myśleli, że to jest jakiś fake news powstały np. w redakcji „Gazety Wyborczej” lub w ambasadzie Izraela.

Podobnie jest ze zdecydowaną większością katolików świeckich, sióstr zakonnych i zakonników, którzy z przerażeniem stwierdzają, że „dzisiaj nawet biskupom nie można wierzyć”, „nawet biskupi poddają się najgorszym, antychrześcijańskim ideologiom świata”, że „to jest zbrodnia na Kościele i zbrodnia na Polsce, to jest duszpasterzowanie młotem”.

Pytają np.: „Jak biskupi mogą zachowywać się aż w tak niechrześcijański sposób, tak bardzo wykazywać brak elementarnego rozsądku i szacunku dla katolików?”, „Dlaczego chcą nas przerobić na syjonistów?”, „Czy rzeczywiście zamierzają powtórzyć wszystkie błędy, które doprowadziły do zagłady Kościoły Zachodu?”, „Czy chcą zniszczyć Kościół w Polsce, podobnie jak swoje Kościoły zniszczyli już biskupi Holandii i Niemiec?”, „Czy ten proces samozniszczenia właśnie teraz się zaczyna, tym listem (a proces ten może dopełnić się zaledwie w kilka lat)?”, „Czy to są pasterze, którzy nie tyle uciekają przed wilkami, ile tańczą razem z nimi?”.

Dla nich jest oczywiste, że ten list wygania wiernych z kościołów, zabija powołania i przyspiesza ateizację Polski.

MANIPULACJE I NIEUCZCIWOŚCI

Wobec tego należy wyraźnie podkreślić, że nauczanie Kościoła nakazuje nade wszystko i ponad wszystko szanować i kochać JEZUSA CHRYSTUSA, SYNA BOŻEGO, MESJASZA, ZBAWICIELA I PANA naszego, a potem każdego człowieka i każdy naród, także polski. A ten list jest tak sformułowany, tak napisany, tak manipuluje nauczaniem Kościoła i Objawieniem, że zdaje się nie zachowywać ani jednego, ani drugiego. Jedne elementy tego nauczania przesadnie, wprost fanatycznie wyolbrzymia, a inne – o wiele ważniejsze – umniejsza lub w ogóle pomija. Jakże to jest sprzeczne właśnie z nauczaniem św. Jana Pawła II i bł. kard. Stefana Wyszyńskiego. Wierni są pewni, że obaj ci wielcy Polacy przenigdy czegoś takiego by nie napisali, nie okazaliby takiego niedostatku szacunku zarów-

eprasa.pl d22c75f697

no wobec Chrystusa, jak i wobec swojej ojczyzny.

Oddolny i jednoznacznie krytyczny głos Kościoła, z którym niektórzy biskupi muszą się zmierzyć, zwłaszcza w duchu synodalności, którą sami tak intensywnie propagują. Przez tak liczne grono wiernych Chrystusowi katolików musi przecież przemawiać Duch Święty.Potwierdzeniem tego jest fakt, że list jest najbardziej chwalony w miejscach, które są trwałą własnością Ducha Zła, w których on zawsze panuje i przemawia, w mediach, które jak wulkany codziennie zioną kłamstwem i nienawiścią do Boga, do Kościoła, do Polski. Zachwycają się nim najbardziej eksksięża, ekszakonnicy i ekskatolicy, którzy dzisiaj są najbardziej zajadłymi wrogami Kościoła. W mediach szczególnie ten list uwielbiają miejscowi arcyjudasze. Trzeba zatem uświadamiać sobie, jakie zarzuty stawia mu zdecydowana większość znających go katoliczek i katolików polskich, w tym osoby prezentujące najwyższy poziom duchowy i naukowy.

Należy szczególnie mocno podkreślić, że w liście jest wyjątkowo dużo manipulacji i nieuczciwości, o których mówiło już wielu profesorów, najlepszych specjalistów w swoich dziedzinach (jak np. prof. J. Majchrowski i księża profesorowie W. Rakocy CM, W. Chrostowski, R. Skrzypczak, J. Królikowski, D. Kowalczyk SJ i M. Rosik). Bo oto np. z listu dowiadujemy się, jakoby polscy katolicy przyjmujący Chrystusa byli dużo gorsi od Żydów, którzy Go odrzucają. Ponieważ katolicy nadal grzeszą, mimo że Go przyjęli. A Żydzi nie mają – widać – żadnego grzechu i żadnej winy, nawet gdy Go odrzucają, gdy szydzą z niego pod Krzyżem. „Bo go nie poznali". Ale przecież wtedy, w Palestynie, ich przywódcy poznawali Go tak samo jak inni, a nawet lepiej. Przez miesiące nieustannie Go szpiegowali, zapisywali każde Jego słowo i obserwowali każdy czyn, każdy cud. I podobno mimo to nie zaciągnęli żadnej winy?

My wszyscy, także po przyjęciu Chrztu, błądzimy, mylimy się i grzeszymy, czyli pozostajemy grzesznikami. Zatem wszyscy permanentnie jesteśmy dużo poniżej Żydów, których list przedstawia jako jakichś niepokalanych nadludzi. W przypadku wielu biskupów nawet chętnie się z tym trzeba zgodzić. Moralnie na pewno dużo poniżej zdecydowanej większości Żydów znajdują się np. ks. abp Juliusz Paetz czy ks. kard. Henryk Gulbinowicz, którzy obaj seryjnie dopuszczali się straszliwych grzechów i przestępstw homoseksualnych. A przecież, jak mówi list, czyż nie jest szczególnie wielkim, „śmiertelnym deficytem miłości" (który „niestety ciągle jeszcze pozostaje"), kiedy to własny biskup ordynariusz lub nawet kardynał molestuje chłopców, młodzieńców, kleryków, nowicjuszy oraz innych mężczyzn, w tym zakonników lub księży? Czyż to nie jest jakieś straszne „trwanie w śmierci", jak się nam przypomina? Albo gdy ks. bp Edward Janiak i ks. bp Grzegorz Kaszak oraz inni biskupi okazują się także głęboko uwikłani w tę „śmierć", co jest widoczne choćby w tym, jak bardzo tuszowali i nadal tuszują nawet najgorsze wykroczenia homoseksualne. A to jest tylko wierzchołek góry lodowej. Jak widać, wobec marginalnego problemu antysemityzmu w Polsce olbrzymi problem homoseksualizmu polskich biskupów jest wielką tragedią Kościoła, jedną z głównych przyczyn samodegradacji Episkopatu, widocznej choćby w publikacji tego rodzaju dokumentu.

A przecież, jeśli aż tak fałszywie publicznie oskarża się cały naród, tym bardziej trzeba się zająć w końcu własnymi superciężkimi, śmiertelnymi grzechami, a nie uparcie milczeć na ich temat, przeraźliwie bać się nawet samego użycia słowa „homoseksualizm" w swoim własnym kontekście – bo dobrze się wie, jakie pokłady zła mogą wtedy zostać ujawnione. To już najwyższy czas, żeby w końcu wyjaśnić wiernym, dlaczego aż tak wielu biskupów i kardynałów tak ciężko grzeszyło i grzeszy homoseksualnie albo jak mogło dojść do aż tak wielkiej homokatastrofy w diecezji sosnowieckiej. Kiedy wreszcie się dowiemy, jak zostanie ukarany bp Kaszak za wszystko, czego się dopuścił? Czy raczej będzie to tylko kara symboliczna i dopiero na łożu śmierci – jak w przypadku kard. Gulbinowicza? Trzeba w końcu powiedzieć, jakie reformy zostaną wprowadzone, aby ta straszna plaga wśród biskupów i kardynałów została zakończona oraz więcej się nie powtórzyła. Pierwszorzędny temat na obrady Synodu o synodalności. Tak ważny i kluczowy temat, a jednak wzbudzający taki lęk w Episkopacie. Trzeba go przezwyciężyć – właśnie dla dobra Kościoła.

UTRUDNIANIE ZBAWIENIA

Można analizować tak akapit po akapicie. Z dziesiątków tysięcy tekstów, które przeczytałem, ten jest jednym z najgorszych. Stąd może on służyć jako dobry materiał do ćwiczeń ze studentami na temat manipulacji w Kościele. I trzeba to robić, bo tu się podważa kluczowe znaczenie Chrystusa. Jakoby ani On, ani jego łaska, ani sakramenty, ani Matka Boża, ani święci, ani papież, ani nauczanie Kościoła nie mieli większego znaczenia. Stąd dla komfortu Żydów w żadnym wypadku nie wolno naruszać ich dobrego samopoczucia jakimkolwiek głoszeniem Chrystusa. Przecież to jest poniżenie Chrystusa, obraza jego godności. On zostaje tutaj jakby zepchnięty na margines przez ideologię skrajnego, fanatycznego syjonizmu.

List jest najbardziej chwalony w miejscach, które są trwałą własnością Ducha Zła, w których on zawsze panuje i przemawia, w mediach, które jak wulkany codziennie zioną kłamstwem i nienawiścią do Boga, do Kościoła, do Polski

Tak też autorzy tego listu popadają w jaskrawą sprzeczność sami ze sobą (jedną z wielu). Bo z jednej strony tak bardzo powołują się na nauczanie Kościoła i twierdzą, że jest ono dla nich podobno niezmiernie ważne, a z drugiej, niejako na jednym oddechu, głoszą, iż jednak Żydzi kompletnie go nie potrzebują i czynią wszystko, co możliwe, by do końca świata go nie przyjęli.

W ten sposób i Żydom, i katolikom niezwykle utrudnia się rzecz najważniejszą, czyli własne zbawienie, utrudnia się dostęp do Bożego Miłosierdzia. Tutaj tak wiele wysiłku wkłada się w przekonanie nas, że Żydzi znakomicie radzili sobie, radzą i poradzą, odrzucając Chrystusa oraz bezwzględnie walcząc z Nim (co jest niejako głównym tematem tego listu), a zarazem generalnie są lepsi niż katolicy polscy. To po co w ogóle być katolikiem? Po co się nawracać i iść za zabitym przez Żydów Chrystusem, tym bardziej że chrześcijańska etyka stawia nam najwyższe wymagania? A utrudnianie ludziom

eprasa.pl d22c75f697

zbawienia (obojętnie, jakiej są narodowości) zamiast pomagania w nim ze wszystkich sił jest największym grzechem osób duchownych, za który Pan Jezus na wielu miejscach najbardziej oskarżał (wiecznych) obłudników i faryzeuszy oraz groził im potępieniem bez końca. Bo wtedy postępują dokładnie przeciwnie do tego, do czego zostali powołani, są jak „ślepi przewodnicy ślepych" (Mt 15, 14).

Niektórzy zaczynają zarazem wnioskować, że skoro ten list zdaje się sugerować, iż po ponad 1000 lat z Chrystusem Polacy są nadal dużo, dużo gorsi od Żydów będących już ponad 2000 lat radykalnie przeciw Jezusowi, to ten Jezus okazuje się jakiś taki słaby, niewystarczający, taki zdecydowanie gorszy od samego Mojżesza, czyli w sumie niepotrzebny, a jego łaska i pomoc zbędne. Przy takich założeniach wskazana okazuje się zatem zamiana Pierwszego na drugiego, Chrztu na obrzezanie, które – jak widać – w zupełności zdaje się wystarczać.

W związku z tym zwraca uwagę niezwykle marna i nieporadna teologia tego listu, w którym twierdzi się np., że jak zbawienie Żydów „może być możliwe bez wyraźnego wyznawania Chrystusa – jest i pozostanie niezgłębioną tajemnicą Bożą". Jaka znowu „niezgłębiona tajemnica"? Przecież teologicznie i filozoficznie sprawa jest dość prosta i dobrze wyjaśniona (wiem to też dlatego, że napisałem m.in. na temat doktorat także z dogmatyki). Skoro Bóg pragnie zbawienia każdego człowieka, a łaska Chrystusa jest do tego niezbędnie konieczna, to każdemu bez wyjątku człowiekowi udziela On łaski jako oferty, jako szansy (nawet jeśli on nic o tym nie wie i nie może wiedzieć, że ta pomoc duchowa, której doświadcza, jest właśnie łaską). Dzieje się też tak w przypadku każdego bez wyjątku człowieka znajdującego się poza Kościołem widzialnym, a spośród ok. 120 mld ludzi, którzy żyli i żyją na tej Ziemi, stanowili oni i stanowią (oraz długo jeszcze będą stanowić) zdecydowaną większość. Od człowieka zależy tylko, czy przyjmie tę łaskę i jak w swojej wolności będzie z nią współpracował. Od tego też zależy jego zbawienie, bo w ogóle od niego zależy tylko to, co znajduje się w obszarze jego wolności, a zwłaszcza jej współpracy z łaską. Obowiązuje to dla każdego, tak samo dla katolika, jak i niekatolika, tak samo dla Polaka, jak i dla Żyda. Dlatego jak najbardziej może zdarzyć się tak, że pobożny, uczciwy, pokorny i gorliwy rabin żydowski, który bez swej winy nie mógł świadomie przyjąć Chrystusa, na wieki znajdzie się w wysokich rejonach nieba. Natomiast katolickiego kardynała, który tak wiele otrzymał, tak wiele wiedział i dlatego miał większą szansę na zbawienie, ale jednak swoją duszę (i ciało) „sprzedał" i zatracił w zamian za kościelną karierę, Chrystus być może skaże na potępienie bez końca. Podobnie może również tak potraktować katolickiego biskupa (jak np. Gustava Zanchettę, najbliższego przyjaciela papieża Franciszka), który (jak dotąd to wygląda) całe dorosłe życie spędził na homoseksualnej rozpuście, dopuszczając się przy tym nieustannego, seryjnego molestowania swoich kleryków (a zapewne i gwałtów na nich).

List obraża dziesiątki milionów Polaków. Ubliża się szczególnie godności milionów Polek, w tym godności sióstr zakonnych

Dlatego list ten może dobrze służyć jako podstawa spotkań grup synodalnych. Przecież nieraz grozi im śmiertelna nuda, powtarzanie w kółko tych samych napuszonych stereotypów i banałów. Na to szkoda czasu. Dużo bardziej ciekawe będzie np. analizowanie kościelnych manipulacji zawartych w tym liście – aby wierni umieli się przed nimi bronić.

RZEKOMY ANTYSEMITYZM

Jezus mówił przecież do najbardziej znaczącej i wpływowej części Żydów: „Wy macie diabła za ojca i chcecie spełniać pożądania waszego ojca. Od początku był on zabójcą i w prawdzie nie wytrwał, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa" (J 8, 44). A także: „Powiedziałem wam, że pomrzecie w grzechach swoich. Tak, jeżeli nie uwierzycie, że JA JESTEM, pomrzecie w grzechach swoich" (J 8, 24). Widział bowiem, że choć najlepsza, ale tylko mała część Żydów pójdzie za nim, to większość, ich mainstream, zdecydowanie odrzuci Go na wieki. Czyż według argumentacji tego listu sam Pan Jezus nie okazuje się zatem Pierwszym Antysemitą? Czyż nie należy go za to surowo potępić i odrzucić? Czy wzorem Lutra takich zdań nie trzeba w ogóle usunąć z Biblii? Tak właśnie należy interpretować nauczanie Kościoła?

„List biskupów" insynuuje przecież, że dziesiątki milionów Polaków, w tym także moja rodzina, to zapewne antysemici, których nieustannie należy napominać, piętnować i łajać. Że w czasie ludobójstwa w Gazie i wojny w Iranie, w dobie Wojny Cywilizacji, w epoce walki Europy i chrześcijaństwa o samo przetrwanie trudno o ważniejszy temat, jak nieustanne chłostanie Polaków za rzekomy antysemityzm. Dzisiaj w Kościele tak traktuje się miliony Polaków, którzy za najwyższą cenę własnego życia stali się mistrzami świata w ratowaniu Żydów, ale też mistrzami świata w ratowaniu Ukraińców i ratowaniu dzieci nienarodzonych. Tak traktuje się Polaków, którzy nadal stanowią najmocniejszy Kościół świata, którzy dali ludzkości takich świętych, jak Maksymilian Maria Kolbe, Jan Paweł II, rodzina Ulmów i s. Faustyna. Przecież właśnie dzisiaj, szczególnie dzięki niej, w całym świecie obchodzimy święto Bożego Miłosierdzia.

W ten sposób list obraża dziesiątki milionów Polaków, jakbyśmy trwale byli jakimiś dziećmi specjalnej troski. Tak ubliża się szczególnie godności milionów Polek, w tym godności sióstr zakonnych, których zgromadzenia w czasie okupacji ratowały żydowskie dzieci. Przed takim obrażaniem nas mamy od Boga dany nam obowiązek obrony. Trzeba szanować godność każdego człowieka i każdego narodu, w tym także własną godność i godność własnego narodu, szczególnie godność kobiety. Inaczej popada się w rasizm – skierowany choćby przeciw własnej wspólnocie i jej kulturze.

Muszę też powiedzieć, że moja matka chrzestna, Lidia Skibicka-Maksymowicz, jako czteroletnia dziewczynka była maltretowana w Auschwitz, w baraku dr. Józefa Mengele. Mój dziadek, Wiktor Banaś, wraz z babcią Eugenią w czasie wojny ukrywali i ratowali Żydów, szczególnie żydowskie dzieci wyprowadzane z obozu koncentracyjnego w Płaszowie – podobnie jak święta rodzina Ulmów. Analogicznie do Ulmów przez całą okupację codziennie groziło im zamordowanie przez Niemców i także z tego powodu moja babcia w końcu straciła życie. Oddała je zarówno za swoją rodzinę, jak i za dzieci żydowskie,

eprasa.pl d22c75f697

Kardynał Grzegorz Ryś, przewodniczący Rady do spraw Dialogu Religijnego i Komitetu do spraw Dialogu z Judaizmem KEP

FOT. BP KEP

które ukrywała. Natomiast kiedy po wojnie mój wujek usiłował uciec do Szwecji, za karę został aresztowany również mój dziadek. Aby go złamać, komuniści ateiści przez cały rok śledztwa torturowali go podobnie jak rtm. Witolda Pileckiego. Aż tak bardzo go katowali, że myślał o samobójstwie, a powstrzymała go zwłaszcza pamięć o córce, mojej przyszłej mamie, która została sama jak sierota. Kiedy w końcu stanął przed sądem, okazało się, że jego sędzią będzie Żyd z komunistycznej bezpieki. Mój dziadek krzyczał wtedy: „To ja w czasie okupacji ratowałem Żydów, a teraz sądzi mnie i skazuje Żyd?". Za karę otrzymał tym surowszy wyrok – siedem lat bezwzględnego więzienia. Dla mnie jest człowiekiem świętym. Można powiedzieć, że to taka zwykła polska rodzina, takie zwykłe polskie losy – jak milionów innych Polaków. I także taką polską rodzinę, razem z milionami innych, ten list dzisiaj oskarża o antysemityzm!

Muszę też szczególnie sprzeciwić się manipulowaniu osobą św. Jan Pawła II. Jestem głównym uczniem i następcą ks. kard. Mariana Jaworskiego, który był jednym z najbliższych przyjaciół oraz partnerów intelektualnych papieża z Polski. On zawsze popierał mnie w moich działaniach, podobnie jak ks. kard. Stanisław Nagy, który także należał do najbliższego kręgu Jana Pawła. Zarówno Jan Paweł II, jak i Benedykt XVI wspierali mnie za głoszenie i obronę prawdy, co poświadczają specjalne podziękowania, które otrzymałem za swoją pracę od obu wielkich papieży. Tym bardziej upoważnia mnie to do stanięcia w obronie osoby i myśli św. Jana Pawła II. Dlatego też muszę z całą stanowczością stwierdzić, że wielkim nadużyciem jest mieszanie papieża do tekstu, który aż tak bardzo lekceważy Polaków i katolicyzm. On był wielkim, wierzącym patriotą, kochał swój naród, nigdy nie zgrzeszyłby takim mówieniem z niedostatkiem respektu o Polakach katolikach.

Ten list u wielu może osłabiać wiarę i nadzieję, przyczyniać się do ich zniechęcenia. Wiele osób pyta: „Dlaczego nagle, bez wyraźnego powodu, jesteśmy aż tak agresywnie, z taką arogancją i pychą oskarżani i atakowani?". Dlaczego biskupi kompletnie przemilczają wiele innych, o wiele ważniejszych tematów? Po co chodzić do kościołów, w których najbardziej obraża się katolików, w których nawet właśni biskupi i kardynałowie wydają się bardziej głosić lewacką pedagogikę wstydu niż Słowo Boże? A piętnowanie bodaj jednego grzechu i winy żydowskiej, choćby odbywającego się w tej godzinie Holokaustu muzułmanów w Gazie, masowego mordowania tysięcy kobiet i dzieci, jest strasznym grzechem antysemityzmu. Przecież to żaden dialog, tylko jakiś syjonizm fanatyczny.

Po co chodzić do kościołów, w których najbardziej obraża się katolików, w których nawet właśni biskupi i kardynałowie wydają się bardziej głosić lewacką pedagogikę wstydu niż Słowo Boże?

To jest też jakaś jakby schizofrenia, jakieś potężne zaprzeczanie samym sobie. Oto autorzy listu tak gorliwie występują w interesach Żydów, a zarazem wydają się zupełnie nie dbać o godność i nawet życie muzułmanów (oraz ostatnich wyganianych chrześcijan Palestyny), nawet tych najmłodszych, tych najbardziej niewinnych i bezbronnych, których nieustannie poniża i zabija wojsko Izraela.

EPISKOPAT TO NIE CAŁY KOŚCIÓŁ

Jednak jeden list, tylko jeden historyczny, przemijający Episkopat to nie jest jeszcze cały Kościół. I mimo wszystko nie mamy nic lepszego. Ten Episkopat i tak jest jednym z najlepszych. Z historii wiemy jednak, że biskupi faktycznie mogą w straszny sposób zdradzać Chrystusa. Jak w czasach ariańskich albo jak prawie całe episkopaty w XVI w., które bardziej bały się szubienicy Lutra niż Boga. Jak polscy biskupi zdrajcy, których niegodziwości stały się jawne w czasie insurekcji kościuszkowskiej. Jak dzisiaj prawie wszyscy biskupi niemieccy, a niedawno biskupi holenderscy. Podobnie może być z jakąś grupką biskupów polskich, która pobłądziła. Trudno bowiem sądzić, żeby dzisiaj jakiś przyzwoity polski biskup podpisał się pod tym listem, mając pełną świadomość tego, co on zawiera. Biskupi mają tysiące spraw i problemów na głowie, setki dokumentów, które muszą parafować, dlatego oczywiście nie są w stanie sami wszystko do końca przeczytać i sprawdzić. Od tego mają współpracowników, komisje i komitety.

Tu można przynajmniej częściowo przypuszczać jakąś manipulację. Głównym odpowiedzialnym za zawartość tego listu jest oczywiście Komitet Episkopatu Polski do spraw Dialogu z Judaizmem. Stąd może być tak, że to jest za bardzo tylko „List Komitetu", a za mało „List wszystkich biskupów". Wiemy, że znacząca część biskupów była przeciwko jego ogłoszeniu, a dzisiaj już zapewne ich zdecydowana większość. Od jego publikacji w mocny sposób zdystansował się już metropolita wrocławski, ks. abp Józef Kupny, zastępca przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Inni biskupi i arcybiskupi

eprasa.pl d22c75f697

zaczynają dystansować się od niego w sposób bardziej pośredni, np. akurat teraz głosząc homilie, które zaprzeczają jego deficytom. Mogło się stać tak, że na skutek długiego „dialogu" wielu członków Komitetu przyjęło punkt widzenia swoich partnerów. Mogli oni w rezultacie zachorować na ojkofobię, czyli pogardę do własnej kultury, na polonofobię i chrystofobię. Mogli też popaść w jakiś rodzaj groźnego syjonizmu, jak heretycki syjonizm ewangelikalny w USA. Wtedy trzeba wymienić takich członków Komitetu. Z praktyki dyplomatycznej dobrze jest znane zjawisko konwersji ambasadora. Polega ono na tym, że dyplomata, który zbyt długo przebywa w obcym kraju, zaczyna się z nim za bardzo utożsamiać i dba o jego interesy gorliwiej niż o dobro własnej ojczyzny. Stąd ambasadorów regularnie się odwołuje i wymienia.

Sprawy nie zamknie się ucieczką w milczenie, które i tak będzie tylko potwierdzeniem winy. Trzeba stanąć do dyskusji. Zapewne są do niej gotowi wymienieni wcześniej profesorowie i ja także. Wydaje się, że zostałem do takiej „synodalnej" rozmowy szczególnie dobrze przygotowany. Choćby przez ponad 50 lat nieprzerwanych lektur i studiów naukowych, przez 40 lat kapłaństwa i duszpasterstwa, przez 10 lat, które spędziłem poza Polską w sumie w ponad 80 krajach. Szczególnie poprzez 20 lat obrony Kościoła i Polski przed najgorszymi ideologiami oraz przez prześladowania, które z tego powodu przeżywałem i przeżywam. Przykładem jest tu choćby atak z poziomu samego Watykanu eksksiędza dr. Krzysztofa Charamsy – nieomal biskupa, a zarazem supergeja w sutannie. Przykładem są tu również trzy wygrane procesy sądowe, które lawendowa mafia wytoczyła mi w Niemczech, Szwajcarii i w Polsce. Przykładem jest tu potężne wsparcie, które w tych procesach otrzymałem od setek tysięcy katolików, w tym wielu uczonych oraz największego teologa, który obecnie żyje w Kościele – ks. kard. Gerharda Ludwiga Müllera. A przecież to były szef Kongregacji Nauczania Wiary oraz najbliższy współpracownik i przyjaciel papieża Benedykta XVI.

To przecież jest kluczowe wymaganie synodalności – rozmawiajmy ze sobą. Rozmawiajmy ze sobą szczególnie na podstawie twardych danych naukowych, socjologicznych dotyczących antysemityzmu w Polsce, ale także we Francji, w Niemczech i we Włoszech, oraz antypolonizmu i antychrystianizmu samych Żydów. Komitet do spraw Dialogu z Judaizmem przygotował ten list i przeforsował go pomimo krytyki najwyższych naukowych autorytetów. Usłyszał odpowiedź Polaków, niech teraz albo przeprosi, albo stanie do dyskusji. Ten list okazuje się najgorszy w całej historii Kościoła w Polsce. Trzeba się z tego wytłumaczyć. Najlepiej jeszcze przed 14 kwietnia, czyli 1060. rocznicą Chrztu Polski. Jak powszechnie wiadomo, 14 kwietnia przypada zaraz po 13 kwietnia, ale autorzy tego listu jakby zupełnie zapomnieli o tej rocznicy. Czemuż ta data teraz jakby nie istnieje? Czemuż to nie zostaliśmy zaproszeni do odwiedzenia w tym dniu najbliższego kościoła, żeby podziękować za Chrzest Polski i nasz własny chrzest? Czemuż to?

Rozmawiajmy ze sobą.
Na najważniejsze tematy.
Jakież to synodalne.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, kierownikiem Katedry Filozofii Kultury, Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II.

Niezwykle negatywne oceny treści zawartych w liście dokonane przez najwybitniejszych teologów polskich:

1. Ks. prof. Waldemar Rakocy CM:
www.ekai.pl/ks-prof-rakocy-zydzi-potrzebuja-chrystusa-tak-samo-jak-reszta-ludzkosci/
2. Ks. prof. Waldemar Chrostowski:
https://www.youtube.com/watch?v=luZ_u5PB714&t=19s
https://www.youtube.com/watch?v=aY01PteY_58
3. Ks. prof. Robert Skrzypczak:
https://www.youtube.com/watch?v=ng5PDIt-ovQ&t=2977s
4. Ks. prof. Janusz Królikowski:
https://wnet.fm/2026/04/03/chrzescijanie-i-zydzi-ks-prof-krolikowski
5. Ks. prof. Dariusz Kowalczyk SJ:
wnet.fm/2026/04/03/ks-prof-dariusz-kowalczyk-i-list-episkopatu-bez-jezusa-nie-ma--zbawienia
6. Ks. prof. Mariusz Rosik:
https://www.fronda.pl/a/Ks-prof-Mariusz-Rosik-dla-Frondy-Obietnice-Starego-Testamentu-zrealizowaly-sie-w-Chrystusie,253674.html
7. Redaktor Paweł Lisicki, największy współczesny teolog świecki (i nie tylko):
https://www.youtube.com/watch?v=cSbQJu1CYj4
8. I jeszcze prawnik, prof. Jan Majchrowski:
https://www.youtube.com/watch?v=rL1yU5XPWdo

Ksiądz profesor Waldemar Chrostowski
FOT. YOUTUBE.COM/@WYDAWNICTWOBIALYKRUK

eprasa.pl d22c75f697

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

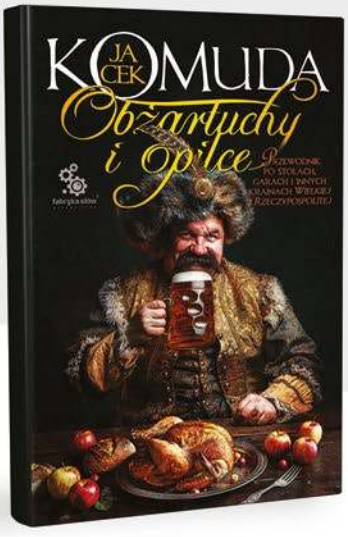

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~601~~ ZŁ

290,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 311 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl d22c75f697

Z Krzysztofem Bosakiem, wicemarszałkiem Sejmu, prezesem Ruchu Narodowego, jednym z liderów Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Naszym sojusznikiem jest Ameryka, a nie jej aktualny prezydent

RYSZARD GROMADZKI: Polska jest na progu wojny? Odwołuję się do wypowiedzi przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, abp. Tadeusza Wojdy, który w wywiadzie dla Polskiej Agencji Prasowej stwierdził, że „istnieją obawy, że wojna dotrze do Polski. Co jest zrozumiałe". Arcybiskup Wojda dodał, że Kościół nie stoi biernie, czekając na rozwój wydarzeń, lecz czynnie, we współpracy z MSWiA oraz MON, przygotowuje się na kryzysowe scenariusze. O jakiej wojnie, panie marszałku, mówi przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski?

KRZYSZTOF BOSAK: Myślę, że ta wypowiedź jest niezręczna i wynika z braku doświadczenia przedstawicieli Episkopatu w mówieniu o kwestiach bezpieczeństwa, obronności, spraw strategicznych i polityki międzynarodowej. Wiem, jaka może być geneza tej wypowiedzi. Według mojej wiedzy przedstawiciele Kościoła zostali zaproszeni przez administrację rządową do rozmów dotyczących podnoszenia świadomości w obszarze obrony cywilnej, a więc wzmacniania bezpieczeństwa państwa poprzez budowanie kompetencji i zasobów w zakresie obrony cywilnej. Sam ruch włączenia różnych zrzeszeń społecznych, w tym Kościoła katolickiego, do budowania obrony cywilnej uważam za sensowny. Natomiast widać, że zrobił on na tyle duże wrażenie na przedstawicielach Episkopatu, że niektórzy z nich potraktowali go jako bezpośredni sygnał, że Polska może być objęta wojną.

Słowa mają moc. Nie sądzi pan, że oceny, którymi podzielił się w wywiadzie dla PAP abp Wojda, mogą podsycać niepokój w społeczeństwie? Ludzie oczekują od Kościoła innego przekazu, w którego centrum powinny być nadzieja i pokój.

Sytuacja, w której za naszą wschodnią granicą toczy się wojna, Polska zaś jest głównym korytarzem wsparcia materiałowego i logistycznego Ukrainy w jej konflikcie zbrojnym z Rosją, a jednocześnie wybucha kolejna wojna na Bliskim Wschodzie, tymczasowo zawieszona rozejmem, jest dla wszystkich nowa. Wydaje mi się, że nie ma w Polsce żadnej grupy, może poza weteranami misji zagranicznych, która byłaby do tej sytuacji w pełni mentalnie i kompetencyjnie przygotowani. Dlatego uważam, że powinniśmy zachować duży spokój i odpowiedzialność, ale też odrobinę wyrozumiałości dla siebie nawzajem. Także wtedy, kiedy ktoś pomyli budowanie obrony cywilnej z przygotowaniami do wojny, dlatego że uczymy się nowych rzeczy jako społeczeństwo, jako cały ekosystem bezpieczeństwa państwowego.

À propos ekosystemu bezpieczeństwa państwowego, co ma na celu kolejne przedłużenie zamknięcia przestrzeni powietrznej nad wschodnią Polską? Czy może to mieć związek z atakami ukraińskich dronów na rosyjskie porty na Morzu Bałtyckim, do których doszło w ostatnim czasie?

Jako członkowie prezydium Sejmu i liderzy partii politycznych nie otrzymaliśmy w tej sprawie żadnych informacji od rządu, więc jesteśmy zdani, podobnie jak wszyscy, wyłącznie na domysły. Jeśli chodzi o problemy w przestrzeni powietrznej przy naszej wschodniej granicy, to w tej chwili mamy przynajmniej cztery takie wyzwania. Po pierwsze, mam na myśli drony przemytnicze pojawiające się znad terenu Białorusi w kierunku Polski. Być może są to drony mające dwie funkcje, oprócz przemytniczej testują także sposoby reagowania naszego systemu obronnego, zdolności detekcji, zestrzeliwania czy śledzenia celów. Drugim problemem są zabłąkane środki bojowe czy to rosyjskiej, czy ukraińskiej obrony przeciwrakietowej. Trzeci stanowią ewentualne rosyjskie drony bojowe skierowane w stronę Polski. Czwartym

eprasa.pl d22c75f697

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

wyzwaniem mogą być ukraińskie drony, które, jak słyszymy z doniesień medialnych, Ukraina może chcieć kierować ponad naszą granicą. Uważam, że w tym ostatnim przypadku sprawa powinna być postawiona jasno przez państwo polskie, iż nie ma naszej zgody na wykorzystywanie naszego terytorium jako zaplecza dla bezpośrednich działań zbrojnych, bo to jest wciąganie nas do wojny.

Czy pana zdaniem prezydent Karol Nawrocki powinien przyjąć listy uwierzytelniające od nowego ambasadora Rosji, Grigorija Michny? Czy niepodjęcie misji w Polsce przez tego dyplomatę dodatkowo zaostrzy relacje między Warszawą a Moskwą?

Uważam, że ambasadora Rosji można przyjąć albo nie przyjąć. Na stosunki polsko-rosyjskie w żaden szczególny sposób to nie wpłynie. One są napięte i takie pozostaną. W mojej ocenie dużo istotniejsze od tego, czy Polska zgodzi się na nowego ambasadora Rosji w Warszawie, jest to, ilu ludzi pracuje w rosyjskiej ambasadzie, z jakich służb są ci ludzie, a przede wszystkim gdzie ta ambasada jest usytuowana. Tak długo, jak pozwalamy na to, żeby ambasada rosyjska była w bezpośrednim sąsiedztwie polskiego Sejmu, polskich gmachów rządowych z możliwością podsłuchiwania naszej komunikacji telefonicznej, skupianie się nad sytuacją rosyjskiego ambasadora jest tematem zastępczym.

Czy Stany Zjednoczone i Izrael dopuściły się w trakcie agresji na Iran zbrodni wojennych? W Kongresie USA pojawiły się inicjatywy odwołania z urzędu zarówno prezydenta Donalda Trumpa, jak i sekretarza obrony Pete'a Hegsetha. Ten drugi oskarżany jest wprost o udział w zbrodniach wojennych w trakcie działań amerykańskiej armii w Iranie.

Myślę, że każde z państw należy rozpatrywać osobno, dlatego że mają odmienne kultury polityczne i strategiczne oraz odrębne porządki prawne i regulaminowe w organizacji sił zbrojnych. To pierwsza sprawa. Drugą rzeczą jest, że tam, gdzie toczy się wojna, zawsze poszkodowani są cywile. Kwestią oceny jest, czy skala ofiar cywilnych była dopuszczana świadomie lub wręcz mówić można o intencjonalnym powodowaniu ofiar wśród cywili. Jeśli tak, to można wtedy mówić o zbrodniach wojennych. Obawiam się, że w trakcie działań wojennych przeciw Iranowi miały miejsce zbrodnie wojenne. Jest pytanie o zakres odpowiedzialności. I tutaj w pierwszym rzędzie analizuje się postawę konkretnych osób w łańcuchu dowodzenia. Co wiedziały i jakie rozkazy wydawały. Po drugie powinno się też analizować uwarunkowania regulaminowe czy ustawowe obowiązujące żołnierzy. Coraz częściej częścią analizy odpowiedzialności konkretnych osób są uwarunkowania technologiczne. Jeśli jakieś decyzje oddawane są algorytmom sztucznej inteligencji, to czy rezultaty działania tych algorytmów są później poddawane jeszcze weryfikacji? Ocenie, czy życie ludzkie zależy od technologii. To wszystko, jak sądzę, jest teraz zmartwieniem członków amerykańskiego Kongresu, a w przyszłości może być także przedmiotem sporów amerykańskich prawników przed amerykańskimi sądami. Pamiętamy sprawy polskich żołnierzy, którzy brali udział w misjach zagranicznych, a później sprawy o śmierć cywili trafiały do polskich sądów, podobnie może być w Stanach Zjednoczonych.

W wypadku Izraela mówimy też o działaniach w południowym Libanie, które mają znamiona ludobójstwa. Dlaczego polska dyplomacja pozostaje bierna wobec barbarzyńskich aktów, których dopuszcza się tam izraelska armia?

Rozmawiałem na ten temat z przedstawicielami Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wiem, że podczas rozmów z dyplomatami zarówno na forum ONZ, jak i Unii Europejskiej Polska zabiera głos krytyczny wobec tego, co robi Izrael. Natomiast rzeczywiście samodzielnego polskiego głosu na forum międzynarodowym brakuje lub jest zbyt słabo słyszalny, co niewątpliwie jest przejawem postawy asekuracyjnej.

Z czego bierze się ta asekuracja?

Po pierwsze, z uwarunkowań związanych ze współpracą sojuszniczą ze Stanami Zjednoczonymi, które stanowią swego rodzaju tandem z Izraelem.

Po drugie, istotną rolę odgrywa tu szantaż oskarżeń o antysemityzm wobec każdego, kto sprzeciwia się polityce Izraela. Ten szantaż dość efektywnie działa w polityce międzynarodowej czy w życiu dyplomatycznym.

Czy amerykańsko-izraelska agresja na Iran, nieobliczalna polityka, którą realizuje prezydent Donald Trump, sposób traktowania sojuszników przez USA nie powinny być dla Polski asumptem do głębokiej strategicznej refleksji? Obserwując działania administracji Donalda Trumpa, można mieć poważne obawy co do tego, że Stany Zjednoczone przyjdą nam z pomocą w chwili realnego zagrożenia.

Myślę, że sytuacja, z którą mamy dziś do czynienia, nie jest tak nowa, jak się wydaje. Zawsze jest tak, że aktualnie trwająca wojna wywołuje żywsze emocje, a doświadczenia historyczne bledną. Moim zdaniem poziom chaotyzmu, nieprzewidywalności, a momentami nawet nieracjonalności polityki

eprasa.pl d22c75f697

międzynarodowej prowadzonej przez Stany Zjednoczone czy wojen toczonych wcześniej przez USA nie były tak bardzo inne od tego, co obserwujemy obecnie.

Ale żaden z prezydentów USA od 1949 r. nie mówił o końcu NATO...

Polityka amerykańska wielokrotnie bywała brutalna, nieprzewidywalna, niekiedy pełna pomyłek i nieracjonalności, natomiast chyba po raz pierwszy USA mają prezydenta, który dodaje do tego tak odbiegające od głównego nurtu wypowiedzi. Nie uważam jednak, że z tego osobliwego stylu komunikacji prezydenta Trumpa płyną wnioski dla sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Sojusz z USA jest sojuszem z państwem, a nie z jego aktualnym prezydentem. W przeszłości Ameryka miała różnych prezydentów, którzy, można powiedzieć, mieli swoje osobliwe cechy. Profesjonalizm łączył się niekiedy z ekstrawagancją. Jednak ostatecznie w polityce mocarstw osobowość przywódców, poprzez działanie aparatu dyplomatycznego czy obronnego, ulega pewnemu uśrednieniu i w czasie, i w przestrzeni. Dlatego uważam, że z personalnych cech jednego czy drugiego prezydenta nie należy wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Ważniejsze od wypowiedzi obecnie urzędującego prezydenta USA, nacechowanych arogancją i ekscentryzmem, są wystąpienia, gdzie pobrzmiewa istotna kalkulacja interesów państwa. Moim zdaniem u Trumpa najważniejsze są właśnie te jego przemówienia, w których pobrzmiewa rzeczywista kalkulacja interesów amerykańskich elit. My w Polsce powinniśmy być przede wszystkim wyczuleni na to, że kalkulacja amerykańskich interesów obecnego prezydenta USA i jego następcy może być po prostu inna niż nasza. W ostatnich dniach pojawiła się wypowiedź wicemarszałka Sejmu Piotra Zgorzelskiego, że Stany Zjednoczone atakując Iran, bardziej realizują interes Izraela niż swój. To częsta klisza u polskich polityków, którzy wydają się lepiej rozumieć interes tego państwa niż jego liderzy. Powinniśmy raczej dokładnie analizować, gdzie w polityce amerykańskiej występuje współbieżność ich interesów z naszymi. Jeśli taka współbieżność nie ma charakteru trwałego, to trzeba określić ryzyka, a następnie je redukować.

W dyskursie publicystycznym, który toczy się w Polsce, obecny jest postulat wielowektorowości w polskiej polityce zagranicznej. Czy to nie „złoty środek" na bezalternatywne alianse z USA z jednej strony i z Unią Europejską z drugiej?

W sytuacji, kiedy toczą się dwie wojny, bardzo trudno jest w polityce międzynarodowej grać jednocześnie na wielu fortepianach. Uważam, że głównym wyzwaniem polskiej polityki zagranicznej, polskiej strategii, mogącym nas prowadzić ku jakiejkolwiek praktycznej wielowektorowości, jest wzmacnianie swojego potencjału. To znaczy wzmacnianie własnej armii, służb wywiadowczych, ich profesjonalizacji. Dalej: wzmocnienie własnej suwerenności w kwestiach strategicznych, poprzez posiadanie „rdzeniowych" kompetencji niezbędnych do podejmowania decyzji strategicznych. Mam na myśli m.in. zdolności do podejmowania samodzielnego rozpoznawania satelitarnego, własne zdolności komunikacyjne i rozpoznanie wywiadowcze, a także własną projekcję siły i własną, samodzielnie zmotywowaną dyplomację. W żadnym z obszarów, które wymieniłem, nie jesteśmy bliscy profesjonalizmu i pierwszej ligi światowej. Dlatego łatwo jest mówić o wielowektorowości, natomiast my w tej chwili jako państwo polskie nie jesteśmy, w mojej ocenie, przygotowani do twardej, profesjonalnej polityki nawet na jednym wektorze, amerykańskim czy europejskim, a co dopiero na wielu. Uważam, że najpierw powinniśmy odrobić własne zadanie domowe, a później brać się do wizji w skali globalnej.

Tak długo, jak pozwalamy na to, żeby ambasada rosyjska była w bezpośrednim sąsiedztwie polskiego Sejmu, skupianie się nad sytuacją rosyjskiego ambasadora jest tematem zastępczym

Sprawa, o którą chcę jeszcze zapytać, stawia Polskę nawet nie w drugiej, a w trzeciej lidze światowej. Belgijski sąd orzekł niedawno, że Polska musi zapłacić amerykańskiemu koncernowi Pfizer 5,5 mld zł z odsetkami za nieodebrane szczepionki na COVID-19 i odebrać nikomu niepotrzebne preparaty. Kto ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za ten skandal? Dlaczego w tej bulwersującej sprawie nie wszczęto żadnego śledztwa?

Odpowiedzialność, wedle mojej wiedzy, spoczywa na szefie resortu zdrowia w tamtym czasie, a więc na byłym ministrze Adamie Niedzielskim i osobach odpowiedzialnych za politykę rządu, a więc Mateuszu Morawieckim i Jarosławie Kaczyńskim. O śledztwie można mówić, gdyby doszło do złamania prawa. Moje pesymistyczne spojrzenie na polską politykę jest takie, że w Polsce nie istnieje odpowiedzialność prawna za doprowadzenie państwa do szkód wielkiego rozmiaru, jeżeli to wszystko dzieje się zgodnie z prawem. W Polsce zaciąganie zobowiązań bez zgody parlamentu na niebotycznie wielkie środki, niewyobrażalne dla zwykłego człowieka, jest zgodne z prawem, niezależnie od racjonalności czy nieracjonalności tych wydatków. Sprawa, o której rozmawiamy, jest w moim przekonaniu asumptem do analizy, czy nie należy zmienić prawa, by przy idących w miliardy złotych kontraktach jednak wymagana była zgoda parlamentu. Zarówno jeśli chodzi o kontrakty zbrojeniowe z niewynegocjowanym offsetem, zawierane na kolanie, czy ogromne kontrakty z koncernami farmaceutycznymi, nie widać żadnego mechanizmu kontrolnego na etapie podejmowania decyzji. My w tej chwili możemy stwierdzić sobie, że ten czy inny powinien pójść do więzienia, co prawdopodobnie nie nastąpi, bo okaże się, że nie ma paragrafu albo że na wszystko mieli papiery. Dużo istotniejsze jest, czy w tej chwili nie dochodzi do podobnych decyzji i czy za parę lat nie będziemy mieli kolejnej tego rodzaju dyskusji o nieracjonalnych wydatkach, np. z programu SAFE idących w miliardy złotych i skutkujących zadłużaniem kolejnych pokoleń Polaków. To, nad czym powinniśmy pomyśleć, to właśnie mechanizm weryfikacji parlamentarnej największych zobowiązań finansowych państwa polskiego. Być może jest to wręcz materia do poprawki do konstytucji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

Gra poza planszą

Rafał A. Ziemkiewicz

Cała polityczna gra wokół Trybunału Konstytucyjnego odbywa się poza jakąkolwiek planszą. Opuściliśmy ją już dawno. „Samoślubowanie" czterech sędziów jest tego kolejnym przejawem

Polska ma kolejne polityczne kuriozum, godne umieszczenia w sławnej „Księdze rekordów Guinnessa". Tym razem jest to decyzja o „samoślubowaniu", podjęta przez czterech spośród sześciu sędziów wybranych przez sejmową większość „hurtem" do Trybunału Konstytucyjnego – po ponad dwóch latach, w których trakcie ta sama większość trzymała się zasady, że TK nie istnieje, nie publikowała jego wyroków, nie wysyłała do niego żadnych spraw, nie wybierała w przewidzianych prawem terminach kolejnych sędziów w miejsce kończących kadencje i nawet demonstracyjnie odmówiła uwzględnienia wydatków Trybunału w projekcie budżetu państwa. Po tym, jak z owej szóstki prezydent zaprosił do złożenia ślubowania tylko dwie osoby, argumentując, że tylko tych dwoje wybrano w przepisowym terminie i tylko co do ich statusu nie ma wątpliwości, pozostali ogłosili, że w takim razie złożą ślubowanie nie, jak głosi konstytucja, przed prezydentem, ale w Sejmie, na jakiejś prywatnej uroczystości, na którą zaprosili Karola Nawrockiego listownie.

Na ten moment trudno powiedzieć, kto jest faktycznym pomysłodawcą tego zagrania, sami sędziowie, jak twierdzą media, Donald Tusk, a może Włodzimierz Czarzasty? Stąd nie ma pewności, czym właściwie ma być owo przedziwne samoślubowanie – częścią jakiegoś politycznego planu, „symbolicznym sprzeciwem" wobec decyzji prezydenta, a może tylko PR-owską przykrywką, mającą odwrócić uwagę od afery pedofilskiej, cięć w służbie zdrowia, inflacji, cen benzyny i innych problemów rządu? Cokolwiek da się powiedzieć dopiero po dalszych działaniach wspomnianej czwórki. Czy będą próbowali wejść do siedziby TK, żądać przydziału do spraw i wypłaty pensji? Czy Tusk podejmie próbę wprowadzenia ich tam siłą za pomocą policji lub firm ochroniarskich? A jeśli, czy będzie to wstęp do jakichś dalszych działań czy skończy się na awanturze, jak w wypadku prucia szaf pancernych w KRS czy wdarcia się do Pałacu Prezydenckiego po Wąsika i Kamińskiego?

KTO MA RACJĘ?

Jeśli brać pod uwagę argumenty merytoryczne, więcej ich ma prezydent. Zgodnie z prawem kolejni sędziowie powinni być wybierani pod koniec kadencji swych poprzedników, każdy osobną uchwałą. Ten konstytucyjny mechanizm miał zmniejszyć prawdopodobieństwo przejęcia kontroli nad Trybunałem przez jedną opcję polityczną i wybór „zaległych" sędziów hurtem, w dodatku bez jakiejkolwiek zmiany prawnej, która dawałaby choćby najsłabszy pozór uzasadnienia gwałtownej zmiany stanowiska rządzących polityków co do samego istnienia TK, jest oczywistym złamaniem reguł i próbą przechwycenia politycznej kontroli nad sądem konstytucyjnym. Tym bardziej że towarzyszyła mu zapowiedź wydłużenia kadencji nowo wybranych, poprzez liczenie ich od momentu wyboru.

Najdziwniejsze w tej sytuacji jest to, że tak oczywiste złamanie reguł wcale nie było z punktu widzenia władzy konieczne. Mogła przecież kolejnych swoich kandydatów wybrać we właściwych terminach. Uporczywe bojkotowanie TK, obliczone na podgrzewanie nastrojów najbardziej betonowego, antypisowskiego wyborcy, bazowało prawdopodobnie na niewzruszonej pewności Tuska i jego ludzi, że wygrają wybory prezydenckie. Pewni, że w Pałacu znajdzie się Rafał Trzaskowski, zamierzali zapewne przyjąć w wygodnej dla siebie chwili „ustawę naprawczą" (choć i ona byłaby bezprawiem – poza podpisem prezydenta konieczna byłaby tu jeszcze większość konstytucyjna); w zaistniałej sytuacji zdecydowano się na improwizację.

Czterech sędziów, których prezydent nie zaprosił do złożenia ślubowania, zgodnie z prawem ma na jego złożenie 30 dni – po ich upływie sejmowy wybór stanie się nieważny. A jedynym ciałem, władnym ocenić ich niejednoznaczny status, jest Trybunał Konstytucyjny, który ma wprawdzie w tej chwili cztery wakaty, ale, dzięki złożeniu ślubowania przez dwóch nowych sędziów, zachowuje niezbędne do podejmowania decyzji quorum. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że uzna on zarządzenie marszałka Sejmu, na mocy którego odbył się „hurtowy" wybór „zaległych" sędziów, za niekonstytucyjne. Wydaje się równie prawdopodobne, że koalicja

eprasa.pl d22c75f697

nie opublikuje tego orzeczenia i wróci do poprzedniej narracji, że Trybunał Konstytucyjny jest „nieistniejący". Plan przejęcia TK i uczynienia z niego swojej „trzeciej izby parlamentu" na wypadek utraty władzy, jeśli taki plan istniał, nie zostanie zatem zrealizowany, nie zostanie też przełamany pat i stan zawieszenia, w którym Trybunał pozostaje od lat. Chyba że Tusk zdecydowałby się na siłowy zamach stanu. Polityka, który swe rządy rozpoczął od zapowiedzi, że teraz będzie „demokracja walcząca", w której obowiązuje „prawo tak, jak my je rozumiemy", i że będzie robił „rzeczy, które purystom prawnym się nie spodobają", zawsze trzeba o takie zamiary podejrzewać. Ale sił do ich realizacji ma dziś Tusk znacznie mniej niż wtedy, gdy przejmował „na rympał" media państwowe, PAP i Prokuraturę Krajową.

ZACHÓD NA RATUNEK

Istota problemu tkwi w tym, że cała ta polityczna gra odbywa się poza jakąkolwiek planszą. Opuściliśmy ją już dawno – wedle orzeczenia Komisji Weneckiej z marca roku 2016 (tak, tyle już czasu się to ciągnie!) stało się to w momencie, gdy prezydent RP – wtedy Andrzej Duda – stworzył fakt dokonany, przyjmując ślubowanie od pięciu sędziów wybranych przez większość sejmową Prawa i Sprawiedliwości (w tym, jak później stwierdzono, trzech nielegalnie) na miejsce pięciu wybranych na koniec poprzedniej kadencji przez większość sejmową PO (w tym dwóch nielegalnie). Prezydent użył tu prawnej sztuczki, opierając się na zasadzie „domniemania konstytucyjności", zgodnie z którą każda ustawa i każdy wybór musi być uważany za legalny dopóty, dopóki nie zostanie lege artis stwierdzona jego bezprawność. A że wakatów było pięć, wybrał wedle swojego uznania jedną z możliwych piątek, gdyby PO wpadła na pomysł „skoku" na Trybunał wcześniej, gdy w Pałacu zasiadał jeszcze Bronisław Komorowski, mógłby zaprzysiąc piątkę PO-wską, i tak samo prawnym skutkiem byłoby uczynienie jej sędziami, a stwierdzenie potem nieprawnego sposobu wyboru miałoby znaczenie jedynie na przyszłość.

W kraju o innej kulturze prawnej, szczególnie wśród Anglosasów, pewnie by to przeszło. Ale u nas – by użyć sławnego bon motu z czasów PRL – PiS zagrał z PO w szachy, a PO z PiS w „dupniaka". Lewicowo-liberalna „klasa panująca" III RP bardzo długo wypierała swą podwójną przegraną w roku 2015, opowiadając sobie bajkę o rychłym „przebudzeniu" społeczeństwa, które uświadomi sobie, jak straszny popełniło błąd, wróci z płaczem po ratunek do odrzuconych w wyborach prezydenckich i parlamentarnych „elit" i masowo wyjdzie na ulice przeciwko „reżimowi" PiS. Były to czasy, gdy Tomasz Lis zapowiadał, że „na wiosnę przyjdą miliony i PiS-owcy będą z okien skakać", a Lech Wałęsa dopuszczał łaskawie, że stanie na czele buntu, ale dopiero wtedy właśnie, gdy pojawią się owe „miliony". Szaleństwo „wysadzonych z siodła" krzepiło się wiarą, że na PiS, licząc nieobecnych przy urnach, głosowało tylko poniżej 20 proc. wszystkich obywateli, a z kolei 8 mln, które głosowało na Komorowskiego, na pewno stawi się na zew, zbuduje pod Sejmem namiotowe miasteczka i obali „reżim". Głosy rozsądku, choćby socjologów Gduli i Sadurskiego, którzy wyjaśniali, dlaczego i jak PiS wygrał i jakie jest jego społeczne zaplecze, odrzucano.

W przegranych „elitach" zapanowało przekonanie, że kluczem do wywołania masowego buntu jest negatywna opinia o PiS wyrażona przez „Europę" (bo przecież w sondażach 90 proc. deklarowało wtedy, że popiera Unię). Stratedzy opozycji uznali też, że najlepszym tematem, pozwalającym wzbudzić w Polakach lęk, oburzenie i nastroje buntu, a jednocześnie uzyskać u organów unijnych jednoznaczne potępienie dla polskiego rządu, będzie właśnie oskarżenie go o łamanie konstytucji poprzez zawłaszczenie Trybunału Konstytucyjnego. Przyjęto zatem linię skrajnie fundamentalistyczną: sędziowie wybrani przez nowy Sejm to „dublerzy", Trybunału

„Licencja na zabijanie", czyli na łamanie prawa, którą Tuskowi dała Europa, wygasła. Premier ugrzązł, czego kuriozalne „samoślubowanie" jego nominatów do TK jest tylko jednym z przejawów. Trudno sądzić, by dostał zgodę na cokolwiek więcej niż pogłębianie prawnego chaosu

eprasa.pl d22c75f697

Sejmowe ślubowanie sędziów, których prezydent nie zaprosił do złożenia przysięgi przed nim FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Konstytucyjnego nie ma, PiS ma oddać władzę i nic mniej, ani kroku w tył.

W sukurs rząd – konkretnie minister Waszczykowski – postanowił przywołać Komisję Wenecką, licząc, że przeniesie ona sprawę ponownie na prawniczą szachownicę. Nie do końca tak się stało. Komisja potępiła wprawdzie bezprawie PO, wskazując je jako przyczynę kryzysu, ale potępiła także wybór przez PiS po raz drugi całej piątki sędziów, a nie tylko tych dwóch, których większość PO wybrać nie miała prawa. Było to zresztą stanowisko zbieżne z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego już po odebraniu ślubowania. Co istotne, Andrzej Rzepliński nie zakwestionował mocy „domniemania konstytucji" i prawa rzekomych „dublerów" do zasiadania w Trybunale, jakkolwiek ograniczył się do wypłacania im pensji i do końca swej kadencji jako przewodniczącego nie wyznaczał żadnego z nich do składu orzekającego w żadnej z konkretnych spraw.

Co najważniejsze, w konkluzji swego raportu Komisja Wenecka zaznaczyła, że sytuacja po zaprzysiężeniu piątki sędziów „rekonwalidowanych" (jak nazwał to poseł sprawozdawca PiS) zagraża niezawisłości Trybunału, ale ponieważ sytuacja ta nie została przewidziana przez ustawodawcę, nie ma żadnych przepisów, na podstawie których można ją rozstrzygnąć – to właśnie mam na myśli, mówiąc, że rozgrywka zaczęła toczyć się poza planszą – rekomendowanym przez Komisję sposobem wyjścia z kryzysu jest przyjęcie przez parlament większością konstytucyjną ustawy naprawczej.

Gwoli kronikarskiej ścisłości trzeba przypomnieć, że rekomendację tę (z której media wycięły i nagłośniły jedynie fragment krytyczny wobec PiS) próbował spełnić Paweł Kukiz, wzywając do ponadpartyjnej zgody w tej sprawie i oferując siebie jako mediatora. PiS, cokolwiek zaskoczony skalą zamieszania, które wywołała cała akcja, wyraził wstępną gotowość podjęcia rozmów, tak samo, w pierwszej chwili, zrobił Ryszard Petru, którego Nowoczesna cieszyła się wtedy większym sondażowym poparciem od PO. Natomiast ta ostatnia, w imię bożka polaryzacji, urządziła Petru w podporządkowanych jej mediach istny lincz pod hasłem „O konstytucji się nie dyskutuje". Okazało się to skuteczne, Petru szybko został złamany i wszedł w rolę junior partnera PO, w której po pewnym czasie został zmarginalizowany. PO wyciągnęła z tego sukcesu naukę, że twarda linia wobec Trybunału Konstytucyjnego i agregowanie emocji dobrze jej służą; postanowiła zatem – swoim zwyczajem kompletnie nie licząc się z dobrem państwa – stale ją radykalizować. I chociaż wkrótce potem manifestacje „w obronie konstytucji" zwiędły, a próba siłowego rozwiązania na wzór ukraińskiego Majdanu skończyła się upokarzającym i ośmieszającym opozycję „Ciamajdanem", PO pozostała tej linii wierna do dziś. Oczywiście niekonsekwentnie od czasu do czasu pewne orzeczenia Trybunału jednak uznawała czy też wysyłała na jego posiedzenia swych przedstawicieli, gdy jej to pasowało, by nazajutrz znowu wracać do narracji o „grupie przyjaciół magister Przyłębskiej", która żadnym sądem konstytucyjnym nie jest. Decyzja, by uznać rzekomy stygmat „dublerstwa" za dziedziczny i nie wybierać następców atakowanych sędziów po tym, jak wygasły ich kadencje, nie miała już żadnego, najbardziej nawet naciąganego uzasadnienia, i bodaj nawet jej uzasadniać nie próbowano.

ZMIANA TONU

Coś jednak się zmieniło. Wsparcie Unii Europejskiej, którym objęci byli dotąd Tusk i grupka najbardziej zajadłych rokoszan z Themis i Iustitii (nawiasem mówiąc, do czwórki „samoślubujących" sędziów wybrała koalicja Tuska przewodniczących obu tych skrajnie upolitycznionych „stowarzyszeń sędziowskich"), zostało wycofane. TSUE, po pięciu latach zwlekania z odpowiedzią na pytanie prejudycjalne w kwestii neosędziów, ostatecznie orzekł nie po myśli rządzących. Zmienił się też ton zachodnich liberalnych mediów, zwłaszcza niemieckich. Tusk nie jest już traktowany jako wzorzec „zwycięstwa nad populizmem", przeciwnie – jawi się jako polityk, który Europę zawiódł, „nie dowiózł" żadnej z obiecanych spraw, podawany jest nawet Péterowi Magyarowi jako przykład negatywny: jak już wygrasz z Orbánem, nie okaż się tak bezradny, jak on po wygranej nad PiS. „Licencja na zabijanie", czyli na łamanie prawa, którą dała mu Europa, wygasła. Liczono tam, że będzie ona krótkotrwałym przymknięciem oczu, Tusk osiągnie zakładane cele i narracja się wygładzi. Tymczasem Tusk ugrzązł, czego kuriozalne „samoślubowanie" jego nominatów do TK jest tylko jednym z przejawów. Trudno sądzić, by dostał zgodę na cokolwiek więcej niż pogłębianie prawnego chaosu i niemożności, i aby się w obecnej sytuacji odważył na więcej, ale na razie nie mamy co do tego pewności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

Grzegorz Rossoliński-Liebe: przypadek pewnej kariery

Piotr Semka

Ponad półtora roku temu na niemiecki rynek weszła książka „Polscy burmistrzowie wobec zagłady Żydów. Okupacja, administracja i kolaboracja", która wywołała bardzo ostre kontrowersje. Blisko 20 miesięcy tych sporów o książkę polsko-niemieckiego historyka dr. Grzegorza Rossolińskiego--Liebego to wystarczająco dużo czasu, żeby ocenić, co debata wokół tej kontrowersyjnej publikacji mówi nam o stanie dialogu historycznego na linii Polska – Niemcy

Grzegorz Rossoliński urodził się w 1979 r. w Zabrzu. To rejon Polski, z którego stosunkowo duże grupy ludzi emigrowały w latach 70. i 80. do RFN w ramach wynegocjowanego przez rządy w Bonn i Warszawie paktu o możliwości wyjazdu do zachodnich Niemiec osób uważających się za Niemców. To rejon zamieszkany przez ludzi, którzy jako Ślązacy często mają bardzo labilne poczucie tożsamości. Sam Rossoliński, który w RFN zaczął używać podwójnego nazwiska Rossoliński-Liebe, starannie unika deklarowania się pod kątem narodowościowym. W niemieckich mediach określany jest jako „polsko-niemiecki historyk" mieszkający w Berlinie.

Faktem jest, że od samego początku wybrał studia za zachodnią granicą. W latach 1995–2005 były to studia kultury i Europy Wschodniej na Europejskim Uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Już od 2002 r. był stypendystą Fundacji im. Friedricha Eberta. Kolejny etap jego naukowej kariery to lata 2007–2012, kiedy to współpracując z Kanadyjskim Uniwersytetem Alberty i Uniwersytetem w Hamburgu, przygotował rozprawę doktorską na temat lidera ukraińskich nacjonalistów Stepana Bandery. Efektem

FOT. ALFRED LANDECKER FOUNDATION

eprasa.pl d22c75f697

tych badań była biografia ukraińskiego nacjonalisty.

W 2014 r. Rossoliński-Liebe zmienił specjalizację. Porzucił tematykę ukraińską i skupił się na badaniach nad kolaboracją Polaków z III Rzeszą w czasie drugiej wojny światowej. Oczywiście każdy historyk ma prawo do zmiany obszaru zainteresowań naukowych, ale mimo wszystko tak wyraźne porzucenie tematyki ukraińskiej musi zwracać uwagę. W wypadku badań nad OUN i recepcją Holokaustu wśród diaspory ukraińskiej potrzebne było biegłe nauczenie się języka ukraińskiego do badania źródeł. Zazwyczaj historycy wykonując ciężką pracę nad nauką języka obcego, wykorzystują ten fakt i pozostają w swoich badaniach w tej tematyce.

Rossoliński-Liebe po latach 2016–2017 tematykę ukraińską niemal całkowicie porzucił. Jego nową specjalnością już na dobre stała się kolaboracja Polaków, co zbliżyło go do dr. Jana Grabowskiego z Uniwersytetu w Ottawie, specjalizującego się w badaniach nad Holokaustem, współzałożyciela Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii PAN – naukowca, którego prace już od ponad dekady wywołują w Polsce bardzo poważne zastrzeżenia i krytykę. Nic dziwnego, że wraz ze współpracą z Grabowskim Rossoliński-Liebe zaczął także stawiać coraz bardziej oskarżycielskie i kategoryczne sądy na temat postawy Polaków w czasie ostatniej wojny.

„ZARÓWNO OFIARY, JAK I SPRAWCY"

Jednym z pierwszych swoistych manifestów polsko-niemieckiego historyka w sprawie postawy Polaków w czasie drugiej wojny światowej był artykuł o kolaboracji podczas Holokaustu zamieszczony w niemieckim dzienniku „Der Tagesspiegel" w sierpniu 2019 r.

„Okupowane narody były zarówno ofiarami, jak i sprawcami. Stylizowanie ich tylko na ofiary narodowego socjalizmu jest uproszczeniem i ignoruje złożoność Holokaustu".

Rossoliński powołuje się na autorytet amerykańskiego historyka żydowskiego pochodzenia Saula Friedländera, który podkreślał konieczność badania kolaboracji jako czynnika, który ułatwił Niemcom zagładę Żydów. Co charakterystyczne, Rossoliński powoływał się też na polskie badania Barbary Engelking i Jana Grabowskiego, stawiające tezę, że w ostatniej fazie Holokaustu powstać miała „specyficzna dynamika między okupowanymi a okupantami prowadząca do »polowań na Żydów« i innych form prześladowania, w których uczestniczyli sołtysi, polscy policjanci, strażacy i »zwykli Polacy«".

Bardzo charakterystyczna była oskarżycielska część tekstu Rossolińskiego, która stawiała tezę, że pomijanie kolaboracji w badaniach naukowych przez pierwsze 60 lat po wojnie nie było przypadkiem. Według tego toku myślenia w krajach wschodnioeuropejskich przemilczano kolaborację jako „motyw niepasujący do kanonu heroicznych i narodowych tematów", a w Niemczech pomijano ten wątek, gdyż – jak pisze Rossoliński – „rzekomo kwestionował on niemiecką winę za Holokaust". Było ewidentne, że Rossoliński stara się wręcz zawstydzić Niemców, wskazując, że ich polityczna poprawność wobec Polski prowadziła do wstydliwego pomijania kolaboracji Polaków z hitlerowcami.

Formułując takie tezy, polsko-niemiecki historyk z Zabrza wpisywał się w tendencję, która w popularyzatorskim nurcie niemieckiej historii zaczęła dochodzić do głosu, począwszy od 2009 r. Jej symbolicznym początkiem był słynny materiał tygodnika „Der Spiegel" pod nazwą „Die Komplizen" („Współsprawcy"), który stawiał tezę, że wojenna zagłada Żydów nie byłaby możliwa bez masowej współpracy lokalnych kooperantów w okupowanych krajach Europy. Wątek ten bardzo silnie zarysowano też w serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" z 2013 r., który wywołał w Polsce ogromne oburzenie.

Trudno nie zauważyć, że przejście na tematykę kolaboracji Polaków z Niemcami bardzo posłużyło karierze Rossolińskiego. Lista instytucji, których stypendystą stał się historyk z Zabrza po 2014 r., może budzić respekt. Są na niej m.in. United States Holocaust Memorial Museum, amerykańska Claims Conference, Harry Frank Guggenheim Foundation, La Fondation pour la Mémoire de la Shoah, Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie czy wreszcie International Institute for Holocaust Research – instytucja powołana przez Yad Vashem.

Naturalnym zwieńczeniem etapu „polskiego" w badaniach Rossolińskiego była jego książka „Polscy burmistrzowie wobec zagłady Żydów". Badacz postawił w niej tezę, że polscy burmistrzowie stanowili kluczową grupę urzędników w aparacie administracyjnym Generalnego Gubernatorstwa. Wspólnie z Niemcami mieli brać znaczny udział w prześladowaniu Żydów, a poprzez swoje działania administracyjne byli niezwykle pomocni w ich unicestwieniu. Rossoliński-Liebe uzasadnia swoje tezy, przedstawiając sylwetki 28 polskich burmistrzów z 17 różnej wielkości miast Generalnego Gubernatorstwa – m.in. burmistrzów Warszawy, Lublina, Siedlec, Otwocka, Radomia, Kielc, Szczebrzeszyna czy Mszany Dolnej. Oskarża polskich włodarzy miast o sporządzanie list Żydów mieszkających na danym terenie czy przesiedlanie ich na polecenie okupanta z małych miejscowości do większych. Oskarżał też w swojej książce Juliusza Kulskiego, komisarycznego burmistrza Warszawy, o zawyżone opodatkowanie Żydów z getta warszawskiego w celu ratowania budżetu „aryjskiej" części miasta.

POLSKA REAKCJA NA KSIĄŻKĘ

Publikacja Rossolińskiego-Liebego ukazała się w sierpniu 2024 r. i nic dziwnego, że dopiero po pewnym czasie zaczęła budzić reakcje nad Wisłą. Fakt, że książka ukazała się wyłącznie na rynku niemieckim, stworzył naturalną barierę językową, która spowolniła reakcje polskich naukowców na kontrowersyjną książkę. Jednak w listopadzie 2025 r., czyli ponad rok po debiucie, ukazała się bardzo wyczerpująca recenzja książki dr. Damiana Sitkiewicza z Instytutu Pamięci Narodowej Oddziału w Warszawie. Na 50 stronach tekstu autor bardzo drobiazgowo kwestionuje zarówno język, jak i założenia badawcze pracy historyka z Zabrza. Zaczyna od praktyki nieużywania w książce określeń „władze niemieckie" i „administracja niemiecka", gdyż – jak tłumaczy Rossoliński – terminy takie są rzekomo „niezbyt precyzyjne" i „wymagające wyjaśnienia". Jednocześnie autor książki używa języka, który sugeruje, jakoby Generalne Gubernatorstwo było formą polskiego państwa, zależnego co prawda od okupanta niemieckiego, ale zażywającego dalekiego stopnia autonomii i czegoś na kształt suwerenności. W tej logice Rossoliński twierdzi, że „między II Rzecząpospolitą a GG istniała ciągłość prawna".

eprasa.pl d22c75f697

W książce Rossolińskiego pojawia się twierdzenie, że „rząd krakowski (czyli administracja Hansa Franka) sprawował władzę za pomocą „polsko-niemieckiego ustawodawstwa" i „polsko-niemieckiej administracji". Towarzyszą temu kuriozalne zdania, np. że Hans Frank był szefem tego rządu, ponieważ „Polacy postrzegali Niemców jako rasę panów". Recenzja dr. Sitkiewicza nie została omówiona w żadnym z niemieckich mediów, za to w promowanie książki Rossolińskiego zaangażował się Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, instytucja wykreowana przez stronę niemiecką. W listopadzie 2025 r. miało dojść do prezentacji książki w placówce muzealnej w Berlinie Topografia Terroru. Do spotkania nie doszło. Według niemieckiej pracy interweniował w tej sprawie polski ambasador w Berlinie na polecenie rządu Tuska. Ekipa Tuska ponoć nie chciała, aby spotkanie na temat kontrowersyjnej książki zakłóciło atmosferę wokół pierwszych od dłuższego czasu polsko-niemieckich konsultacji rządowych.

Niedługo potem w Polsce Fundacja Kulskich, broniąca pamięci o okupacyjnym burmistrzu Juliuszu Kulskim, ogłosiła list protestacyjny ponad 130 polskich historyków i osób zaangażowanych publicznie, protestujących przeciwko przeinaczeniom historycznym w książce Rossolińskiego-Liebego. To z kolei skłoniło „polsko-niemieckiego historyka" do stworzenia kontrlistu, pod którym podpisało się aż 360 historyków z całego świata. Można przypuszczać, że większość z nich nie znała książki, ale skłoniły ją do solidarnościowego podpisu twierdzenia w liście, że Rossoliński padł ofiarą sponsorowanych przez państwo polskie zniesławiających ataków. Wspomniany list głosił też, że trwa kampania zastraszania naukowców i ograniczania wolności akademickiej w Polsce i w Niemczech. Jako siły zła przedstawiono w tym dokumencie Instytut Pamięci Narodowej, Ambasadę RP w Berlinie, Fundację Kulskich, Polską Akademię Nauk i „kilku prawicowych dziennikarzy".

List był ogromnym sukcesem propagandowym Rossolińskiego-Liebego. Przedstawiał on normalną polemikę naukową, którą podjęli historycy IPN, jako niedopuszczalny akt agresji międzynarodowej. Pod listem broniącym historyka z Zabrza udało się jego zwolennikom zebrać podpisy tak ważnych badaczy Holokaustu jak Antony Polonsky czy np. Oleksandr Kruglov z Babi Yar Holocaust Memorial w Kijowie. Zwracała też uwagę spora liczba polskich nazwisk spośród historyków aktywnych w placówkach naukowych na Zachodzie. W końcu niemiecki dziennik „FAZ" opublikował sekwencję tekstów broniących Rossolińskiego oraz sam tekst autora książki o burmistrzach polskich w czasie Holokaustu, który długo pozostawał bez jakiejkolwiek polemiki.

Dopiero w marcu br. „FAZ" pozwolił na jakąkolwiek odpowiedź w postaci tekstu Hanny Radziejowskiej i Mateusza Fałkowskiego, którzy stoją na czele Instytutu Pileckiego w Berlinie. Dwoje polskich autorów pisało: „W obecnej debacie (w RFN) widoczne jest mechaniczne kopiowanie wyobrażeń okupacji w zachodniej Europie i projektowanie go na wschodnią Europę [...]. Rzeczywistość w okupacyjnej Polsce miałaby odpowiadać sytuacji np. Holandii, Norwegii, Francji czy Danii. W Danii możliwym było jednak wyjść na ulicę i demonstrować przeciwko przemocy wobec żydowskich obywateli. 81 lat po zakończeniu wojny oczekuje się od Polaków, że powinni byli zrobić wtedy to samo, choć w Polsce byłaby to sytuacja niewyobrażalna nie z powodu antysemityzmu (który w przedwojennej Polsce, jak pisał Antony Polonsky, nie był większy niż w innych częściach Europy), ale ze względu na codzienny terror i masowe rozstrzeliwania. W okupowanej Polsce stacjonowało w sposób stały od 600 000 do 1 mln niemieckich żołnierzy policji i funkcjonariuszy. Daje to statystycznie ok. 50 mieszkańców na jednego uzbrojonego niemieckiego żołnierza. Dlatego trudno mówić o jakichkolwiek »swobodnych przestrzeniach działania« polskiego społeczeństwa, o których mówi Rossoliński-Liebe".

GORZKIE WNIOSKI

Bilans tej historycznej potyczki na linii Rossoliński-Liebe – część polskich historyków w Polsce jest dla twórcy książki o burmistrzach wobec Holokaustu zdecydowanie korzystny. Pod swoim listem poparcia dla siebie zebrał wiele nazwisk pierwszorzędnych niemieckich historyków, a także znanych badaczy Holokaustu. Promocją jego książki zajął się Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej w Berlinie, który stanowi czołową placówkę powiązaną z rządem niemieckim, poświęconą badaniom naszych wzajemnych relacji. Dwóch znanych niemieckich historyków – Andreas Löw oraz Stephan Lehnstaedt – wystąpiło na łamach dziennika „FAZ" wręcz z apelem do swoich kolegów po fachu, aby przestali się bać i wystąpili w obronie Rossolińskiego-Liebego. Także w pozostałych niemieckich mediach przeważa stereotyp, że Rossoliński-Liebe padł ofiarą nacjonalistycznej nagonki w Polsce. Podobnie zresztą przyjęto wcześniejszą dymisję Krzysztofa Ruchniewicza z funkcji szefa Instytutu Pileckiego.

W niemieckich mediach przeważa stereotyp, że Rossoliński-Liebe padł ofiarą nacjonalistycznej nagonki w Polsce

Wszystko to pokazuje, jak głębokie niekorzystne zmiany nastąpiły w dialogu historycznym na linii Polska – Niemcy. W tym kontekście hucznie obchodzona niedawno we Wrocławiu 60. rocznica listu polskich biskupów do niemieckich znalazła się w aurze oderwania od realiów faktycznego stanu pojednania po obu stronach Odry. I wreszcie ostatnia refleksja. Przez wiele lat nie podejmowałem pesymistycznych prognoz, że przejście sporej grupy studentów z Polski przez niemieckie uczelnie wytworzy kastę historyków, którzy będą podzielać niemieckie spojrzenie na nasze skomplikowane relacje. Grzegorz Rossoliński-Liebe to jednak historyk, który dokładnie wprowadza w życie tego typu wersje dziejów i mówi to, co Niemcy bardzo chcą usłyszeć. Teza Rossolińskiego-Liebego, że Holokaust był „transnarodowy", relatywizuje i pomniejsza odpowiedzialność Niemców za europejską zagładę Żydów. To, że w Polsce wywołuje to stosunkowo małą reakcję, świadczy o stanie polskich elit. I – co gorsza – źle wróży na przyszłość. Bo tendencje, które tak wyraźnie zaprezentował historyk z Zabrza, podejmować mogą także kolejni polscy absolwenci niemieckich uczelni i stypendyści niemieckich fundacji. Pójdą już utwardzonym szlakiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

Jan Paweł II w ogniu kłamstw TVN

Piotr Gontarczyk

Niedawny wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie uchylił półmilionową karę nałożoną przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji na TVN za reportaż „Franciszkańska 3", zarzucający biskupowi krakowskiemu Karolowi Wojtyle (późniejszemu Janowi Pawłowi II) tuszowanie pedofilii w Kościele. Można to potraktować jako kolejny przejaw głębokiego kryzysu polskiego wymiaru sprawiedliwości

Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji zwróciła się do mnie z prośbą o opinię w sprawie rzetelności użycia kluczowych dla wyemitowanego 6 marca 2023 r. reportażu „Franciszkańska 3" dokumentów, czyli akt Służby Bezpieczeństwa. Nie było to dla mnie nic nowego: od ponad ćwierćwiecza na co dzień zajmuję się pracą z tymi materiałami tak w działalności naukowej (choćby analizy akt Lecha Wałęsy, Aleksandra Kwaśniewskiego czy Józefa Oleksego), jak w ramach ekspertyz sporządzanych na potrzeby różnych organów państwa i sądów. Jedyną nowością w tej sprawie był fakt, że tylko kilka razy pracowałem z dokumentacją pionu IV SB zajmującego się zwalczaniem Kościoła w PRL.

Nie będę komentował stanowiska KRRiT, które zarzucało autorom reportażu „występowanie w audycji treści sprzecznych z prawem i dobrem społecznym, godzących w uczucia religijne, w tym konkretnym wypadku katolików i dezinformujących opinię publiczną, co stanowi naruszenie art. 18 ust. 1 i 2 ustawy o radiofonii i telewizji". Zawsze stałem na stanowisku, że tylko prawda ma jakiekolwiek znaczenie, miałem obowiązek przeanalizować wyłącznie to, co kilka zdań wcześniej napisano w stanowisku KRRiT, czyli ustalić, czy omawiany reportaż został sporządzony w sposób rzetelny. Analizując dokumenty SB i sporządzając kilkudziesięciostronnicową opinię, kierowałem się zatem wyłącznie próbą ustalenia, czy reportaż Marcina Gutowskiego rzetelnie odzwierciedla fakty, a formułowane przez niego zarzuty znajdują potwierdzenie w wykorzystywanych aktach operacyjnych bezpieki. Omawiając wyniki tej analizy, będę posługiwał się sygnaturami akt archiwalnych oraz informacją o godzinie i minucie podanych w czasie emisji programu informacji tak, żeby to, co tu zostało napisane, mogło zostać łatwo zweryfikowane.

Generalnie reportaż „Franciszkańska 3" wspomina trzy przypadki księży, którzy mieli być pedofilami, a których bp Karol Wojtyła miał „kryć", przerzucając ich z parafii na parafię. Chodzi o ks. Bolesława Sadusia, ks. Józefa Loranca oraz ks. Eugeniusza Surgenta. Pierwszy miał homoseksualne skłonności, nad którymi starał się panować. Mając wiedzę na ten temat, na jego prośbę Wojtyła wysłał Sadusia do Austrii, która mierzyła się w latach 70. ubiegłego wieku z kryzysem powołań. W zachowanych dokumentach nie ma nic na temat pedofilii. Autorzy reportażu udali się nawet do Austrii, gdzie przedstawiciel parafii ks. Sadusia ciepło opowiedział o zasługach księdza i samego Jana Pawła II (20.43–21.14). Co tym materiale potwierdza „krycie pedofila" przez abp. Wojtyłę? Nic, absolutnie nic.

Nieco inna jest sprawa ks. Józefa Loranca (21.47–21.55). Tu analiza akt SB potwierdziła, że nie było mowy o tolerowaniu przestępczych skłonności. Moja analiza pokrywała się z wcześniejszymi ustaleniami w tej sprawie opublikowanymi w „Rzeczpospolitej" przez Tomasza Krzyżaka i Piotra Litkę („Wojtyła do księdza pedofila: »Każde przestępstwo winno być ukarane«", 2 grudnia 2022 r.). Także tutaj zarzuty ukrywania faktu krzywdzenia dzieci przez bp. Wojtyłę są chybione. Jedynym przypadkiem naprawdę poważnym i wartym uwagi jest ten dotyczący ks. Eugeniusza Surgenta.

AWANTURNIK

O ile wcześniej materiał „Franciszkańska 3" zawierał tylko domysły i insynuacje, o tyle tutaj reportaż „Franciszkańska 3" sprawę stawia wyjątkowo jasno: to pedofil „kryty" przez Karola Wojtyłę, który wiedział, że Surgent krzywdzi dzieci, i przenosił „seksualnego drapieżcę" z parafii na parafię. Analiza akt SB, które były podstawą reportażu Marcina Gutowskiego, potwierdza, że często zmieniał on miejsce wykonywania czynności duszpasterskich. Ale ich powodem były wywoływane przez niego – chodziło o ambicje i wpływy – kłótnie i konflikty. Jak wynika z dokumentów SB, powody krótkich pobytów w kolejnych parafiach ks. Surgenta były oczywiste: „W każdej z nich był stosunkowo krótko, a to dlatego, że zawsze popadał w kolizję z proboszczami. Uważany jest za księdza skłonnego do stwarzania poróżnień i waśni między proboszczem a parafianami. Lubi urabiać ludzi po swojej stronie (AIPN Kr 009/8081 akta archiwalne Tajnego Współpracownika ps. Georg, czyli Eugeniusza Surgenta, t. 1, k. 21).

Wedle innego dokumentu: „Z pobytu w tamtejszych placówkach dał się poznać jako demagog i skłonny do stwarzania poróżnień i waśni między księdzem proboszczem a parafianami. W Lachowicach miał jakieś historie z proboszczem na

eprasa.pl d22c75f697

tle władzy i rządzenia parafią. Lubi urabiać ludzi po swojej stronie, bazując szczególnie na tym, że jest lwowiakiem, sierotą, biednym i bezdomnym. U ludzi to chwyta, a on ma ku temu wyjątkowe zdolności. Daje to jemu także osobiste korzyści, na które liczy m.in. w Lachowicach, dlatego jakaś rodzina zapisała mu pewną ilość gruntu, kupiono mu motocykl, aby dojeżdżał na naukę religii. Tak grunt, jak i motocykl sprzedał. To sprawiło, że część parafian wyraziła swe niezadowolenie, robiono szum, ktoś z kurii jeździł tam, aby tę sprawę załagodzić i pogodzić go z proboszczem. Skończyło się tym, że został stamtąd przeniesiony do Oświęcimia […]. [Po usunięciu Surgenta z Wieliczki] Są tacy, co jeżdżą z delegacją do kurii, piszą listy do kurii i do proboszcza anonimowe. Ludzie ci podejrzewają proboszcza, że on przyczynił się do przeniesienia ks. SURGENTA. Proboszcz ks. GROHS [de Rosenburg] W.[ładysław] wścieka się z tego powodu, kuria ma jednak swoje zdanie o ks. SURGENCIE, znając go jako rozrabiacza […]. Obecnie ma być przydzielony do Parafii Lipnica Wielka. Księży z parafii w Wieliczce miał przeciwko sobie, a najwięcej ks. DOBRZANOWSKIEGO St.[anisława], który jest obecnie w Wawrzeńczycach" (AIPN Kr 009/8081, t. I, wyciąg z notatki ze spotkania z TW „Karol" z 11 grudnia 1964 r., k. 52).

Te i inne dokumenty SB nie pozostawiają wątpliwości, że powodem przenoszenia ks. Surgenta z parafii na parafię było jego awanturnictwo, a nie jakakolwiek wiedza o jego pedofilskich skłonnościach, których nie miała wówczas ani hierarchia kościelna, ani SB. Publicyście Ekke Overbeekowi w promowanej w reportażu książce pt. „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział" ze skłonnością do pedofilii skojarzyło się „zorganizowanie boiska, klubu sportowego i kółka ministrantów" (s. 246).

A teraz na poważnie: Marcin Gutowski znał te dokumenty, pominął informację, o co w nich w rzeczywistości chodzi, przywołując tyko jeden z nich z komentarzem, że z kolejnej parafii ks. Surgent odszedł „w atmosferze skandalu" (21.31). Nie zrelacjonował, o jaki rodzaj „skandalu" tu chodziło (intrygi), i „dopowiedział" widzowi: „Pobłażliwość abp. i kard. Wojtyły wobec seksualnego drapieżcy w sutannie, który wykorzystywał dzieci, trwała kilkanaście lat". Stawiam pytanie, czy autor reportażu zrobił to świadomie: stworzył dowód pod swoją tezę, wiedząc, że dokumenty Służby Bezpieczeństwa, z których korzystał, nic takiego nie potwierdzają. W podsumowaniu analizy dla KRRiT opisałem reportaż „Franciszkańska 3" jako skrajnie nierzetelny.

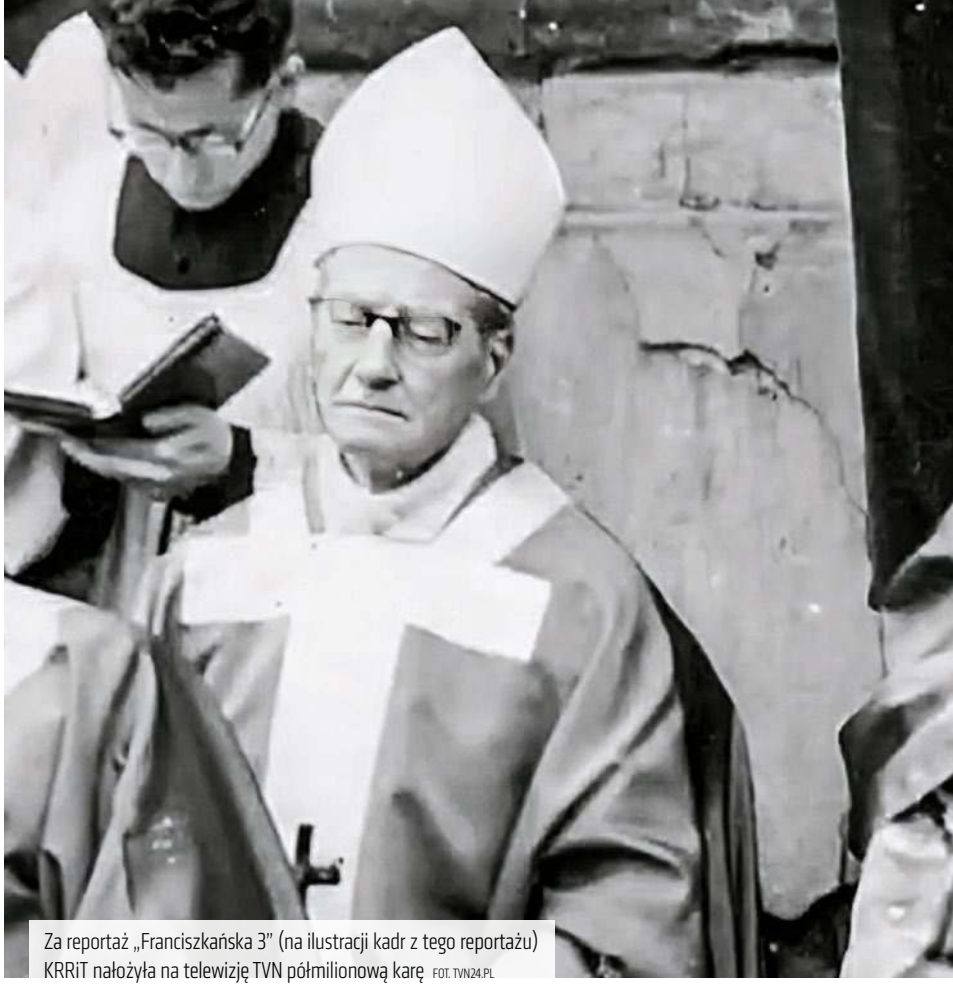

Za reportaż „Franciszkańska 3" (na ilustracji kadr z tego reportażu) KRRiT nałożyła na telewizję TVN półmilionową karę FOT. TVN24.PL

KONTROWERSJE

KRRiT nałożyła na telewizję półmilionową karę, argumentując: „Eksperci wykazali brak obiektywizmu i rzetelności dziennikarskiej. Zauważyli, że materiał jest stronniczy, przygotowany z wybiórczą selekcją źródeł, ahistoryczną interpretacją faktów i zdarzeń. Twórcy audycji posłużyli się technikami manipulacyjnymi, zakazanymi w pracy dziennikarskiej, takimi jak: insynuacja, używanie określeń tzw. utrwalaczy, stosowanie fałszywych powiązań emocji i osób, plotka". Te w pełni zasadne słowa w dużej mierze pokrywały się z wnioskami z mojej analizy. Niedługo później ukazał się artykuł Tomasza Krzyżaka i Piotra Litki („Plus Minus" z 14–15 marca 2026 r.) napisany na podstawie niedostępnych wcześniej akt ks. Surgenta. Tekst w pełni potwierdza to, co w przypadku analizy akt SB wykorzystanych w reportażu „Franciszkańska 3" było rzeczywistością: teza, jakoby bp Karol Wojtyła przenosił trzech „księży pedofilów", kryjąc ich skłonności i przyczyniając się do krzywdy dzieci, nie ma potwierdzenia w żadnych dokumentach, do których dotarł Gutowski. Odwrotnie: one wykreowanym przez niego zarzutom przeczą. Opisałem to publicznie w 2023 r. w jednym z tygodników, podobnie jak wcześniej w ekspertyzie dla KRRiT, nazywając omawiany reportaż mistyfikacją. Nie było żadnej odpowiedzi. Zarówno Ekke Overbeek, jak i Marcin Gutowski zareagowali dopiero niedawno

Stawiam pytanie, czy autor reportażu świadomie stworzył dowód pod swoją tezę, wiedząc, że dokumenty Służby Bezpieczeństwa, z których korzystał, nic takiego nie potwierdzają

eprasa.pl d22c75f697

Nie będzie to pierwszy ani 150. wyrok polskiego sądu, który zawiera oczywiste brednie

po artykule Krzyżaka i Litki. Holenderski dziennikarz powiedział: „Zasłona dymna […], widzimy tylko to, co Kościół chce, żebyśmy widzieli. Piszą na podstawie informacji, do których Kościół chce, żebyśmy mieli dostęp. Pytanie, czy ktoś nie oczyścił archiwum i co jest w tajnym archiwum" (TOK FM, 17 marca 2026 r.). Kłopot w tym, że zarzuty postawione przez autora Karolowi Wojtyle w sprawie rzekomego ukrywania „księży pedofilów" wcześniej formułował na podstawie akt SB, a nie w oparciu o „tajne archiwa Kościoła", o których nikt oprócz Overbeeka nie słyszał.

Lekceważąco artykuł z „Plusa Minusa" skomentował też Gutowski: „Napływają do mnie od kilku dni pytania: Dlaczego nie reagujesz? Uważałem, że nie ma po co, bo nic specjalnie nowego się w sprawie nie wydarzyło. Ot, dwóch autorów poszło do archiwum, niczego nie znalazło i na tej podstawie postawiło arbitralnie tezę, że bp Wojtyła niczego nie ukrywał. To już było" (portal X z 16 marca 2026 r.). Później autor „Franciszkańskiej 3" powołał się na dostępne dokumenty archiwalne oraz zeznania pokrzywdzonych, sygnalistów i świadków. Jakie dokumenty archiwalne? Te Służby Bezpieczeństwa, które wykorzystał w skrajnie nierzetelny sposób? W sprawie świadków: Marcin Gutowski w swoim reportażu konfrontuje widza z jednym takim przypadkiem, ofiarą ks. Eugeniusza Surgenta. To obszar bardzo trudny, dotyczący osób, których dotknęło nieszczęście, pełne dramatycznych wspomnień, w kontaktach z którymi trzeba zachować szczególną ostrożność i wyczulenie, by nie powiększyć traumy. Wskazana tu jest obecność psychologa i ostrożność. Ale Marcin Gutowski pyta ofiarę wprost:

– [M.G.:] Wiedział pan wtedy, że jest odwoływany z parafii ze względu na oskarżenia [o pedofilię]? […]

– [Ofiara:] Ależ skąd […].

– [M.G.:] Wie pan, kto przenosił go wtedy z parafii na parafię [w związku z zarzutami o pedofilię]?

– [Ofiara:] No nie wiem.

– [M.G.:] Kardynał Karol Wojtyła.

– [Ofiara:] No tak przypuszczałem. No tak przypuszczałem. Och… No właśnie…" (21.34–21.36). Tu ofierze zostało wprost wskazane (bez dowodów), że za jej cierpienie był odpowiedzialny Karol Wojtyła. Takie zachowanie dziennikarza można uznać za niefrasobliwy błąd. Z drugiej strony można podejrzewać cynizm i bezwzględność we wkładaniu ofierze w usta tego, co miała w reportażu potwierdzić.

KORZYSTNY WYROK

27 marca 2026 r. Sąd Okręgowy w Warszawie uchylił decyzję KRRiT, cofając tym samym wysoką karę nałożoną na TVN. Wedle doniesień Onetu w ustnym uzasadnieniu sąd argumentował: „Państwo polskie nie dokonało dogłębnego rozliczenia zjawiska pedofilii w Kościele katolickim, a poruszanie w materiałach dziennikarskich tak doniosłych społecznie tematów, jak ochrona małoletnich wobec instytucji zaufania, jakimi są kościoły i związki wyznaniowe, jest fundamentem demokracji". A co to wszystko ma wspólnego z reportażem „Franciszkańska 3"? Sąd miał dodać w uzasadnieniu „materiał dziennikarza TVN był przygotowany rzetelnie i zgodnie z zasadami rzetelności dziennikarskiej". Nie będzie to pierwszy ani 150. wyrok polskiego sądu, który zawiera oczywiste brednie.

Ale po nim na łamach TVN24 Gutowski w triumfalnym wywiadzie opowiadał, jaki to jest rzetelny i wiarygodny. Kłopot w tym, że wspomniany wyrok ma zerową wartość. Jak setki podobnych, w tym także ten, że Lech Wałęsa nie był agentem SB. Wszystko to są prawnicze przepychanki, w krysztale pomyje, które często narzucają polskiej przestrzeni publicznej to, co jest z gruntu kłamliwe, śmieszne, czasem zupełnie niepoważne. Taką rolę odgrywa tu wspomniany wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie w sprawie reportażu „Franciszkańska 3". Rzeczowa analiza tego materiału pokazuje, że postawione w nim „dowody" tuszowania pedofilii w Kościele przez biskupa krakowskiego Karola Wojtyłę są mistyfikacją. A metody działania pana Gutowskiego zawsze będą nie do obrony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

NFZ znów tnie

FOT. ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER

Radosław Wojtas

Szukanie oszczędności w systemie ochrony zdrowia to zajęcie, które zdaje się nie mieć końca, a tak naprawdę w obecnych warunkach nie ma sensu. Ilekolwiek by w tym sektorze pieniędzy było – zawsze okaże się, że jest ich za mało. „Nowe zasady rozliczania" (czyli drastyczne cięcie finansowania dla szpitali) nadwykonań niektórych badań diagnostycznych to kolejny plaster naklejany na otwarte złamanie. Szukanie oszczędności tu i teraz, które może mieć negatywne konsekwencje dla zdrowia i życia pacjentów

Ograniczenia mogą skutkować sytuacją, w której dostęp do badań stanie się trudniejszy dla pacjentów wymagających pilnej diagnostyki, a placówki będą zmuszone do selekcji świadczeń. W konsekwencji może to wydłużyć ścieżkę diagnostyczną i opóźnić rozpoczęcie leczenia" – ostrzega Naczelna Izba Lekarska w kontekście cięć dla szpitali za nadwykonania niektórych badań.

– W medycynie samo pojęcie „wykonania usługi" nie powinno właściwie funkcjonować. W naszej pracy nie chodzi o realizowanie usług, lecz o udzielanie świadczeń wtedy, kiedy są one rzeczywiście potrzebne. Leczymy pacjenta w momencie, w którym wymaga tego jego stan zdrowia. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś się decydował na kolonoskopię czy gastroskopię dla przyjemności: to badania wykonywane z konkretnych wskazań, a nie na życzenie – powiedział wiceprezes Naczelnej Rady Lekarskiej Klaudiusz Komor.

FUNDUSZ ZAPŁACI MNIEJ, ALE ZA TO PÓŹNIEJ

Narodowy Fundusz Zdrowia szuka oszczędności na finansowaniu takich badań jak: gastroskopia, kolonoskopia, rezonans magnetyczny i tomografia komputerowa. Pierwsza propozycja NFZ zakładała, że od 1 kwietnia za każde badanie powyżej limitu określonego w zawartym kontrakcie Fundusz zapłaci jedynie 40 proc. wartości. Zmiany te miały wejść w życie od początku 2026 r. Krytyka tego rozwiązania sprawiła, że propozycję złagodzono. „Konsultacje społeczne trwały dwa tygodnie. W ich wyniku przychylono się do zgłaszanych sugestii i podwyższono stawkę z propo-

eprasa.pl d22c75f697

nowanego pierwotnie poziomu 40 proc. do: w endoskopii (gastroskopia i kolonoskopia): 60 proc., w diagnostyce obrazowej (tomografia komputerowa i rezonans magnetyczny): 50 proc. – ogłosił w komunikacie Narodowy Fundusz Zdrowia. – Uwzględniono również postulaty przesunięcia zmiany na II kwartał 2026 r., dlatego nowy model rozliczania nadwykonań będzie dotyczył świadczeń udzielonych od 1 kwietnia br. Świadczenia wykonane w I kwartale 2026 r. zostaną rozliczone na dotychczasowych zasadach, czyli w 100 proc.".

Z tych ograniczeń wyłączone są świadczenia dla dzieci i młodzieży do 18. roku życia, pacjentów onkologicznych z kartą DiLO oraz pacjentów korzystających z programu profilaktyki raka jelita grubego. Dla całej reszty wielomilionowej populacji ubezpieczonych chorych (w tym m.in. osoby starsze, diagnozowane pod kątem schorzeń neurologicznych, chorób układu krążenia czy wczesnych stadiów guzów bez jeszcze wystawionej karty) szpitale i przychodnie otrzymują głęboko zaniżoną stawkę. Co więcej, NFZ zapłaci za nadwykonania dopiero na koniec roku. Wcześniej rozliczenia były kwartalne.

To prosta droga do wydłużenia kolejek – alarmują lekarze. „Kolejki już dziś są codziennością polskiej ochrony zdrowia. W ostatnich latach udało się je skrócić m.in. dzięki zniesieniu limitów i zwiększeniu finansowania, jednak złe decyzje NFZ mogą odwrócić ten trend. Już teraz w wielu pracowniach kontrakty są bardzo niskie, a z części ośrodków, zwłaszcza endoskopowych, napływają sygnały, że pacjenci zapisani na kwiecień br. otrzymują propozycje terminów przyjęć dopiero na 2027 r. W niektórych miejscach limity mogą wyczerpać się w ciągu najbliższych tygodni" – ostrzega Naczelna Izba Lekarska.

Fundusz odbija piłeczkę i podkreśla, że wzrost kosztów świadczeń jest zbyt drastyczny i cięcia są nieuniknione. Podaje przykłady zmiany kosztów kilku badań na przestrzeni czterech lat (od 2021 do 2025 r.): tomografii komputerowej (wzrost o 64 proc.), rezonansu magnetycznego (wzrost o 58 proc.), kolonoskopii (wzrost o 82 proc.) i gastroskopii (wzrost aż o 133 proc.). Głównym winowajcą jest tu ustawa podwyżkowa w publicznej ochronie zdrowia. Szczytnym celem regulacji wprowadzanych za czasów premierostwa Mateusza Morawieckiego były m.in. zahamowanie emigracji personelu medycznego z Polski oraz rynkowe uregulowanie skomplikowanej siatki płac. W praktyce wdrożono mechanizm potężnie inflacyjny i destrukcyjny dla budżetów placówek w sektorze publicznym. Każdego roku 1 lipca koszty po stronie szpitali skokowo rosną. Wzrost ten jest obligatoryjny i niezależny od lokalnych uwarunkowań rynkowych, niezależny od tego, czy dany szpital wygenerował oszczędności. Jak podkreśla dr Sławomir Dudek w raporcie Instytutu Finansów Publicznych, dynamika wzrostu wymaganych prawem wynagrodzeń w ochronie zdrowia w 2025 r. wyniosła aż 14,3 proc.

220 mld zł

TYLE WPŁACILIŚMY DO BUDŻETU NARODOWEGO FUNDUSZU ZDROWIA W 2025 R.

W lipcu płace lekarzy i pielęgniarek znów mają wzrosnąć – o 9 proc. Podstawowa pensja lekarza będzie wynosić prawie 13 tys. zł, a pielęgniarki – prawie 11,5 tys. zł. Jednak lekarze zatrudnieni na kontraktach, np. ci, którzy zarabiają określony procent od każdej wykonanej procedury, inkasują znacznie więcej. Niektórzy ponad 100 tys. zł, a rekordziści nawet ponad 200 tys. zł miesięcznie.

KONIEC NADUŻYĆ?

Narodowy Fundusz Zdrowia używa jeszcze jednego argumentu. Ujawnił wyniki kontroli, która wykazała nadużycia zawyżające koszty diagnostyki. Niektóre placówki oczekują kilku skierowań od pacjentów wymagających np. badania rezonansem magnetycznym lub tomografem komputerowym. Badania te wykonują kilkukrotnie, w nieodległych od siebie terminach. NFZ wskazuje, że w takich przypadkach powinno być wykonane tylko jedno badanie, które miałoby objąć kilka obszarów. Jednak wówczas placówka medyczna otrzymałaby zapłatę tylko raz, a jeśli przeprowadza kilka procedur, to zarabia kilkukrotnie.

„Tę nieprawidłowość stwierdzono w ponad 8,2 tys. badań rezonansu magnetycznego spośród 12 tys. kontrolowanych. NFZ poniósł więc dodatkowe koszty, a pacjent musiał zgłaszać się na badania kilka razy – podaje Fundusz. – Taki sposób realizacji świadczeń spowodował, że na blisko 12 tys. kontrolowanych badań rezonansu magnetycznego, za które NFZ zapłacił ze środków ubezpieczonych blisko 4,9 mln zł, koszt wykonania zawyżono o ponad 1 mln zł. W trakcie kontroli ustalono również, że o samo rozdzielanie skierowań wnosiły pracownie wykonujące te badania".

Fundusz zapowiedział powołanie specjalnego zespołu ekspertów, który przygotuje „m.in. standard kierowania na wybrane badania obrazowe oraz standard w zakresie opisu/interpretacji badania radiologicznego dla wybranych wskazań". W jego skład ma wejść m.in. prof. Edyta Szurowska, konsultant krajowa w dziedzinie radiologii i diagnostyki obrazowej.

WOREK BEZ DNA

Zmiany mają przynieść oszczędności rzędu 625 mln zł. Co do tego, że pieniądze te nie rozwiążą żadnego problemu systemu opieki zdrowotnej w Polsce, nie można mieć wątpliwości. To system bez dna, do którego corocznie wrzucamy coraz więcej pieniędzy. I im bardziej je tam wrzucamy, tym bardziej ich tam nie ma. W pierwszym pełnym roku istnienia NFZ wpłaciliśmy tam 38 mld zł. W 2021 r. budżet NFZ po raz pierwszy przekroczył 100 mld zł. W 2025 r. wpłaciliśmy rekordowe 220 mld zł. Plan finansowy Funduszu na 2026 r. również zakłada budżet ponad 200 mld zł. I wciąż słyszymy, że pieniędzy brakuje.

Ministrowie i rządy się zmieniają, a ta jedna rzecz jest stała: niezależnie od budżetu pieniądze na ochronę zdrowia kończą się szybciej niż cierpliwość pacjentów szpitalnych oddziałów ratunkowych. Z powodu kryzysu, w którym jest pogrążony system ochrony zdrowia, opozycja zapowiedziała złożenie wotum nieufności wobec minister zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy. Koalicja zapowiedziała, że będzie minister bronić. I tak to się kręci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

Ekscentryk z Łodzi

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Do Sejmu wszedł z listy Koalicji Obywatelskiej. Szybko okazało się, że oprócz skłonności do „autolansu" i nie zawsze mądrych wypowiedzi poseł Marcin Józefaciuk potrafi kontrolować władzę skuteczniej niż opozycja

Marcin Józefaciuk podczas swojej konferencji prasowej w Sejmie, 28 listopada 2025 r.

FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

To już kolejny raz, kiedy muszę docenić Pańską pracę, mimo iż światopoglądowo jesteśmy na przeciwległych biegunach. Brawo!". „Pozytywnie mnie Pan zaskoczył, muszę przyznać". „Niby lewica, ale szanuję […]. Możemy się kłócić, dyskutować i spierać, ale tu jest godny interlokutor". „Swoją pracowitością zyskał Pan szacunek wielu ludzi z drugiej strony barykady" – tego rodzaju komentarze pojawiają się pod wpisami Marcina Józefaciuka w mediach społecznościowych coraz częściej. Przeciwnicy rządu Donalda Tuska cenią parlamentarzystę za podejmowane tematy: walkę z alienacją rodzicielską, troskę o edukację domową, interwencje poselskie w Ministerstwie Edukacji Narodowej w związku z likwidacją prac domowych w trzech pierwszych klasach szkoły podstawowej.

Co ciekawe, Marcin Józefaciuk, będący zadeklarowanym homoseksualistą, cieszy się szczególnym szacunkiem wśród mężczyzn, także tych o prawicowych poglądach. To efekt podnoszonego postulatu zrównania wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn, nagłaśniania problemu męskiej depresji czy podkreślania, że mężczyznom trudniej jest uzyskać opiekę nad dzieckiem po rozwodzie. Dodatkowo Józefaciuk chętnie włącza się w akcje profilaktyczne poświęcone męskiemu zdrowiu – i fizycznemu, i psychicznemu.

WBREW LINII RZĄDU

Początkowo lewicowo-liberalny establishment postrzegał 43-letniego dziś nauczyciela języka angielskiego jako nadzieję na „deczarnkizację" polskiej szkoły. Memem stał się wpis byłej dziennikarki TVN24 Karoliny Hytrek-Prosieckiej (obecnie szefowej Biura Komunikacji i Relacji Zewnętrznych w Polskiej Grupie Zbrojeniowej). Tuż po wyborach parlamentarnych w 2023 r. napisała: „Chciałabym, żeby taki gość został Ministrem Edukacji i dostał swobodę jej kreowania. Edukacji otwartej, ofensywnej, niewykluczającej, uczącej myślenia, samodzielności i tolerancji. Pan Marcin Józefaciuk z list Koalicji Obywatelskiej. To byłaby ta właśnie nowa jakość". Do wpisu dołączyła zdjęcie wytatuowanego posła na bieżni (jest zapalonym biegaczem). Peany na cześć Łodzianina, którego zdecydowania większość Polaków nie kojarzyła, wydawały się mocno na wyrost. Wielu wprost stwierdziło, że chodzi tylko o to, iż Józefaciuk to kompletne, także wizualne, przeciwieństwo ministra Przemysława Czarnka.

W tekście pt. „Zakochani w sobie" („Do Rzeczy" nr 50/2023) ironicznie zaliczyłam posła KO do grona sejmowych „mistrzów autopromocji", obok m.in. Aleksandry Wiśniewskiej (KO). Zanim wszedł do Sejmu, Józefaciuk występował w programie TVN pt. „Nastolatki rządzą... kasą". Stacja wychwalała posła: „Józefaciuk to prywatnie singiel, z zawodu anglista, wicedyrektor szkoły, w której prawie mieszka, i zamierza nadal godzić ławę poselską z ławkami w klasach. Uczył nawet dziewięciu przedmiotów". On sam chętnie opowiadał (i nadal opowiada) o sobie. Lubi mówić o tatuażach, swoim neopogaństwie czy byciu „mistrzem konchowania". „Konchowanie to jest metoda polegająca na tym, że wkłada się do ucha taki jakby komin i w nim spala się pewne rzeczy. W rezultacie osadzają się w uchu olejki eteryczne, a efekt komina powoduje, że wyciągane są różne syfy" – wyjaśniał „Gazecie Wyborczej". Miał naprawdę słabe momenty. W kwietniu 2024 r., w trakcie dyskusji nad projektem „W obronie chrześcijan", użył osobliwego porównania, które nie spodobało się nawet prowadzącemu obrady Włodzimierzowi Czarzastemu. „Religia jest jak pewien męski organ. Jest całkiem w porządku, gdy ktoś go ma i jest z niego dumny. Ale jeśli ktoś wyciąga go na zewnątrz i macha nim przed nosem, to już mamy pewien problem" – stwierdził Józefaciuk, na co Czarzasty powiedział: „Marne to było". Było.

eprasa.pl d22c75f697

W pewnym momencie Marcin Józefaciuk przestał być jednak tylko „posłem lanserem". Zaczął coraz głośniej krytykować kolejne decyzje minister edukacji Barbary Nowackiej. Nie zawsze zgadzał się z linią rządu, np. w kwestii zawieszenia prawa do azylu. Niekiedy z pozycji lewicowych, często powołując się na swoje doświadczenie nauczyciela, zaczął „odpływać" od Koalicji Obywatelskiej. Józefaciukowi nie podobało się coraz więcej decyzji i mówił o tym wprost. – Nie po to idzie się do Sejmu, nie po to startuje się w wyborach, żeby nie mieć pewnej sprawczości, żeby nie chcieć czegoś zmienić. Nie jestem tego typu osobą, która by miała pójść tylko „przyciskać guziczki" – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy". – Jestem nauczycielem w polityce, a nie typowym politykiem. I właśnie dlatego patrzę na każdą decyzję przez pryzmat ucznia, nauczyciela i szkoły – a nie politycznego interesu. Zawsze będę człowiekiem, który ma swoje zdanie, czasami powiem coś zbyt dosadnie, ale nigdy nie udaję i zawsze biorę odpowiedzialność za swoje słowa, ale nigdy nie udaję. Jestem do bólu szczery. Posłem się bywa, a nauczycielem jest się do końca życia – przekonuje Marcin Józefaciuk.

W sierpniu 2025 r. został zawieszony w klubie KO za – jak twierdzi – „krytykowanie działań rządu". – Chodziło o zawieszenie prawa do azylu i ciągle to krytykuję. Krytykuję działania MEN, krytykowałem wtedy też działania MEN bardzo mocno i za to też zostałem zawieszony. Druga rzecz to było składanie poprawek nieuzgodnionych z klubem. Chodziło o poprawkę, która blokowała zamiary Ministerstwa Edukacji, żeby w przedszkolach publicznych można było na stanowisku nauczyciela zatrudniać osoby nieposiadające kwalifikacji pedagogicznych. Ja się z tym jako nauczyciel nie mogę zgodzić. Trzecia kwestia to był udział osoby skazanej za przestępstwa seksualne w moim zespole parlamentarnym. Odwoływałem oczywiście od tego trzeciego punktu, bo wiem, co robiłem, składając poprawkę, krytykując działania rządu i byłem świadom tego, natomiast nieprawdą jest, że zaprosiłem świadomie osobę skazaną, co udowodniłem przed komisją etyki poselskiej – wskazuje. Komisja uznała stanowisko posła. Zawieszenie trwało dwa miesiące.

W październiku władze zdecydowały przywrócić Józefaciuka w prawach, ale on sam podkreśla, że nie miał zamiaru zmieniać podejścia. – Cały problem polega na tym, że nikt ze mną nie rozmawiał na temat tego, co robię. Nikt mnie nie wziął na rozmowę. Nikt nie chciał poznać mojej argumentacji. Jeżeli nikt mnie nie bierze na rozmowę, to znaczy, że akceptuje to, co robię. Nie było też posiedzenia klubu, gdzie mogliśmy porozmawiać. Dalej więc robiłem to, co robiłem, to, co uważałem za słuszne – opowiada naszemu tygodnikowi. Posłowi nie spodobały się odgórne zasady dotyczące występowania w mediach. Spór między Józefaciukiem a „górą" narastał.

Będący zadeklarowanym homoseksualistą polityk cieszy się szczególnym szacunkiem wśród mężczyzn, także tych o prawicowych poglądach

– W pewnym momencie klub zadecydował, że zostanę usunięty z sejmowej Komisji Edukacji. To było bezpośrednim powodem mojego wyjścia z klubu KO – mówi. – Niestety, jestem takim dziwnym posłem, że czytam każdy druk, za którym głosuję. Druki dotyczące zmian w komisjach są dostarczone nam bezpośrednio przed samym głosowaniem. Natomiast ja też zawsze patrzę, jakie to są zmiany, i bez żadnego powiadomienia, bez żadnej informacji zobaczyłem swoje nazwisko – „Józefaciuk odwołanie z Komisji Edukacji". Wtedy już poczułem się bardzo, bardzo źle – przyznaje polityk. Podkreśla, że nie żałuje swojej decyzji.

BYĆ W POLITYCE, ŻEBY COŚ ZMIENIĆ

Po odejściu z klubu Koalicji Obywatelskiej Marcin Józefaciuk kontynuował (niektórzy uważają, że z dodatkową werwą) kontrole poselskie w MEN. On sam zapewnia, że nie dąży do odwetu. – Zemsta byłaby wtedy, jeżeli byłoby to niemerytoryczne. To jest bardziej kontynuacja i bycie konsekwentnym. Próbowałem wewnętrznie pozałatwiać wiele rzeczy. Próbowałem spotkać się w MEN, przez klub załatwiać. Są interpelacje na stronie Sejmu, po których widać, że od bardzo dawna próbowałem niektóre rzeczy wywalczyć, przewalczyć. Z mównicy zabierałem głos. Na komisji pokazywałem wiele rzeczy, z którymi się nie zgadzam, albo zadawałem pytania, na które nie udzielono mi odpowiedzi. W tym momencie resort edukacji na prawie 20 moich interpelacji ciągle nie odpowiedział. Terminy niektórych odpowiedzi są przedłużane o rok, co jest niezgodne z prawem – zauważa. – Kontrola poselska to moje uprawnienie. Poszedłem do resortu najpierw w sprawie edukacji domowej, później w sprawie „Kompasu Jutra", następnie w sprawie likwidacji prac domowych. Wszystkie te kontrole były odpowiedzią na brak odpowiedzi na interpelacje – podkreśla Marcin Józefaciuk.

Jak obecnie wyglądają jego relacje z byłymi kolegami z klubu? Przekonuje, że jest grupa posłów, która po cichu trzyma za niego kciuki. – Oni by tego nie zrobili, no bo nie atakuje się swojej partii, ale dostaję wiele głosów wsparcia. Normalnie rozmawiamy. Wiedzą, że jako poseł niezrzeszony mam więcej możliwości – zauważa.

Józefaciuk przekazał, że zabiegał o niego klub Centrum, z którym współpracuje obecnie przy projekcie dotyczącym depenalizacji marihuany. – Ja mówię wprost, mogę być zainteresowany, jeśli dostanę stanowisko wiceministra edukacji, ale decyzyjnego. Trochę mówię sobie w żartach, żeby denerwować panią minister – stwierdza ze śmiechem. – Nie wykluczam współpracy z żadnym klubem, ale to nie jest na zasadzie, że ja muszę do jakiegoś klubu należeć, bo w następnych wyborach nikt mnie nie wystawi itd. Mam w tym momencie półtora roku na zrobienie tych rzeczy, które chcę i muszę zrobić. Nie myślę, co mam zrobić, żeby zostać wybranym znowu na posła, ale żeby później stanąć w klasie i powiedzieć tak, zrobiłem wszystko, co mogłem przez te cztery lata. Nie jestem w polityce po to, żeby się w niej urządzić. Jestem tu po to, żeby coś zmienić – i wrócić do szkoły z poczuciem, że zrobiłem wszystko, co mogłem – zapewnia Łodzianin. W rozmowie z „Do Rzeczy" poinformował, że ma gotowy wniosek o odwołanie minister Nowackiej i prowadzi rozmowy, szukając dla inicjatywy poparcia wśród posłów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

Wiesław Chełminiak

Kult ciała

Nagość antycznych posągów gorszyła chrześcijan, ale w końcu hipokryzja wzięła górę i zaczęto się nimi zachwycać. Dziś ludzkie ciało jest w centrum uwagi

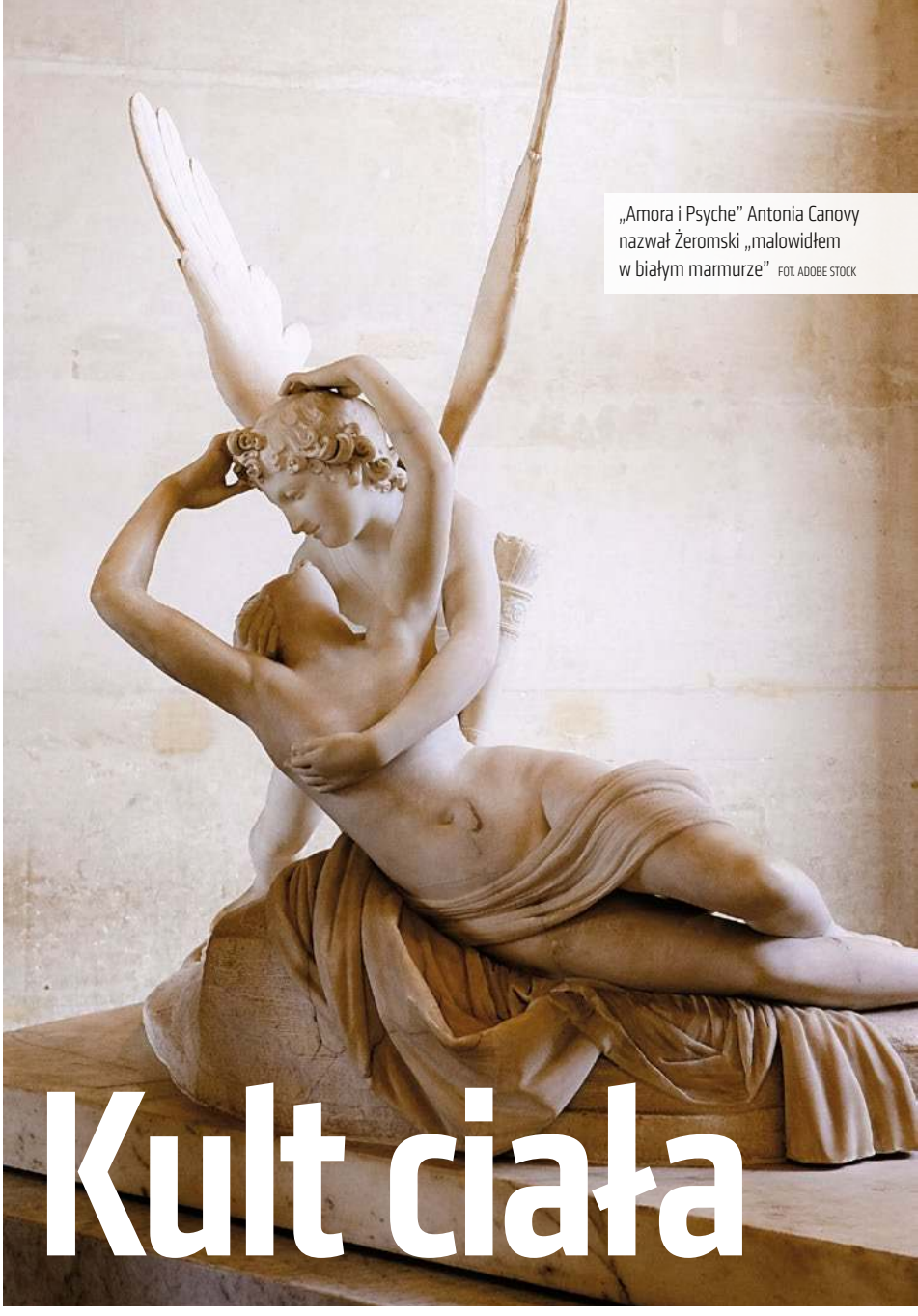

„Amora i Psyche" Antonia Canovy nazwał Żeromski „malowidłem w białym marmurze" FOT. ADOBE STOCK

Nawet pobieżny przegląd zawartości Internetu wystarczy, by upewnić się, co jest dla człowieka najważniejsze. Oczywiście wizerunek utożsamiany z aparycją. Pragniemy być piękni, sprawni i wiecznie młodzi. Ludzkie ciało jest dziś w centrum uwagi.

Sześćdziesięciosiedmioletnia Madonna, stała klientka siłowni oraz gabinetów odnowy biologicznej, oddała się w ręce chirurgów plastycznych, ponieważ nadal chce być królową dyskotek. Justin Trudeau, niedawny premier Kanady, czarował wyborców wdziękiem godnym maturzysty. Muzea, instytucje z natury raczej nobliwe, również postanowiły iść z duchem czasu, odpowiedzieć na społeczne zapotrzebowanie. Dysponują wszak imponującymi zbiorami artefaktów, dokumentujących odwieczną fiksację na punkcie piękna i młodości. Perfekcyjne ciało początkowo było atrybutem boskim. Ludzka pycha nie zna jednak granic, wystarczy spojrzeć na wizerunki faraonów i cesarzy. W miarę postępów demokracji obsesja doskonałości trafiła pod strzechy.

Nagość antycznych posągów gorszyła chrześcijan, ale w końcu hipokryzja wzięła górę i zaczęto się nimi zachwycać. Nawet oziębła z natury Izabela Łęcka wzdychała do posągu Apollina, „który na niej zrobił tak silne wrażenie, że kupiła piękną jego kopię i ustawiła w swoim gabinecie". Nie była w owej egzaltacji odosobniona. Gdy Bolesław Prus pisał „Lalkę", już od ponad 100 lat salonowy wzorzec piękna wyrażał się w neoklasycyzmie.

Johann Joachim Winckelmann, guru oświeconych estetów, nisko cenił artystów współczesnych. Zalecał, by (jeśli już muszą tworzyć) naśladowali styl starożytnych Greków. Dziwnym trafem w tym samym 1764 r., w którym Niemiec opublikował przełomowe dzieło „Geschichte der Kunst des Alterthums", caryca Katarzyna II zainstalowała na polsko-litewskim tronie swojego kochanka Poniatowskiego.

GIPSY KONTA MARMURY

Król Staś już wcześniej dał się poznać jako miłośnik sztuki zmierzającej ku harmonii i doskonałości formy. Teraz udrapował się w szaty przychylnego muzom Apolla. Przeczucie, że na tym polu dokona więcej niż w polityce, okazało się słuszne, lecz sukcesom towarzyszyły porażki. Rzymu, w którym Winckelmann spędził najlepsze lata, nigdy nie było mu dane obejrzeć na własne oczy. Nie ziściło się również odziedziczone po Sasach marzenie o zgromadzeniu ważkiej kolekcji oryginalnych antycznych zabytków.

Konkurencja była zbyt silna, poza tym Poniatowski zanadto ufał lokalnym pośrednikom. Sprytni Włosi wciskali dyletantowi z Polski falsyfikaty, kompilowane z fragmentów lub wręcz XVIII-wieczne. Ten proceder miał tradycję sięgającą epoki renesansu, brali w nim udział artyści wybitni, pracujący dla papieży i najpotężniejszych rodów Italii. Nawet

eprasa.pl d22c75f697

dzisiejsi eksperci, dysponujący wiedzą oraz technologią, o której nie śniło się Winckelmannowi, okazują się bezradni wobec takich podróbek. Warsztat pracy nowożytnego fałszerza i rzeźbiarza z czasów cezarów był praktycznie taki sam, podobnie jak materiały.

Zadłużony król Staś, zrozumiawszy, że arcydzieła są poza jego finansowym zasięgiem, przerzucił się na kopie (nie tylko antycznych zabytków). W grę wchodziły marmury lub o wiele tańszy gips. Reprodukcje zamawiano w Rzymie i Paryżu. Czasem jednak ich autorami byli artyści cudzoziemcy z najbliższego kręgu monarchy. André Le Brun, przez 30 lat kierujący warszawską skulptornią, osobiście odkuł kopie rzeźb, które trafiły do Łazienek: Pałacu na Wodzie, Oranżerii, ogrodów i pseudoantycznego amfiteatru. Inne miały ozdobić przebudowywany Zamek. Kapryśny monarcha przenosił je z miejsca na miejsce.

Jego ulubienicą była „Śpiąca Ariadna", pozyskana z Watykanu. Zamówił aż cztery duplikaty rzeźby, którą w XVIII w. błędnie identyfikowano jako „Umierającą Kleopatrę". Może Kretenka z obnażoną piersią przypominała Poniatowskiemu ukochaną carycę Katarzynę? Kolekcję uzupełniały antyczne numizmaty, gemmy, ceramika i liczne albumy z rycinami. Jeden z nich zawierał anatomiczne szkice postaci mitologicznych. Niechętny królowi Julian Ursyn Niemcewicz wspominał, że ten, wracając wieczorem do zamku, „rozebrawszy się, kazał sobie podawać tom jaki kopersztychów, przeglądał je, aż go na koniec znajdowano z opartą na nich głową śpiącego".

UL NA GŁOWIE

W dalszej perspektywie odlewy miały służyć jako pomoce naukowe dla kandydatów na malarzy i rzeźbiarzy. Od początku panowania esteta w koronie snuł bowiem plany stworzenia w Warszawie akademii sztuk pięknych, na wzór rzymski. Rektorem miał zostać Marcello Bacciarelli, ale jak to zwykle z Poniatowskim bywało, skończyło się na projektach. Po abdykacji i wyjeździe do Petersburga rozdawał gromadzone od lat artefakty rosyjskim urzędnikom. Zbiór 542 odlewów został nad Wisłą. Gdy car Aleksander I powołał do życia Uniwersytet Warszawski, gipsowe repliki arcydzieł wreszcie do czegoś się przydały.

„Ponaprawiane, oczyszczone i powleczone pokostem niedozwalającym zabrudzenia dalszego, wystawione są w porządku należytym i sprawują widok równie wspaniały i przyjemny dla miłośników sztuki, jak pożyteczny dla artystów. Widok, jaki w niewielu stolicach Europy znaleźć można" – cieszył się ks. Wojciech Anzelm Szweykowski, szef uczelni. Gliptotekę uzupełniły dary i dodatkowe zakupy w Paryżu. Służyła studentom i uczniom aż do września 1939 r., w sposób mniej lub bardziej bezpośredni wpływając na polską kulturę.

Po wojnie 134 ocalałe obiekty zebrano i udostępniono zwiedzającym w Starej Oranżerii w Łazienkach Królewskich. Najlepsze z nich trafiły na wystawę „Anatomia antyku. Ciało i ruch w rzeźbie" w bibliotece Zamku Królewskiego, która jakimś cudem ocalała z wojennej pożogi. Trudno o lepszą lokalizację. W czasach Poniatowskiego znajdował się tu, oprócz książek, zbiór map, numizmatów, instrumentów naukowych, minerałów i rzeźb. Opiekował się nim Jan Chrzciciel Albertrandi, historyk, współzałożyciel Towarzystwa Przyjaciół Nauk i niepoprawny rusofil.

Gdy były król dogorywał w petersburskiej złotej klatce, antyk nadal rządził wyobraźnią elit. Delfina Potocka, muza wieszczów, ok. 1840 r. dała się sportretować jako gładkolica Rzymianka, w tunice i z fryzurą na tzw. pszczeli ul, szalenie modną w epoce cezarów. Z kolei Ludwik Michał Pac, pierwowzór Hrabiego z „Pana Tadeusza", zgromadził jedną z największych w Polsce kolekcji starożytności. Po części wynikało to z legendy o rzymskim pochodzeniu rodu Paców, ale generał jako jeden z pierwszych poznał się na talencie zafascynowanego mitologią Antonia Canovy. Kilkanaście rzeźb Włocha ozdobiło rezydencje w Wilnie, Warszawie i Dowspudzie.

Udział w powstaniu listopadowym kosztował Paca utratę majątku i większej części zbiorów, ale polscy fani neoklasycyzmu nie mają powodu do narzekań. Kuratorzy wystawy sprowadzili kopie najsłynniejszych dzieł Canovy, takich jak „Amor i Psyche", którą Żeromski nazwał „malowidłem w białym marmurze". Celne skojarzenie, ponieważ mistrz czasem odkładał młotek i łapał za pędzel. Dziewięcioletniego Henryka Lubomirskiego uwiecznił w marmurze jako Amora, po czym namalował go z ptakiem siedzącym na chuderlawym ramieniu. Rzeźba na co dzień znajduje się w zamku w Łańcucie, obraz w kolekcji prywatnej.

Warszawską ekspozycję zasiliły także odlewy z kolekcji Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego tudzież prace młodych malarzy, którzy w gliptotece pogłębiali wiedzę o budowie ludzkiego ciała. Dla Jacka Malczewskiego czy Olgi Boznańskiej był to jedynie punkt wyjścia, lecz wielu studentów pozostało wiernych wyuczonym schematom. Kazimierz Alchimowicz, portretując Mildę, litewską boginię miłości, która zakochała się w prostym rybaku, wybrał dla niej pozę charakterystyczną dla rzymskiej Wenus. Obraz tak spodobał się rodakom i cudzoziemcom, że pan Kazimierz wrócił do tematu jeszcze dwukrotnie. Zainteresowanym polecam wizytę w warszawskim Muzeum Narodowym. W Gabinecie Fotografii można podziwiać zdjęcie modelki Alchimowicza zastygłej w pozie godnej bogini.

PLECY SYBILLI

Krótko przed premierą „Anatomii antyku" w weneckiej Gallerie dell'Accademia otwarto ekspozycję pt. „Corpi moderni", czyli „Ciała nowoczesne". Dla Włochów owa nowoczesność zaczęła się już w XV w., lecz dzielą ich spory o pierwszeństwo. Większość ekspertów wskazuje Toskanię. W ojczyźnie Casanovy bardziej podoba się teza, że renesansowa koncepcja człowieka narodziła się na północy na styku sztuki, nauki i kultury materialnej. Ciało jako wyznacznik tożsamości wykraczający poza biologię. Czyż to nie brzmi dumnie?

W dodatku obywatele Republiki św. Marka nie poprzestali na odkryciu ciała. Jak przystało na ludzi interesu, postanowili je pielęgnować, upiększyć, ubrać i w miarę możliwości uzupełnić (protezy). Nad laguną już w średniowieczu kwitł handel tkaninami i kosmetykami. Uniwersytet w Padwie przodował w studiach medycznych, zezwalając na zakazane wcześniej sekcje zwłok. Najważniejsze traktaty naukowe powstawały zaś i były drukowane w Wenecji. Poczesne miejsce na wystawie zajmuje książka „De humani corporis fabrica".

eprasa.pl d22c75f697

Delfina Potocka na obrazie „Śmierć Fryderyka Chopina" Félixa-Josepha Barriasa

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Jej autor, wychowanek i wykładowca padewskiej uczelni, Flamand Andreas Vesalius, zwany ojcem nowożytnej anatomii, musiał opuścić Italię. Szybko jednak znalazł nowego pracodawcę – cesarza, natomiast dzieło, uznane początkowo za obrazoburcze, zrewolucjonizowało europejską medycynę.

Siłę rażenia traktatu zwiększały ilustracje wykonane przez ucznia Tycjana. Przekonanie, że aby wiernie przedstawić ciało, trzeba rozumieć jego wewnętrzną strukturę, było już wtedy w kręgach artystycznych aksjomatem. Wzoru dostarczało zaś odkrywane na nowo dziedzictwo rzymsko-greckie. Oczywiście w ekspozycji nie mogło zabraknąć dumy Gallerie dell'Accademia – „Człowieka witruwiańskiego". Rysunek, przez entuzjastów okrzyknięty „Mona Lisą anatomii", jest wdzięcznym symbolem naukowych i artystycznych ambicji Leonarda, które – jak wiadomo – nigdy nie doczekały się spełnienia. Anatomiczny charakter mają również szkic Michała Anioła, poświęcony mocno umięśnionym plecom Sybilli, oraz grafika Dürera „Mężczyźni w łaźni".

Według stereotypowej opinii Wenecjanie po mistrzowsku posługiwali się światłem i kolorem, lecz brakowało im florenckiej precyzji w przedstawianiu ludzkiego ciała. Kuratorzy, chcąc zadać kłam owej teorii, sięgnęli po nagą „Alegorię prawdy" Giovanniego Belliniego tudzież monumentalną rzeźbę Adama, którą ok. 1472 r. zainstalowano (w towarzystwie Ewy) w sercu miasta, czyli na dziedzińcu Pałacu Dożów. W historii włoskiej sztuki był to punkt zwrotny. Ciało, traktowane dotąd jako fenomen biologiczny, staje się konstruktem kulturowym.

ANATOMIA POŻĄDANIA

Renesans, wchodząc w fazę dojrzałą, pozbył się resztek wstydu. Pornograficznymi rycinami handlowano na Placu św. Marka przed budynkami, w których urzędowały władze Republiki. Bestsellerem były obsceniczne wiersze Pietra Aretina, któremu nietykalność zapewniali wysoko postawieni przyjaciele. Na wystawę trafił jedyny zachowany egzemplarz „Sonetów lubieżnych", będący własnością prywatnego kolekcjonera. Ilustracje wykonał Giulio Romano, najzdolniejszy z uczniów Rafaela.

Zmysłowość stała się znakiem firmowym złotej epoki weneckiego malarstwa. Mówiono, że obrazy Tycjana „rozgrzewają krew w żyłach", ale palma pierwszeństwa należy do Giorgiona. Jego „Śpiąca Wenus" zainaugurowała serial, którego końca nie widać. Co ciekawe, utarło się, by nagie ciało kobiety przedstawiać w pozycji horyzontalnej, a męskie – w stojącej. Natomiast portrety młodych panien, odsłaniających piersi, wbrew pozorom nie zachęcały do rozpusty. W renesansowej Wenecji były one symbolem narzeczeństwa, zaręczynowym prezentem.

Postacie świętych oraz biblijnych bohaterów też modelowano według antycznych reguł. Czasem prowadziło to do skandali. Obraz przedstawiający św. Sebastiana został usunięty z kościoła we Florencji, gdyż uroda męczennika rozpraszała wierne. Autor, zakonnik Fra Bartolomeo, cieszył się nienaganną reputacją, lecz najwyraźniej uległ duchowi czasów, skoro bełty przebijające świętego skojarzono ze strzałami Amora. Hipoteza, że wzorem dla zaginionego dzieła był posąg Antinousa, pięknego kochanka cesarza Hadriana, wydaje się zbyt śmiała.

OMDLAŁA Z ROZKOSZY

W Treviso, oddalonym od Wenecji o rzut beretem, wydarzeniem sezonu była wystawa poświęcona Marii Magdalenie. Historię „wzniosłej miłości" świętej do Jezusa opowiedziały dzieła artystów związanych z regionem, lecz wcale niedrugoligowych. Z Ewangelii wynika, że Magdalenę i Syna Bożego łączyła szczególna więź; była świadkiem jego męki i zmartwychwstania. „Noli me tangere" i rozpacz okazywana pod krzyżem natchnęły legiony adeptów sztuk plastycznych. Wielką czcią darzyli Miriam z Magdali franciszkanie.

Po soborze trydenckim popularność zdobyły wizerunki skruszonej i pokutującej patronki pań, wykonujących najstarszy zawód świata. Coraz mniej było w nich patosu, a coraz więcej zmysłowości. Zamiast wzywać widzów do nawrócenia, dostarczały im niezdrowej ekscytacji. Długie włosy coraz mniej szczelnie zasłaniały ponętne ciało świętej. Według teologów negliż symbolizował odzyskaną niewinność. Mistyczna podróż Magdaleny kulminuje w ekstazie. Ona zmierza ku zbawieniu, lecz składających jej hołd twórców nękają grzeszne myśli.

W epoce romantycznej ta ewolucja dobiegła końca i „apostołka apostołów" tuląca krzyż lub czaszkę stała się symbolem uwodzicielskiej kobiecości. Granicę wyznaczają rzeźby urodzonego 45 km od Treviso Antonia Canovy. Pierwsza Maria Magdalena, klęcząca, płacze rzewnymi łzami. Druga, omdlała z rozkoszy, leży na skale. Obie są prawie nagie. W rock-operze „Jesus Christ Superstar" młoda dziewczyna śpiewa o bezradności wobec uczuć, które budzi w niej Zbawiciel. Rozdarta między ziemską miłością a duchowym oddaniem może liczyć na sympatię publiczności. No cóż, lepsze to od wizerunku chrześcijańskiej Afrodyty, która oprócz atrakcyjnego ciała posiada też duszę.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

Sztuka i zabijanie

FOT. ILJA SMIRNOV

Grzegorz Kondrasiuk

Na scenie zamiast dekoracji są biurka i dużo elektroniki, ale najważniejsze rzeczy dziać się będą na centralnie umieszczonym ekranie, a tak naprawdę – w Internecie. W spektaklu Magdy Szpecht „Spy Girls" występuje pod pseudonimami trójka zamaskowanych postaci. To są nie tylko aktorzy, lecz także hakerzy, na oczach publiczności prowadzący półlegalne działania z wykorzystaniem fikcyjnych tożsamości. Zamiast odgrywać jakąś historię, dokonują prezentacji, w jaki sposób cywile mogą, za pomocą aplikacji, laptopów, smartfonów i kamer, pójść na wojnę z Rosją. Szybko staje się jasne, że kupując bilet, zostaliśmy zaproszeni, w dość niewygodnej pozycji obserwatorów, na front, a spektakl – w którego powstaniu pomagał estoński wywiad wojskowy – jest tu jakby efektem ubocznym, atrakcyjnym i szokującym.

Widzimy zatem, jak poprzez aplikację randkową, która zastąpiła zablokowanego w Rosji Tindera, trójka wykonawców pracuje jak biały wywiad, podszywając się pod owładnięte imperialną propagandą rosyjskie dziewczęta. Akcja polega tu na opowiadaniu o nawiązaniu w ramach researchu do projektu teatralnego dwóch setek cyfrowych konwersacji i przelotnych romansów. Chodziło tylko o to, aby wyciągnąć z przebywających na froncie ruskich wojaków istotne informacje: dane logowania, zdjęcia i filmy z frontu, które po analizie mogły przyczynić się do lokalizacji konkretnych oddziałów i skuteczniejszej walki. Oglądamy na dużym ekranie profile i prywatne zdjęcia (w tym – tzw. dickpiki) rosyjskich żołnierzy, patrzymy na printscreeny ich konwersacji, a kluczowa scena spektaklu to próba połączenia się na żywo z jednym z żołnierzy. Siłą rzeczy zderzamy się też ze zdewastowaną mentalnością żołnierzy imperium, którzy prężą muskuły, wysyłają dowody swych dzielnych uczynków, a tak naprawdę są pełni wojennego strachu, łaknąc – choćby cyfrowego – kontaktu z drugim człowiekiem po to, by się wyżalić. W pewnym momencie wykonawcy rozmawiają o etyce takiego postępowania, ale trudno dopatrzyć się tu choćby śladu chęci wywoływania w widowni współczucia zmierzającego do zobaczenia w tych zwykłych, zdawałoby się, rosyjskich chłopakach także ofiar tej wojny. Zresztą ich przechwałki leczą ze złudzeń, to armia, która nie ma oporów przed zbrodniami na cywilach.

„Spy Girls" jest spektaklem o nienawiści i o gniewie, twórcy płoną i chcą ten ogień ponieść dalej. Nie ma tu żadnych niedomówień, półcieni. Jest to jednocześnie i spektakl, i akt wojny. W finale wyrażają nadzieję, że ich praca (być może ma dalszy ciąg) pomoże w stworzeniu potężnego OSINT-owego narzędzia, opartego na module sztucznej inteligencji, ale także dokumentującego straty, zniszczenia i zbrodnie wojenne.

Jedną z obsesji współczesnego teatru jest przebicie się poza teatralną iluzję, rezygnacja z pokazywania zdarzeń nieprawdziwych, ale prawdopodobnych, tego „jak gdyby", o którym pisał już Arystoteles. Zazwyczaj jest to powiązane z zaangażowaniem ideologicznym, skierowanym do wewnątrz własnego środowiska, i jeśli już czemuś służy, to raczej samopotwierdzaniu, w jego obrębie, słuszności własnych przekonań. „Spy Girls", stworzony w Estonii, w Narwie, przy granicy z Rosją, pokazuje, że można to zrobić w sposób wykraczający poza spory światopoglądowe. Uwiarygadnia go decyzja radykalna, prywatna zgoda na to, że artysta może być żołnierzem, a narzędzia sztuki (takie jak spektakl czy gra aktorska, używana do podszywania się i tworzenia fejkowej tożsamości) mogą posłużyć do walki, nawet do zabijania. Artyści zrealizowali zatem – dla siebie, na własnym prywatnym froncie – stare, utopijne marzenie romantyków, np. o zniszczeniu sztuki – a w teatrze: spektaklu jako przedmiotu przeznaczonego wyłącznie do podziwiania. Jest to przykład – znakomicie zresztą przemyślany i przygotowany – struktury perswazyjnej, o jasnej intencji podtrzymywania nastroju wojennego w krajach Zachodu (do którego z ukraińskiej perspektywy, którą podzielają twórcy, należymy). Ale otwiera się tu jeszcze jedna, równie ciekawa opowieść, właśnie ta o pozycji bezpiecznego obserwatora. Spektakl, choć oparty jest na zamkniętej strukturze prezentacji, zawiera scenę, w której publiczność, w żartobliwej atmosferze, jest częstowana zawartością pakietu spożywczego z ekwipunku rosyjskiego żołnierza. Z miłym uśmiechem, nieco zakłopotani, możemy odmówić, by potem – podczas powrotnego spaceru do domu – przez chwilkę o tym pomyśleć. A potem zapomnieć. ©℗

„SPY GIRLS", VABA LAVA THEATRE (ESTONIA)
REŻYSERIA: MAGDA SZPECHT,
DRAMATURGIA: OLGA DRYGAS
PREMIERA: 9 LUTEGO 2024 R.
POKAZ NA FESTIWALU BOSKA KOMEDIA, 7 GRUDNIA 2025 R.

eprasa.pl d22c75f697

Nowa ekranizacja powieści o Harrym Potterze (serial HBO) już doprowadziła do białej gorączki fanów, którzy rwą włosy z głowy, oglądając zwiastun z czarnoskórym Severusem Snape'em (w tej roli został obsadzony Paapa Essiedu) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Baśnie porwane

Piotr Gociek

Zniszczyć wszystko, co piękne, dobre i mądre. Nowi nihiliści trzymają Hollywood za gardło i nie chcą odpuścić

Miało być inaczej: Trump wysyłał swych ambasadorów do Hollywood, aby „make it great again", koncerny medialne (jak Disney) poznawały na swej skórze prawdziwość hasła „go woke – go broke", publiczność odwracała się od przesyconych lewicową indoktrynacją filmów, na czym cierpiały kina oraz księgowi itd. Nic z tych rzeczy. Filmy i seriale odnoszące się z szacunkiem do tradycji to wciąż rzadkość. Ktoś powie: przestawienie na nowy kurs tak potężnego okrętu musi zająć wiele czasu. Pytanie brzmi jednak: A czy na pewno ktoś zabrał się za wytyczanie takiego kursu?

NAJWAŻNIEJSZE SĄ PIENIĄDZE

Nowy film z uniwersum Tolkiena pisać ma Stephen Colbert, wielki admirator Hugona Cháveza i trefniś libków z programów late night. Nowa ekranizacja powieści o Harrym Potterze (serial HBO) już doprowadziła do białej gorączki fanów, którzy rwą włosy z głowy, oglądając zwiastun z czarnoskórym Severusem Snape'em. W czerwcu do kin wejść ma film „Śmierć Robin Hooda", który przedstawia ludowego bohatera jako krwawego bandziora i wielokrotnego mordercę. Niby nie powinno nas to dziwić – a jednak…

Oczywiście najważniejsze są pieniądze. Skoro więc jakieś studio już posiada prawa do jakiejś franczyzy (w branży najczęściej używa się słowa „ajpi" – czyli „IP" od „intellectual property"), to chce wydusić z niej jak najwięcej grosza. Zatem Warner Bros. i New Line Cinema finansują nową serię filmów opartych na motywach zaczerpniętych z „Władcy Pierścieni" J.R.R. Tolkiena. W przyszłym roku czeka nas premiera filmu „The Lord of the Rings: The Hunt for Gollum" w reżyserii Andy'ego Serkisa, natomiast następny w kolejce ma być film „The Lord of the Rings: Shadow of the Past", którego współautorem ma być wspomniany Colbert.

Tę ostatnią wiadomość skomentować mogę najprościej tak: a chcielibyście, żeby nową powieść o wiedźminie Geralcie napisał Kuba Wojewódzki? Powiem więcej: Wojewódzki jako współtwórca uniwersum wiedźmina byłby bardziej na miejscu, bo przecież Sapkowski pisze antybaśnie, w których granice między dobrem a złem często zostają zatarte (krytycy nazywają ten typ prozy „fantasy kryzysu"). Zatem dekonstruktor Kubuś mieszający prawdę z fałszem w proporcjach dowolnych czułby się jak ryba w wodzie.

Spójrzmy, jak wyglądały dotychczasowe próby rozszerzenia uniwersum inspirowanego dziełami Tolkiena. Trylogia kinowa „Hobbit" to przeróbka uroczej, lekkiej bajki na mroczny prequel „Władcy Pierścieni". Oczywiście dopisano do tej niewinnej historii wątki polityczne tudzież wklejono „silną postać kobiecą" w postaci elfiej wojowniczki. Manifestem nowego feminizmu (wedle którego dziewczęta robią wszystko to, co chłopcy, tylko lepiej – łącznie z obcinaniem głów) stał się animowany film „Władca Pierścieni: Wojna Rohirrimów" (2024). Serial „Pierścienie władzy" realizowany przez Amazon po niezłym początku ugrzązł w mętnych bagnach uczłowieczania łotrów i usprawiedliwiania zła. Na nowego „Władcę Pierścieni" wedle Stephena Colberta czekam więc mniej więcej z taką ekscytacją, jak na najbliższą wizytę u dentysty.

Ta sama wytwórnia Warner Bros. poszła na grubo z produkcją serialu na pod-

eprasa.pl d22c75f697

stawie powieści J.K. Rowling o Harrym Potterze. Powstać ma siedem sezonów, ale spokojnego czekania na produkt końcowy nie będzie, bo od samego początku projekt budzi wielkie kontrowersje. Podzielmy je od razu na idiotyczne i uzasadnione: te pierwsze to fala hejtu płynąca z lewej strony nie wobec serii książek, lecz ich autorki. J.K. Rowling po serii zdroworozsądkowych wypowiedzi na temat osób trans została wzięta na cel przez hunwejbinów cancel culture, a główną przepustką do obsady nowej ekranizacji miały stać się wywiady, w których kolejni aktorzy odcinają się od „nienawistnych", podobno, wypowiedzi pisarki.

Jednocześnie miliony fanów książki oburzają się na decyzje obsadowe, przede wszystkim na fakt, że Paapa Essiedu, czarnoskóry aktor brytyjski, będzie nowym Severusem Snape'em (w filmach grał tę postać Alan Rickman). I oczywiście, jak to w czasach odwrócenia znaczeń bywa, to ci oburzeni są, wedle liberalnych mediów, „hejterami" oraz „rasistami". Nikt nie zwraca uwagi na to, że po pierwsze wypadałoby być wiernym oryginałowi, po drugie uszanować oczekiwania fanów, po trzecie – że tzw. color-blind casting przynosi więcej szkody niż pożytku, bo rozbija spójność świata przedstawionego. Fanatycy z lewicy wiedzą jednak lepiej. Nieszczęsnej J.K. Rowling nie pomogło nawet to, że już po zakończeniu pisania serii swych powieści fantasy ogłosiła niespodziewanie, iż dyrektor szkoły w Hogwarcie, Albus Dumbledore, jest gejem (co zostało obszernie rozwinięte potem w filmach z serii „Fantastyczne zwierzęta"). Bardzo ciekawi mnie więc, jak teraz twórcy serialu wybrną z tego kłopotu. Moim zdaniem opowiadanie dzieciom wprost, że opiekunem setek nieletnich jest praktykujący gej, który przy pomocy magii może skłonić każdego do rzeczy dowolnej, jest głęboko niepokojące…

NOWE PRAWDY

Wreszcie ulubiony bohater mojego dzieciństwa: Robin Hood. Przerabiano tę opowieść wcześniej na różne sposoby. Niektóre intrygujące: jak wersja fantasy w serialu z Michaelem Praedem „Robin z Sherwood". Inne nudnawe i przyciężkie, jak film Ridleya Scotta, który zamienił się w traktat polityczny o tym, jak uciskani

Manifestem nowego feminizmu stał się animowany film „Władca Pierścieni: Wojna Rohirrimów" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W czerwcu do kin wejść ma film „Śmierć Robin Hooda", który przedstawia ludowego bohatera jako krwawego bandziora i wielokrotnego mordercę FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Brytyjczycy wymusili na swym królu ogłoszenie Magna Carta. Teraz bohater, który jest od stuleci symbolem wolności i walki o sprawiedliwość, zostaje przedstawiony jako okrutnik bez pardonu mordujący niewinnych. Michael Sarnoski zapowiada „mroczną wersję" tej historii, kontynuując tym samym tradycję przerabiania baśni na antybaśnie. Zwiastun filmu sugeruje coś w rodzaju „Sisu" w realiach fantasy. Z jednej strony ktoś może powiedzieć: Ależ to tylko zabawa, tylko rozrywka. Po cóż się tym przejmować? Z drugiej strony oto kolejna pozycja, którą możemy dopisać do długiej listy przedsięwzięć niszczących… No właśnie: co?

Odpowiedź jest prosta: niszczących wszystko. Baśnie i mity nie tylko opowiadały świat, ale także go porządkowały. Wprowadzały do niego fundament moralny. Historie mają znaczenie jedynie wtedy, gdy istnieje w nich pierwiastek zła i dobra, jeżeli go nie ma, to wszystko jest dozwolone, jak w świecie, w którym Boga zabito (odwołując się do Nietzschego).

Kultura masowa tworzona jest przez pogrobowców Michela Foucaulta, głoszącego, że nie ma ludzi naprawdę złych i ludzi naprawdę szalonych – są jedynie osobnicy źle traktowani przez społeczeństwo. Przez neomarksistów lub – patrząc na takie produkty jak „Jedna bitwa po drugiej" – po prostu marksistów. Opowieść nie może mieć fundamentów moralnych, może być natomiast słuszna lub niesłuszna wedle wytycznych aktualnie obowiązującej ideologii. Dobro i zło nie mogą wypływać z „prawa moralnego we mnie", tylko z kodeksów uchwalonych przez inżynierów dusz. Sumienie nie może kierować naszą ręką, gdyż czyni to za nas konieczność dziejowa. Nowy świat nie potrzebuje bohaterów – potrzebuje bojowników.

W Hollywood niczym na szczytach Unii Europejskiej obowiązuje pogląd „czym się strułeś, tym się lecz", więc za najlepsze lekarstwo na katastrofę, którą przyniosło biznesowi filmowemu przedawkowanie lewicowej propagandy, uznano zwiększoną dawkę tego samego. Na co bowiem zasługują krnąbrni widzowie, którzy wciąż nie doceniają wspaniałości przesłań nowej epoki? Na intensywną reedukację. Mity, baśnie, opowieści moralne – wszystko to nie jest potrzebne. A precyzując: przydatne jest, gdy można przechwycić ikonografię, a wyrwać serce i duszę. Na ikonografii można bowiem dobrze zarobić, hakując jednocześnie umysły odbiorców.

Do środka zaś wleje się nowe prawdy, takie, jakie akurat uznamy za słuszne. Bohaterowie baśni nie są wiec potrzebni – potrzebne są marionetki, które przemalować można na dowolny kolor i nakazać odtańczenie dowolnego tańca. Jedynym pocieszeniem może być fakt, że owo zjawisko demaskuje jednocześnie wszystkich uprawiających ten proceder jako osobników pozbawionych daru prawdziwej kreacji, którzy zamiast tworzyć własne baśnie, potrafią jedynie przerabiać to, co cudze, porwane, kradzione. Małpie przedrzeźnianie tego, co mądre, dobre i piękne jest cechą sami wiecie kogo. Nie chodzi mi tylko o Voldemorta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Ulice Birmingham

★★★★☆☆

REŻ. TOM HARPER

„PEAKY BLINDERS: NIEŚMIERTELNY" („PEAKY BLINDERS: THE IMMORTAL MAN")

wyst. Cillian Murphy, Barry Keoghan, Tim Roth

Scenarzysta Steven Knight dokonał tego, co nie udało się showrunnerom „Gry o tron" – po licznych trzymających w napięciu sezonach zamknął popularną serię emocjonującym, logicznym i satysfakcjonującym publiczność finałem. „Peaky Blinders" w latach 2013–2022 zredefiniował brytyjski dramat gangsterski, umiejętnie łącząc wątki kryminalne z historycznymi i politycznymi. Świetna obsada, ekstremalna przemoc i zaskakujący scenariusz – zdawać by się mogło, że to nowa propozycja HBO, tymczasem mieliśmy do czynienia z jedną z ostatnich naprawdę udanych propozycji BBC.

Historia gangu Peaky Blinders, będąca dziejami rodziny Shelbych oraz ich sojuszników i wrogów, rozpoczęła się na małym ekranie od roku 1919, kiedy to Thomas Shelby (znakomity Cillian Murphy) zaprowadzał ich rządy w Birmingham, walcząc jednocześnie z rządowymi agentami. Po sześciu sezonach, w filmie stanowiącym finał opowieści, ten sam Shelby na odludziu kryje się przed światem, podtrzymując panujące powszechnie przekonanie, że nie żyje. Mamy już rok 1941, trwa druga wojna światowa. Miasto cierpi w wyniku niemieckich bombardowań, a Peaky Blinders kieruje twardą ręką nieślubny syn Thomasa, Duke (Barry Keoghan).

N

Fabułę napędza nazistowski spisek przeciw Wielkiej Brytanii szyty rękami Johna Becketta (niezawodny Tim Roth), natomiast istotniejsze od tego paliwa są inne fakty: jak powracający na scenę Thomas ułoży sobie relacje z synem (o którym mówią, że rządzi bardziej okrutnie niż ojciec) oraz z samym sobą. Jest już bowiem człowiekiem w podeszłym wieku, rozmawiającym z duchami zmarłych i powoli rozsypującym się pod naciskiem dawnych traum i win. Nie ma większych wyzwań od tych, które sami sobie zgotowaliśmy, nie ma bardziej surowych sędziów od pamięci i sumienia.

Pożegnanie z Thomasem Shelbym było nieuniknione, nie oznacza to jednak, że żegnamy się na dobre ze światem Peaky Blinders. Ciąg dalszy nastąpi w postaci dwóch sześcioodcinkowych sezonów produkowanych wspólnie przez BBC i Netflix. Akcja rozgrywać się będzie już w latach 50. XX w., główną figurą gangu pozostanie Duke, a do obsady dołączy m.in. Charlie Heaton. Scenariusz ponownie pisze Steve Knight. ©℗

GRA TYGODNIA: „LEGACY OF KAIN: ASCENDANCE"

„Ascendance" nie jest dokładnie tym, z czym marka „Legacy of Kain" może się najbardziej kojarzyć. To nie gra z widokiem TPP, lecz platformowy akcyjniak z widokiem z boku. Dostajemy do dyspozycji trzech grywalnych bohaterów: Kaina, Raziela oraz wampirzycę Elaleth. Niezależnie od wyboru liczyć się będzie sprawność naszych palców i skuteczne wiklikiwanie kombosów. O fabule nie ma co wspominać, bo równie dobrze mogłoby jej nie być. Jako platformówka „Ascendance"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★☆☆☆

wypada średnio. Nie jest to wymarzony powrót marki. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** ***platformowa***
- ***Platforma:*** ***PS5, XSX, NS 1 i 2, PC***
- ***Producent, wydawca:*** ***Bit Bot Media, Crystal Dynamics***

eprasa.pl d22c75f697

Pogoda dla bogaczy

KINO

Historia niby z życia wzięta, lecz w istocie landrynkowa. Ludzie ze świecznika źle znoszą krytykę: chcą, by mówiono o nich dobrze lub wcale. W przypadku szefowej koncernu L'Oreal skandalu nie udało się całkiem zatuszować. Biada jednak narwańcom, którzy spróbowaliby stworzyć na kanwie sprawy madame Bettencourt bardziej krwistą narrację. Hieny z kancelarii prawnych tylko czekają na takie okazje. Thierry Klifa zna reguły gry, od ryzyka stroni, więc jego film ma konsystencję kisielu. Drugim problemem są dramatis personae: jednowymiarowe, znakomicie przewidywalne w swoich reakcjach oraz interakcjach.

Postać centralna to zgorzkniała zołza, która nie potrafi zestarzeć się z godnością. Przy okazji sesji zdjęciowej dla pisma „Egoïste" (cóż za cudowna nazwa!) poznaje fatum w osobie bufona fotografa. Przyzwyczajona, że wszyscy jej czapkują, bierze arogancję za oryginalność. Ponieważ „artysty" nie zadowala status maskotki, madame awansuje go do rangi przyjaciela domu i wyroczni dobrego smaku.

★★★☆☆☆

REŻ. THIERRY KLIFA
„NAJBOGATSZA KOBIETA ŚWIATA"
FRANCJA/BELGIA 2025

wyst. Isabelle Huppert, Laurent Lafitte, Marina Foïs

Nie ona pierwsza, nie ostatnia. Pierre-Alain, samozwańczy arbiter elegantiarum, sztukę wkradania się w łaski ludzi wpływowych i obrzydliwie bogatych opanował do perfekcji.

„Najbogatsza kobieta świata" na pierwszy rzut oka jawi się kolejną produkcją żerującą na fascynacji szaraków egzystencją zblazowanych milionerów tudzież rodzinnych zmagań o sukcesję. Z drugiej strony jest to film bardzo francuski, nafaszerowany erystyką jak pieczona kaczka jabłkami. Zasada: masz gadane – nie zginiesz znajduje tu kolejne potwierdzenie. Klifa mimochodem potwierdza opinię o hipokryzji rodaków obracających się w sferach gospodarczych i politycznych – od prezydenta republiki w dół. Pojawia się nawet sugestia, że w powojennej Europie sukces w biznesie był uwarunkowany zatrudnianiem na kluczowych stanowiskach Żydów oraz byłych nazioli.

Isabelle Huppert tym razem nie dominuje na ekranie. Dała szansę innym aktorom, lecz tylko Laurent Lafitte zdołał ją wykorzystać. W rezultacie „Najbogatszą kobietę świata" ogląda się jak terrarium ze statycznymi lokatorami – z uprzejmym zainteresowaniem, ale bez emocji. Co z tego, że pieniądze są duże, gdy ludzie mali. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

FATALNE ZAUROCZENIE

Horror, ale z wyższej półki. W odróżnieniu od innych speców od strasznych filmów Zach Cregger dba o logikę, wiarygodność i spójność fabuły. Amy Madigan zasłużyła na Oscara. Zawiązanie akcji może wydać się banalne. Ot, pewnej nocy z idyllicznego przedmieścia znika bez śladu 17 małolatów. Do rozwiązania zagadki zmierzamy drogą mocno okrężną. Narratorów jest pięciu: nauczycielka uważana za wiedźmę, bezdomny ćpun, policjant z problemami, ojciec zaginionego dzieciaka i chłopak, który nie podzielił losu rówieśników, lecz i tak chodzi jak struty. Są w „Zniknięciach" zwidy, czary i przemoc, jednak woźnica mocno trzyma lejce. Ten pojazd dotrze do celu bez kolizji i w wyznaczonym czasie. Każdy puzzel trafi na swoje miejsce. Morał? Nie odświeżaj znajomości z krewnymi, których ostatnio widziałeś wiele lat temu. ©℗

HBO max

★★★★☆☆

REŻ. ZACH CREGGER
„ZNIKNIĘCIA" („WEAPONS")
USA 2025

wyst. Julia Garner, Josh Brolin, Amy Madigan

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Grupa Pięciu

Istniała jedynie przez dwa i pół roku, dziś jest niemal zapomniana. Grupę Pięciu, zwaną także Grupą „Norwid", którą przed 120 laty powołali do życia Leopold Gottlieb, Witold Wojtkiewicz, Wlastimil Hofman, Mieczysław Jakimowicz i Jan Rembowski, przypomina Muzeum Narodowe w Krakowie. To pierwsza w historii ekspozycja poświęcona działalności tego młodopolskiego ugrupowania, a zarazem pierwsza wspólna prezentacja prac jego członków od czasu ich inicjatyw na początku XX stulecia.

„Wspólne wystąpienie debiutujących artystów należy odczytywać jako jawny bunt młodych przeciwko zarówno Towarzystwu Artystów Polskich »Sztuka« i lansowanej przez jego przedstawicieli sztuce wyrosłej z impresjonizmu, secesyjnej dekoracyjności i imperatywu narodowego posłannictwa, jak i – a może przede wszystkim – mechanizmom wykluczenia, a także jako sprzeciw wobec braku dostępu do oficjalnych miejsc wystawienniczych" – czytamy w opisie wystawy. ©℗

FOT. X MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

GDZIE? ***Muzeum Narodowe w Krakowie***
KIEDY? ***do 5 lipca***

eprasa.pl d22c75f697

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Służba i drużba

Wyjaśnijmy rzecz od razu. „Przemienienie" nie jest nową książką Szczepana Twardocha. Powieść ta wydana została 18 lat temu. Była trzecią w dorobku autora „Króla".

Dystans 18 lat to dla czytelników takich jak niżej podpisany ledwie wczoraj, dla młodych – cała epoka, nic dziwnego więc, że niejeden nabywca „Przemienienia" dopiero w trakcie lektury, a właściwie po jej zakończeniu zorientował się, że nie ma do czynienia z nową książką popularnego pisarza, a ze wznowieniem, o czym wydawca informuje w redakcyjnej stopce anonsem: „wydanie pierwsze w tej edycji". Edycji wzbogaconej o obszerne posłowie „Między esbecją a Evolą", napisane przez historyka z katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, Sebastiana Rosenbauma.

A cóż to za powieść – może ktoś zapytać – która wymaga naukowego komentarza? I czy rok 1985, w którym rozgrywa się akcja „Przemienienia", to już historia, którą trzeba objaśniać? Otóż tak właśnie, nawet jeśli przyjmiemy za prawdę znane powiedzenie, że historia to jest dziś tylko cokolwiek dalej. A opisywane przez Twardocha wydarzenia, także te będące wyłącznie wynikiem kreatywności pisarskiej autora, jak również w sumie odległy czas, w którym książka ta powstawała, niepokojąco przypominają to, co widzimy za oknem. A tam dopala się właśnie krzyż, który spłonął, bo wierni postawili przed nim za wiele zniczy. No jasne.

Zwalczaniem Kościoła komuna zajmowała się zawsze. Bolszewicy niszczyli świątynie, więzili i zabijali duchownych, wierzących poniżali, z religii szydzili. Że jednak nie potrafili, przynajmniej w Polsce, unicestwić ducha wiary, z czasem przyczaili się, zmagania z krzyżem pozostawiając wyspecjalizowanym służbom, czyli esbecji niegdyś ubecją zwaną. I właśnie działalność Departamentu IV Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zajmującego się sprawami Kościoła, pokazana została w „Przemienieniu" – wnikliwie i ze znajomością rzeczy. Niewątpliwie inspiracją do napisania powieści stały się głośne badania ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, przedstawione przez niego w książce „Księża wobec bezpieki na przykładzie archidiecezji krakowskiej". Szczepan Twardoch pod lupę wziął inny, bliższy sobie teren – Górny Śląsk. I to w IV Wydziale Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Katowicach umieścił swojego bohatera.

A do pracy przyjmowano go w okolicznościach przypominających znane sceny z filmów Antoniego Krauzego („Akwarium") i Władysława Pasikowskiego („Psy"):

Wichna uniósł szklankę po raz drugi.

– Chwała nam i naszym kolegom!

– Chuje precz! – odpowiedziała jednym głosem sala.

– I jeszcze dla naszych radzieckich towarzyszy – ciągnął Wichna. – Sława nam i naszym towariszczam!

– A chuji paszli na chuj! – odpowiedziało, śmiejąc się, paru nieznajomych, zebranych przy jednym ze stolików.

Wszyscy ryknęli radośnie, wypili. Szarzyński też wypił i usiłował złapać oddech oraz uspokoić żołądek, który nagle skręcił się, zwinął i zapragnął pozbyć się przyjętego w ciągu minuty pół litra wódki.

Niestety, szklanki wypełniono po raz trzeci i major naczelnik wzniósł trzeci toast:

– Koledzy! Po raz trzeci, tradycyjnie – za naszych kolegów z centrali, pułkownika Pietruszkę, kapitana Piotrowskiego, porucznika Pękalę i porucznika Chmielewskiego! Dla firmy uciszyli szczekającego klechę, dla firmy siedzą w pierdlu, firma o nich nie zapomni i my pamiętamy!

– Pamiętamy – ryknęła sala, wypili znowu.

Sebastian Rosenbaum w swoim posłowiu akcentuje następujące zdanie z „Przemienienia": „[...] jeśli w całym socjalistycznym syfie cokolwiek było na serio, to właśnie służby". A pomagano im, pomagano; jednych zmuszano do współpracy, drudzy byli nadgorliwi. Niestety, tak się działo i w opozycji (znakomity pisarz Sándor Márai twierdził zresztą, że w totalitaryzmie opozycji nie ma – są tylko agenci), i w łonie Kościoła. Niemniej to ten ostatni był jedyną przeciwwagą dla czerwonej zarazy. I dlatego skupił na sobie nienawiść opresyjnej władzy. Dziś nie ci sami, a jakby ci sami rządzący lekceważą Kościół, bo też stał się on zadziwiająco spolegliwy i nijaki. Dość go systematycznie opiłowywać, a stanie się reliktem zamierzchłej przeszłości, zakurzonym zabytkiem w moherowym wdzianku.

W „Przemienieniu" wewnątrz ubeckiej struktury działa utajniona sekcja, której dalekosiężnym celem jest radykalna zmiana obrazu świata. Rzekomy upadek komunizmu w Europie i likwidacja granic między państwami są zaledwie pierwszą częścią planu zaakceptowanego przez ważnych polityków zachodnioeuropejskich, ale i przez Watykan, i jakżeby inaczej – KGB. Na milę pachnie to spiskową teorią dziejów. Ale czy powieść nie może karmić się nią?

Odrzućmy sztafaż z sensacyjnego filmu rodem i przeczytajmy „Przemienienie" 18 lat po jego powstaniu. Choćby po to, by przekonać się, jaką żywotność ma PRL. A jeśli nawet nie PRL, to PRL-owskie służby specjalne. I ich wszyscy mniej lub bardziej utajnieni współpracownicy. Z progeniturą włącznie. ©℗

★★★★☆

SZCZEPAN TWARDOCH „PRZEMIENIENIE" MARGINESY, WARSZAWA 2026

eprasa.pl d22c75f697

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Psi los

Książka lekkomyślna, literacki żart – po latach starał się Sándor Márai powieść „Csutora" deprecjonować. Może dlatego, by uciec przed krytyką tych, którzy uważali ją za dzieło paradokumentalne i wywiedzione z osobistej relacji pewnego autora z pewnym psem, której finał nie jest optymistyczny? Deprecjonować jednak tej książki nie można, bo na to nie zasługuje. Krótka, bogata w materiał do przemyślenia, gorzka w przesłaniu – typowy Márai, chciałoby się powiedzieć.

„Lustrem spowiedniczym dla mieszczan" nazwał tę powieść Máraiego jego biograf, Tibor Mészáros. Mieszczanie są, rzecz jasna, zubożali, jak to u Máraiego; zubożali do tego stopnia, że pan domu już w pierwszych partiach tekstu rozważa (czysto teoretycznie), ileż dałoby puszczenie z dymem dobrze ubezpieczonego od ognia mieszkania. Jednak nie o pieniądze w tej historii idzie, lecz o starcie tego, co naturalne i cywilizowane. Pies jest symbolem owej wolności czy nawet dowolności – możecie ją też nazwać dzikością – podczas gdy pan, wyznając zasadę „kocham cię, lecz ciebie złamię", próbuje go ułożyć. Pan jest przedstawicielem świata konwenansów i odpowiedniego zachowania oczekuje (wymaga!) od psa. Pies jest zaś buntownikiem. Nie może być inny – bunt wpisany jest w samą jego naturę.

Zatem pies psem, lecz idzie o metaforę. I ma ona wiele warstw, poczynając od rozważań nad żywotem pana, alter ego autora, przez kwestie społeczne, po filozoficzne. Obie strony chcą dobrze… no, może nie tyle chcą, ile po prostu są takie, jakimi je stworzono, a jednak konfrontacja jest nieunikniona i jej ostatnie stadium nie będzie miłe. Kto ma rację? Czy możliwe jest w takim sporze przyznanie racji?

Ironia, która po raz pierwszy w „Csutorze" jest tak gryząca, miesza się ze smutkiem czy nawet z mizantropią: „Chyba rzeczywiście nie da się inaczej wśród istot żywych, jak regułą, batem i hyclem. Jeśli tak jest, to ja nie chcę o tym wiedzieć. Nie znam się na świecie". Sándor Márai nie wiedział jeszcze, zapisując te słowa, jak długo obserwował będzie zaprowadzanie przez rozmaite reżimy nowych porządków „batem i hyclem". Jakież to dobro wymagać może takich środków? Czy można je usprawiedliwiać? GUŁag pracował już dniem i nocą, za kilka lat zapłoną piece Auschwitz. „Skończyła się idylla" – zapisuje Márai. ©℗

★★★★☆☆
SÁNDOR MÁRAI „CSUTORA. PSIA POWIEŚĆ" CZYTELNIK 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kolejny tom korespondencji dwóch wybitnych osobowości, tym razem w dużym stopniu przybliżający doświadczenia Czapskiego z podróży do Ameryki, a także punkt zwrotny (nowe finansowanie) w dziejach „Kultury".

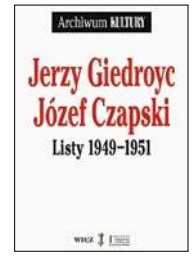

JERZY GIEDROYC, JÓZEF CZAPSKI „LISTY 1949–1951" WIĘŹ

Wznowienie jednej z najważniejszych książek o Rosji wydanych w XXI w. Autor (były korespondent brytyjskich mediów w Moskwie) za fundamentalną cechę systemu Putina uznaje skrajny nihilizm: oto moralny antyświat.

PETER POMERANTSEV „JĄDRO DZIWNOŚCI. NOWA ROSJA" CZARNE

Klasyka literatury chrześcijańskiej i klasyka fantastyki. Po wojnie atomowej członkowie Zakonu Leibowitza zbierają szczątki wiedzy dawnej ludzkości. Ta zaś niczego się nie nauczyła: wkrótce znów nauka wystąpi przeciw religii.

WALTER MILLER JR. „KANTYCZKA DLA LEIBOWITZA" REBIS

Benson przejął po Johnie Gardnerze w 1997 r. pisanie powieści o Bondzie, ma też w dorobku nowelizację scenariuszy filmów o 007. Teraz opowiada o Felixie Leiterze, amerykańskim kumplu Bonda z CIA.

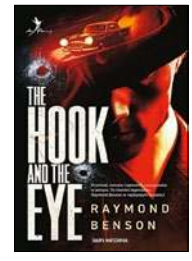

RAYMOND BENSON „THE HOOK AND THE EYE" SKARPA WARSZAWSKA

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: RUINY I SZEKSPIR

Viktor Hachmang to ceniony holenderski ilustrator i autor m.in. eksperymentalnych komiksów. Albumem „Wędrowiec" składa hołd stylowi autorów tworzących niegdyś potęgę magazynu komiksowego „Metal Hurlant", zwłaszcza Moebiusowi. W tej wyśmienicie narysowanej dystopii mamy m.in. miasta na orbicie, zdewastowaną Ziemię oraz „Burzę" Williama Szekspira.

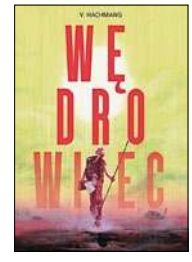

VIKTOR HACHMANG „WĘDROWIEC" EGMONT 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl d22c75f697

Lewar made in China

Adam Wielomski

Gdybyśmy w 2017 r. otworzyli przed Chińczykami możliwość puszczenia głównej nitki Nowego Jedwabnego Szlaku przez Polskę, to nasza sytuacja geopolityczna wyglądałaby zupełnie inaczej. Skoro dziś się uważa, że Xi Jinping mógłby wymusić na Putinie szybkie zakończenie wojny na Ukrainie, to tym bardziej mógłby wymusić na nim nieatakowanie państwa o strategicznym położeniu dla funkcjonowania tego projektu

Pozwolę sobie niniejszy tekst zacząć od uwagi językowej. Jest takie pojęcie w języku geopolityków, na dźwięk którego dostaję alergii: „lewar" i pochodzący odeń czasownik „lewarować". Nie chodzi przy tym o samą koncepcję, lecz o skojarzenie z warsztatem samochodowym. Mamy właściwe słowo i proponuję go używać na opisanie interesującego nas zjawiska. To czasownik „równoważyć". Niniejszy tekst będzie dotyczył idei równoważenia w stosunkach międzynarodowych. Konkretnie zaś możliwości równoważenia cudzych wpływów lub potęgi za pomocą orientacji na Chiny.

Gdy rozmawiam o polityce zagranicznej Polski z osobami używającymi terminów „lewarowanie" lub „równoważenie", to szybko pojawia się konstatacja, że polityka tego typu jest poza możliwościami naszej elity politycznej. Niestety, to prawda. Kierujący naszą polityką zagraniczną prostaczkowie pojmują ją jako projekcję etyki. Czyli trzymamy z „dobrymi" przeciw „złym". Trzymamy z demokracjami przeciwko państwom autorytarnym, z państwami broniącymi judeochrześcijaństwa przeciwko prawosławiu i islamowi etc. Władzę nad polityką zagraniczną Polski ma ten, kto za pomocą mediów wytworzy przekonanie o tym, komu w świecie przypada rola dobrego, a komu – złego. Z tej perspektywy zasada równoważenia wydaje się makiaweliczna i nieetyczna, gdyż równoważenie nadmiernych wpływów „dobrego" mocarstwa za pomocą kontaktów ze „złym mocarstwem" zdaje się być nieprzyzwoite. Mimo to zapytuję: Czy Polska powinna wykorzystywać Chiny do równoważenia nadmiernego uzależnienia od Waszyngtonu i Berlino-Brukseli? Czy inne państwa próbowały z powodzeniem podobnej techniki?

ZWROT PAKISTANU

Przez wiele dziesięcioleci Pakistan był związany ścisłym sojuszem ze Stanami Zjednoczonymi, ponieważ obydwie strony miały wspólnych wrogów. Był to Związek Sowiecki, który dążąc do otwarcia dla siebie dostępu do Oceanu Indyjskiego, rozpoczął interwencję w Afganistanie. Po ewentualnym ujarzmieniu tego państwa naturalnym kierunkiem stawał się Pakistan z wielkim portem w Karaczi. Poza tym dla obydwu państw problemem były Indie. Dla Waszyngtonu państwo to było chwiejne, kupujące sowiecką broń, która może była nieco gorsza od amerykańskiej, lecz kilkakrotnie tańsza. Dla Karaczi (a od roku 1966 Islamabadu, dokąd przeniesiono stolicę Pakistanu) Indie były śmiertelnym wrogiem. W wyniku kilku wojen Delhi doprowadziło do odłączenia od Pakistanu tzw. Pakistanu Wschodniego, przekształcając go w niepodległy Bangladesz, a granica w Kaszmirze pozostawała (i pozostaje) skrajnie niestabilna. Dla USA Pakistan był cennym sojusznikiem, któremu Amerykanie pomagali finansowo i sprzedawali broń.

Te sojusznicze stosunki załamały się po rozpadzie ZSRS w roku 1991. Stany Zjednoczone objęły Islamabad sankcjami ekonomicznymi za pracę nad własną bronią nuklearną, którą budowano, ponieważ arsenał nuklearny posiadały już Indie. Sytuacja zmieniła się od zamachu na World Trade Center w roku 2001, gdy Pakistan stał się miejscem, z którego ruszyła operacja lądowa przeciw talibom. Okupacja Afganistanu przez kolejne lata nie byłaby możliwa bez tranzytu zaopatrzenia przez interesujące nas państwo. Niestety, stosunki te szybko zaczęły się psuć, gdyż talibowie byli produktem tutejszego wywiadu

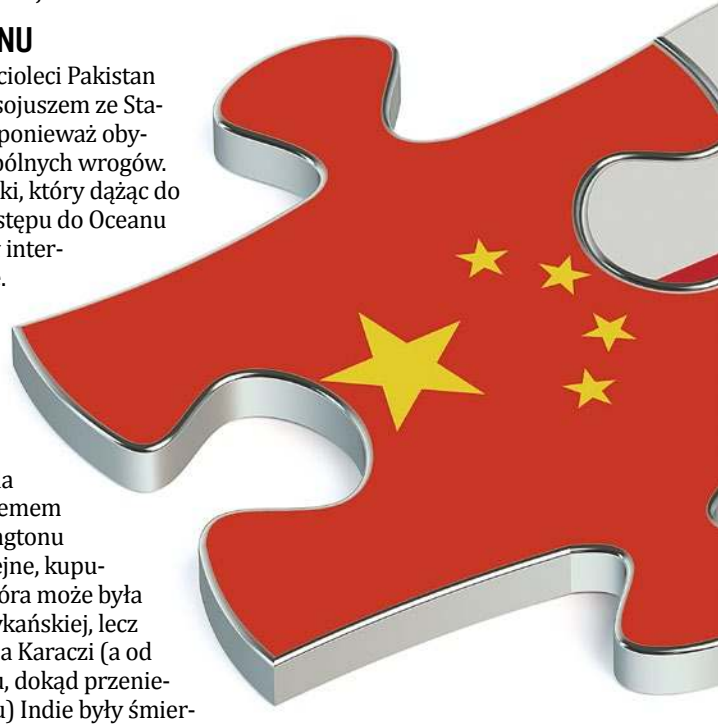

i armii, co czyniło pakistańskie poparcie dla „operacji antyterrorystycznej" przeciw Kabulowi nieszczerym. Potwierdził to w roku 2011 rajd amerykańskich komandosów, w czasie którego zabito Osamę bin

eprasa.pl d22c75f697

Ladena, ukrywającego się na terenie Pakistanu. W odwecie za naruszenie suwerenności i zamordowanie przywódcy Al-Kaidy, prawdopodobnie znajdującego się pod opieką pakistańskich służb, Islamabad wydalił z kraju amerykańskich doradców wojskowych. Po wycofaniu się Amerykanów z Afganistanu w roku 2021 strategiczne znaczenie Pakistanu dla Waszyngtonu drastycznie spadło. USA umizgiwały się do Indii, tutaj szukając przeciwwagi dla Chin w Azji. Amerykanie w typowy dla siebie sposób zwrot ten uzasadniali ideologicznie: zbliżeniem się do „największej demokracji świata" przeciwko „niedemokratycznemu" Pakistanowi.

W tej sytuacji w Islamabadzie zapadła decyzja o próbie zrównoważenia rysującego się na horyzoncie aliansu Waszyngton-Delhi za pomocą zbliżenia się do Pekinu. Początkowo Pakistańczykom chyba nie chodziło o zmianę sojuszy, lecz właśnie o równoważenie. Chcieli pokazać Amerykanom, że nie są zdani na ich łaskę i niełaskę. Pakistan chciał zademonstrować USA, że posiada geopolityczną alternatywę. Amerykanie wybrali umizgi wobec Indii. Jakkolwiek Pakistan był chętny do podtrzymywania strategicznego aliansu, to dla USA był państwem średnim. Zbliżenie z Indiami mogło zakończyć się porażką, lecz w razie sukcesu oznaczałoby wzmocnienie antyrosyjskiego i antychińskiego sojuszu w Azji przez wschodzące mocarstwo. Jakkolwiek Indie wciąż się wahają między Stanami Zjednoczonym a Chino-Rosją, to Pakistan w tym czasie podjął strategiczną decyzję. Z próby równoważenia Indii i wzmacniania swoich kart wobec USA przeszedł do strategicznego sojuszu z Chinami. Państwo to opuściło obóz Zachodu i zasiliło szeregi Globalnego Południa.

Dlaczego chińska oferta okazała się lepsza? „Pakistanolodzy" twierdzą, że po pierwsze, Pekin zaproponował sojusz stabilny i długookresowy, a nie kapryśny i zależny od sytuacji w regionie, który praktykowali Amerykanie. Po drugie, oferta ekonomiczno-militarna Chin była hojna. Pekin potrzebuje Pakistanu do szachowania Indii, które bojąc się chińskiej dominacji, ciągle zerkają na państwa zachodnie, na czele z USA. Dlatego Indie nie weszły w projekt Nowego Jedwabnego Szlaku, a konkretnie jego nitki południowej lądowej i nitki morskiej. Szlak omija Indie i od północy idzie przez Pakistan na Bliski Wschód, a nitką morską opływa Indie od Myanmaru (dawna Birma), przez porty w Bangladeszu, bezpośrednio do Karaczi, potem zaś dalej do Zatoki Perskiej (m.in. idą przezeń chińskie tankowce przywożące ropę z Zatoki Perskiej, co stanowi 55 proc. chińskiego importu tego surowca). Islamabad osiąga duże dochody z użyczania portów, kolei i dróg, przy czym infrastrukturę tę obecnie rozbudowują i unowocześniają za własne pieniądze sami Chińczycy. Za projektem Szlaku poszły też wielkie chińskie inwestycje. Za uzyskane środki Pakistan kupuje u Chińczyków nowoczesną broń, zresztą o ok. 50 proc. tańszą niż amerykańska. W końcu pragmatyzm Pekinu polega i na tym, że nie naciska na demokratyzację państwa. Chiny traktują Pakistan jako strategicznego partnera, nie mieszając się w jego sprawy ustrojowe i nie narzucając mu żadnej ideologii.

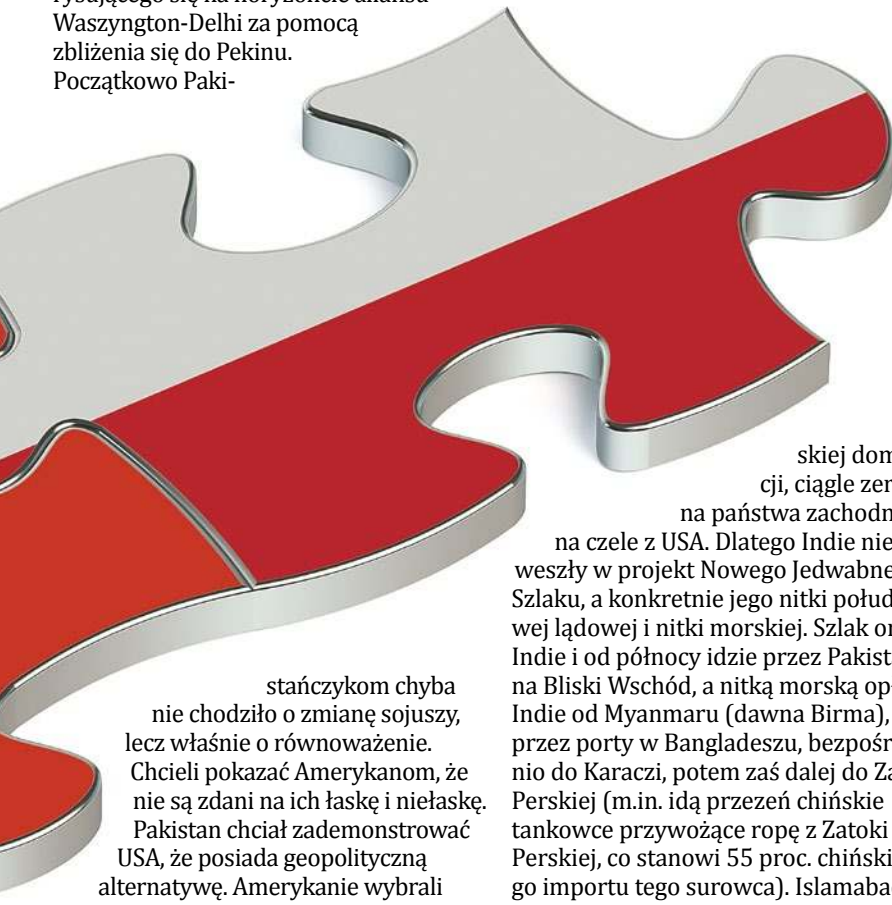

FOT. ADOBE STOCK

Politycy pakistańscy ustawicznie dziś podkreślają, że zaczęło się od polityki równoważenia Stanów Zjednoczonych, a skończyło się na strategicznym partnerstwie z potęgą, dla której Pakistan jest sojusznikiem strategicznym. Bez niego południowe (lądowe i morskie) nitki Nowego Jedwabnego Szlaku nie mogłyby istnieć.

WĘGIERSKA „KRNĄBRNOŚĆ"

Zdecydowanie bliższym nam geograficznie państwem równoważącym nadmierne wpływy Zachodu za pomocą Chin są Węgry Viktora Orbána. Rządzone przez tego męża stanu państwo od lat zmagało się z silnymi naciskami zachodnimi, aby wymusić na nim zachowania wprost lokajskie. Za pomocą amerykańskich prezydentów wywodzących się spośród demokratów żydo-węgierski miliarder George Soros ustawicznie podejmował próby zdobycia zakulisowej i nieformalnej pozycji, traktując Węgry niczym swój prywatny folwark, aby uczynić z nich pokazowy przykład „społeczeństwa otwartego", wielokulturowego i „tolerancjonistycznego". Komisja Europejska od lat postrzega to państwo jako kość w gardle projektów federalizacji UE i likwidacji ich suwerennych polityk zagranicznych. Stąd też, gdy Pekin ogłosił wielki projekt Nowego Jedwabnego Szlaku, Budapeszt zwietrzył wielką szansę na zrównoważenie nadmiernych wpływów i roszczeń zachodnich przez Chińczyków.

Dwa lata temu w jednym ze swoich przemówień Viktor Orbán powiedział, że dopóki on rządzi, dopóty Budapeszt nigdy nie zgodzi się na federalizację Unii Europejskiej. Najpierw przywołał argument narodowej suwerenności, następnie obrony idei narodowej i cywilizacji chrześcijańskiej przed wokeizmem i LGBT, a w końcu stwierdził, że nigdy nie zgodzi się na wspólną unijną politykę zagraniczną. Dlaczego? Dlatego, że Bruksela prowadzi politykę antychińską, tymczasem – jak stwierdził Orbán – „Węgry nigdy nie dostały takiej propozycji

eprasa.pl d22c75f697

biznesowej, jaką dostały od Chin". Szczegółów tej propozycji oczywiście nie ujawniono publicznie, lecz z grubsza widać je po rozmaitych inwestycjach.

Od 2024 r. Węgry są jedynym państwem z grona Unii Europejskiej, którego status relacyjny z Chinami Pekin sam oficjalnie określa jako „strategiczne partnerstwo niezależne od pogody" (ang. all-weather comprehensive strategic partnership). W 2020, a potem regularnie od 2023 r. ten mały kraj europejski stanowi miejsce największych chińskich inwestycji w UE. W roku 2024 na Węgrzech było ok. 40 proc. ogółu tych inwestycji! W Debreczynie inwestorzy z Państwa Środka włożyli ok. 7,3–8 mld dol. (największa inwestycja zagraniczna na Węgrzech w historii) w fabrykę baterii do samochodów elektrycznych, co w momencie jej otwarcia za jakieś pół roku ma stworzyć ok. 9 tys. miejsc pracy. W Szeged chiński koncern motoryzacyjny BYD buduje pierwszą w UE chińską fabrykę samochodów. Inwestycja jest warta 5 mld dol. Z mniejszymi inwestycjami wchodzą Huawei, Wanhua, Semcorp, EVE Power etc. Już widać, że Chińczycy, widzący nieprzychylny dla nich klimat inwestycyjny w napompowanej ideologią demokracji i praw człowieka UE, podjęli strategiczną decyzję. Skoro inne państwa nie chcą chińskich inwestycji, a UE stosuje wobec Pekinu protekcjonizm celny, szczególnie ostry przy produkcji samochodów elektrycznych, to wielkie koncerny z Państwa Środka budują fabryki na Węgrzech, a wyprodukowane tutaj auta rozprowadzają na rynki UE. Ursula von der Leyen nie ma jak ich powstrzymać i może tylko bezsilnie obgryzać paznokcie, widząc, jak Niemcy nie nadążają w tej konkurencji. Budapeszt staje się europejskim hubem dla chińskich elektryków. W samym tylko 2023 r. chińscy inwestorzy stworzyli 16 tys. nowych miejsc pracy (aby zobrazować tę skalę, w czterokrotnie liczebniejszej Polsce byłby to odpowiednik ok. 60 tys.). Dla Budapesztu Chiny to drugi, po Niemczech, światowy partner handlowy.

Pamiętać też trzeba, że z powodu zablokowania inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku w Polsce – co było w roku 2017 wątpliwym sukcesem Antoniego Macierewicza – Chiny zdecydowały, że dopóki Szlak nie pójdzie główną nitką przez Rosję, Białoruś i Polskę, dopóty będą inwestować w jego nitkę południową. Biegnie ona przez Pakistan, Bliski Wschód i Turcję do Pireusu, a potem przez Serbię na Węgry. Zamiast Polski rolę głównego huba w Unii Europejskiej przejęły Węgry. Za pozycją tą idą inwestycje w infrastrukturę (drogi i koleje), aby ułatwić rozprowadzanie chińskich towarów po całej Europie.

Być może Viktor Orbán nie powiedział tego nigdy głośno i wprost, lecz Węgry liczą się z możliwością usunięcia ich z Unii Europejskiej za „krnąbrność", dobre stosunki z Rosją, sprzeciw wobec federalizacji UE i hołdowanie konserwatywno-chrześcijańskiemu światopoglądowi. Stąd też równoważąca gra Budapesztu na Donalda Trumpa i właśnie na Chiny. Równoważenie przez Waszyngton jest dramatycznie niestabilne i niepewne, gdyż każdy prezydent z Partii Demokratycznej będzie popierał Sorosa, aby zamienić Węgry w folwark „społeczeństwa otwartego". W Chinach nie ma wyborów i dlatego jest to partner dosłownie „na każdą pogodę". Na razie można równoważyć Komisję Europejską za pomocą Trumpa i Xi Jinpinga, lecz jeśli Budapeszt zostanie z UE usunięty, to równoważenie za pomocą Chin skończy się aliansem z nimi (jak w przypadku Pakistanu). Tłumaczy to nam przy okazji, dlaczego Orbán nie wychodzi dobrowolnie z UE: Węgry są chińskim hubem w UE. Opisane inwestycje motoryzacyjne i infrastrukturalne w tym kraju nie wynikają z sympatii, lecz z faktu, że Budapeszt jest dla chińskich inwestorów jedyną bramą, przez którą mogą wjechać do UE.

POLSKIE KLĘCZNIKI PRZED BIAŁYM DOMEM I KE

Jak napisałem na początku, nasza postsolidarnościowa elita polityczna intelektualnie i mentalnie nie jest zdolna do prowadzenia polityki równoważenia. Dlatego też tylko w teorii możemy zadać pytanie, jak miałaby ona wyglądać. Pod względem ekonomicznym dość łatwo sobie wyobrazić, że chińskie inwestycje na Węgrzech mogły mieć miejsce w naszym kraju, gdybyśmy nie zablokowali Szlaku idącego przez Rosję i Białoruś do Polski. To my moglibyśmy dziś być chińskim hubem w UE.

Geopolitycznie równoważenie Chinami mogłoby rozwiązać nasze obawy przed Rosją. Polskie elity panicznie boją się wyimaginowanej rosyjskiej agresji. Dlatego Jarosław Kaczyński postawił klęcznik przez Białym Domem, a Donald Tusk przed siedzibą Komisji Europejskiej. USA, UE czy też całe NATO mają nas obronić przed rzekomo zbliżającą się rosyjską agresją. Im większy czujemy strach przed Władimirem Putinem, tym bardziej klękamy i wykazujemy posłuszeństwo wobec Zachodu. W Warszawie nie umiano wykorzystać możliwości równoważenia tego wpływu Brukselo-Berlina i Waszyngtonu za pomocą Pekinu. Gdybyśmy w 2017 r. otworzyli przed Chińczykami możliwość puszczenia głównej nitki Szlaku przez Polskę, to nasza sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Pekin nie chciał za główną nitkę Szlaku uznać nitki południowej, gdyż biegnie ona przez skrajnie niestabilny politycznie Bliski Wschód (patrz: obecna wojna z kluczowym dla projektu Iranem). Polską odmową został do tego zmuszony. Gdyby Szlak szedł przez Polskę, to nie tylko mielibyśmy z tego powodu korzyści finansowe i ekonomiczne. Przede wszystkim Pekin miałby interes, aby dbać o bezpieczeństwo Szlaku, powstrzymując Moskwę przed (bardzo) hipotetycznym atakiem na Polskę. Skoro się dziś uważa, że Xi Jinping mógłby wymusić na Putinie szybkie zakończenie wojny na Ukrainie, to tym bardziej mógłby wymusić na nim nieatakowanie państwa o strategicznym położeniu dla funkcjonowania Szlaku. W ten sposób Chiny stałyby się nieformalnym gwarantem polskiej suwerenności, a nasi politycy nie musieliby się płaszczyć w Waszyngtonie i Berlinie w poszukiwaniu gwarancji bezpieczeństwa…

Nasza postsolidarnościowa elita polityczna intelektualnie i mentalnie nie jest zdolna równoważyć nadmiernego uzależnienia od Waszyngtonu i Berlino-Brukseli

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

Hetka-pętelka dla mocarstw

Piotr Ciompa

„Rechot Buddy" to adekwatne wolne tłumaczenie nazwy programu nuklearnego Indii, które dały przykład konsekwentnego prowadzenia polityki narodowej wbrew interesom potęg maskowanym ideologią pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego. Czy polskich polityków stać na taką odwagę, by podjąć ryzyko niezależnej drogi?

FOT. OBRAZ WYGENEROWANY PRZEZ AI/12 KREDEK

Wypowiedzi prezydenta Karola Nawrockiego, a następnie premiera Donalda Tuska na temat skonstruowania przez Polskę własnej broni jądrowej wprowadziły do debaty o wyborze technologii dla drugiej wielkoskalowej elektrowni atomowej – której budowa planowana jest w Bełchatowie lub Koninie – nowy wątek. Chodzi o odpowiedź na pytanie, na ile wybrana technologia może przybliżyć Polskę do produkcji własnej broni jądrowej.

Rząd Tuska zaprosił do negocjacji czterech dostawców: amerykański Westinghouse (realizujący już projekt w Choczewie), francuski EDF, południowokoreański KHNP oraz – co wyprowadza myślenie o energetyce jądrowej z tradycyjnych kolein i za co rządowi należy się pochwała – kanadyjski AtkinsRéalis. Trzej pierwsi proponują reaktory wodno-ciśnieniowe (PWR), które nie sprzyjają produkcji materiałów rozszczepialnych. CANDU to inna historia – właśnie dzięki tej ciężkowodnej technologii Indie zbudowały w 1974 r. swoją pierwszą bombę atomową.

Czy Polska mogłaby powtórzyć ten scenariusz? Technicznie – tak. Politycznie – to znacznie trudniejsze. Przeciwnikiem polskiej bomby atomowej będą najbliżsi sojusznicy, w pierwszej kolejności USA i Francja, ponieważ wzmocnienie pozycji negocjacyjnej Polski żadnemu z tych państw nie jest w smak. USA zablokowały próby pozyskania własnej broni jądrowej przez tak bliskich sojuszników jak Tajwan czy Korea Południowa. Nadto Polskę ograniczają postanowienia Układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT). Ale nawet w ich ramach możliwe jest wdrożenie technologii CANDU – tak jak robi to Rumunia. Dwa działające tam reaktory CANDU są pod kontrolą Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA), a dopiero co Rumunia podpisała z Kanadyjczykami umowę na dwie kolejne jednostki, wszystko w ramach reżimu antyproliferacyjnego (NPT).

Jeżeli nawet dziś nie planujemy budowy broni jądrowej, to stworzenie potencjału do jej szybkiego zbudowania może wzmocnić naszą pozycję geopolityczną. Przyszłość jest nieprzewidywalna – za 30 lat możemy żałować, że nie przygotowaliśmy się wcześniej. Ten argument

eprasa.pl d22c75f697

przemawia za wyborem dla drugiej elektrowni technologii ciężkowodnej.

URAN POD NASZYMI STOPAMI

Jednak nie tylko militarne argumenty przemawiają za technologią ciężkowodną. Kanadyjska oferta ma atuty także w czysto cywilnym wymiarze. Reaktory CANDU wykorzystują uran naturalny, co upraszcza cykl paliwowy i uniezależnia Polskę od dostawców wzbogaconego uranu. Polska posiada ok. 7 tys. ton uranu naturalnego, a MAEA na podstawie uwarunkowań geologicznych szacuje, że Polska może posiadać dalsze nawet 100 tys. ton. Choć dziś wobec cen rynkowych uranu na świecie wydobycie odkrytych złóż jest nieopłacalne, to w sytuacji kryzysowej i odcięcia dostaw światowych te zasoby mogą okazać się bezcenne. Warunkiem jest udostępnienie złóż i zbudowanie w Polsce cyklu paliwowego (przetwarzania uranu na paliwo jądrowe). W czasach pokoju Polska może importować uran, choćby z Kanady, a koszt utrzymania w czasach pokoju cyklu paliwowego powinien być potraktowany jako koszt bezpieczeństwa energetycznego.

Ponadto technologia ciężkowodna jako paliwo będzie mogła wykorzystywać zamiast uranu tor, którego znaczące złoża posiada Polska. Wprawdzie komercjalizacja tej generacji reaktorów to perspektywa minimum kilkunastu lat, ale już dziś warto zajmować pozycje startowe w tym maratonie i technologia CANDU by temu służyła.

Dodatkowo za Kanadą i jeszcze bardziej Koreą Południową jako dostawcami technologii przemawia to, że oba kraje nie mają w Europie Środkowo-Wschodniej strategicznych interesów politycznych, a tylko ekonomiczne, co zmniejsza ryzyko wykorzystania swojej pozycji do politycznych nacisków.

Te dwa atuty – uran naturalny jako paliwo i możliwość produkcji materiału rozszczepialnego – są nie do podrobienia przez technologie amerykańskie, francuskie czy południowokoreańskie. Inne zalety, jak niższy koszt budowy, większy udział polskich firm czy współfinansowanie przez rząd Kanady, są istotne, ale mogą zostać zrównoważone przez konkurencję. Westinghouse zapewnia spójność z pierwszym projektem w Choczewie, co może obniżyć koszty i uprościć zarządzanie. Francuzi, jeśli zaangażują się kapitałowo, mogą pomóc w negocjacjach z Brukselą istotnie korzystniejszych warunków wsparcia publicznego, niż otrzymali Czesi dla projektu budowy reaktorów Dukovany II.

KANADYJSKIE CIENIE

Oferta kanadyjska ma jednak swoje słabe strony. Oferowane reaktory EC6 i projektowany Monark nie zostały jeszcze nigdzie zbudowane, co stoi w sprzeczności z zaleceniami MAEA, by kraje rozpoczynające przygodę z energetyką jądrową wybierały sprawdzone konstrukcje.

Ale najważniejsze pytanie, na które odpowiedź należy wyegzekwować od Kanadyjczyków, brzmi: Dlaczego rząd Kanady nie traktuje tej technologii jako priorytetu dla samej Kanady? Z większą determinacją i nakładami spotyka się nieukończony projekt małego reaktora BWRX-300 firmy General Electric. W Polsce reaktory te chce budować Michał Sołowow. W czasach konfrontacji handlowej z USA uzależnianie się przez Kanadę od nieprzewidywalnego sąsiada, zwłaszcza dostaw wzbogaconego uranu, wygląda na politykę niepoczytalną. Warszawa powinna z żalem wysłać Ottawie czytelny komunikat, że bez nieodwracalnych decyzji o wdrożeniu reaktorów EC6 lub Monark w Kanadzie nie mogą oczekiwać podobnych decyzji od Polski.

Powyższe pytanie jest szczególnie doniosłe w kontekście braku reakcji państwa kanadyjskiego na praktyki jego dozoru jądrowego, który zamiast koncentrować się na bezpieczeństwie technologii nuklearnych, mimo ustawowego zakazu zajmuje się również promocją biznesu kanadyjskiego za granicą. Takie państwa jak Polska mają prawo do poważnych wątpliwości, czy w Kanadzie nie zawiera się kompromisów między normami bezpieczeństwa a sukcesem eksportowym. O wiarygodności Kanadyjskiej Komisji Bezpieczeństwa Nuklearnego (CSNC – odpowiednik Państwowej Agencji Atomistyki w Polsce) świadczy bierność państwa kanadyjskiego wobec drastycznego konfliktu interesów jej przewodniczącej, która najpierw poluzowuje procedury licencjonowania reaktora BWRX300, a potem odchodzi do pracy w jednej z firm powiązanej z konsorcjum budującym ten reaktor (polską ciekawostką jest, że firmą, która pod swoje skrzydła przygarnęła byłą przewodniczącą kanadyjskiego dozoru jądrowego, jest Orlen Synthos Green Energy Michała Sołowowa). Certyfikat bezpieczeństwa wydany zmodernizowanej technologii ciężkowodnej, tak samo jak reaktorowi BWRX-300, nie powinien być dla Państwowej Agencji Atomistyki miarodajną oceną. Tylko „utopienie" przez rząd Kanady znaczących funduszy publicznych w zmodernizowanych reaktorach ciężkowodnych na swoim terytorium, a nie jako wspomaganie eksportu, może być dla Polski testem na ich jakość.

Dodatkowo niejasna relacja AtkinsRéalis z Michałem Sołowowem, który promuje konkurencyjne reaktory BWRX300, rodzi pytania o konflikt interesów. Otóż AtkinsRéalis jest kluczowym podwykonawcą OSGE w projekcie małych reaktorów. Rangę tych relacji podkreśla uświetnienie swoją osobą uroczystości podpisania umowy AtkinsRéalis z OSGE przez Wojciecha Wrochnę, sekretarza stanu w Ministerstwie Energii, odpowiedzialnego za energetykę jądrową. Blisko rok po otwarciu postępowania na wybór technologii dla drugiej elektrowni OSGE zgłosiło swoją ofertę wybudowania sześciu–ośmiu reaktorów BWRX-300, zamiast dwóch–trzech reaktorów wielkoskalowych. To koncepcja tak „egzotyczna", że budzi wątpliwości, czy nie jest pozorna. Zgłaszanie przez oferentów w jednym postępowaniu drugiej oferty „pod przykryciem" przez podmiot powiązany jest jedną z taktyk negocjacyjnych, które prawo uznaje za stosowanie nieuczciwej konkurencji. AtkinsRéalis występowałby w tym postępowaniu w podwójnej roli – jako oferent oraz kluczowy podwykonawca drugiego oferenta. Nie daję wiary, by Kanadyjczycy nie rozmawiali z Michałem Sołowowem lub jego ludźmi o tym splocie okoliczności.

Ponadto wybór innej technologii niż wodno-ciśnieniowa oznaczać będzie, że Polska, która ma od kilkunastu lat kłopoty z budową pierwszej elektrowni, rozpraszać będzie swoje zasoby na dwóch różnych kierunkach. Nawet takie mocarstwo atomowe jak Francja ograniczyło się w cywilnej energetyce jądrowej do jednej technologii, a państwa, które zdecydowały się na więcej, takie jak Szwecja, Hiszpania czy Finlandia, dyskutują, czy to nie był błąd. Rosją, Chinami czy Japonią, które operują dwoma lub trzema technologiami, Polska jeszcze nie jest.

Nie jest nawet Kanadą. W „Globe and Mail", jednej z głównych gazet kanadyjskich, w marcu br. ukazał się na ten temat

eprasa.pl d22c75f697

artykuł, którego pierwszy akapit wart jest zacytowania w całości, ponieważ z kanadyjskiej perspektywy stawia podobne znaki zapytania: „W przemyśle jądrowym panuje niemal dogmat: Kanada nie jest wystarczająco zaludniona ani bogata, by pozwolić sobie na zakup szeregu różnych reaktorów jądrowych. Jednak po latach niespiesznych wysiłków […], by osiągnąć konsensus co do wyboru technologii, niewiele wskazuje na to, że taki konsensus się zbliża". Dlaczego więc Kanada namawia Polskę do podjęcia decyzji, do której sama nie dojrzała?

Może jednak korzyści z wyboru kanadyjskiej oferty będą warte podjęcia takiego ryzyka? Zwłaszcza korzyści długofalowe, co uzasadniałoby odłożenie decyzji o wyborze technologii dla drugiej elektrowni, aż oferta kanadyjska dojrzeje. Nie można bowiem wykluczyć, że po wyborze technologii dalsze prace staną, jak to już bywało w historii polskiej energetyki jądrowej po 1989 r. Może korzystniej byłoby ten czas oddać Kanadyjczykom i na nich zaczekać, by wyrównała się dojrzałość ofert głównych dostawców? Takie decyzje dotyczące perspektywy dłuższej niż jedna kadencja czy dwie muszą być podejmowane na zasadzie konsensusu między obozami politycznymi. Dziś w Polsce to niemożliwe.

NIE TYLKO KANADA

Technologię ciężkowodną rozwijają nie tylko Kanadyjczycy. Gdy rok temu na łamach „Do Rzeczy" jako pierwszy podniosłem ich zalety dla cywilnej energetyki jądrowej, głos ten był odosobniony. Nawet branżowe media nie dostrzegały opcji kanadyjskiej. Skoro w tym roku, po zaproszeniu przez rząd AtkinsRéalis do złożenia oferty, te same media bezkrytycznie zaczęły wysławiać ten kierunek, pozwolę sobie – oczywiście życząc Kanadyjczykom sukcesu, bo nic tak nie poprawia pozycji negocjacyjnej Polski jak więcej ofert – zaryzykować inną, „niepoważną" koncepcję. Może niektórzy znów się dołączą.

Otóż nie tylko Kanada dysponuje ciężkowodnymi reaktorami jądrowymi. Mają je także Indie. Obecnie funkcjonują tam trzy reaktory IPHWR-700, dalsze trzy są w budowie, a planowanych jest 12 kolejnych. Jest to technologia kanadyjska „naturalizowana" i samodzielnie rozwijana przez Indie, w czym Kanada została wyprzedzona przez swoich niegdysiejszych uczniów. Potencjał Indii w tym obszarze dostrzegła Wielka Brytania, która po brexicie mogła znieść cła i inne bariery na import technologii nuklearnych z Indii. Zarówno USA, jak i Francja – mimo trudności wynikających z nieprzystąpienia przez Indie do Układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej – poczyniły liczne wyjątki dla współpracy z nimi w zakresie cywilnej energetyki jądrowej. Po wyprodukowaniu broni jądrowej Zachód ogłosił wobec Indii sankcje, z których potem szybko i po cichu się wycofywał. Bo kto mocarstwu zabroni? „Rechot Buddy" to adekwatne wolne tłumaczenie nazwy programu nuklearnego Indii, które dały przykład konsekwentnego prowadzenia polityki narodowej wbrew interesom supermocarstw maskowanym ideologią pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego. Czy polskich polityków stać na taką odwagę, by podjąć ryzyko niezależnej drogi?

Niestety, stosunki polsko-indyjskie zakłóciła nieudana wizyta jesienią ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego w Indiach. Z powodu jego wcześniejszej wizyty w Pakistanie i zbliżeniu z rywalem Indii polskiemu ministrowi nie udzielił audiencji ani prezydent, ani premier Indii, co w języku dyplomatycznym jest poważnym wyrażeniem dezaprobaty. Sikorski pozwolił sobie na pouczanie swoich gospodarzy, że w sprawie napaści Rosji na Ukrainę Indie zajmują błędną postawę, a import ropy rosyjskiej jest niewłaściwy (pogląd, który wobec blokady cieśniny Ormuz został szybko sfalsyfikowany). Nie potrafił przyjąć pragmatycznej postawy, na co stać było nawet Ursulę von der Leyen, gdy w imieniu Unii Europejskiej niedawno podpisywała z Indiami traktat handlowy. Dlatego czynienie przez Brukselę wtrętów inwestycjom hinduskim w UE, na co pozwala sobie wobec południowych Koreańczyków, byłoby bardzo trudne.

„FRANCUSKI ŁĄCZNIK"

Niestety, wygląda na to, że Donald Tusk już podjął decyzję o wyborze technologii dla drugiej elektrowni. Tak można odczytać jego wypowiedź o współpracy w zakresie cywilnej energetyki jądrowej w kontekście oferty francuskiego parasola jądrowego dla Polski. Ocena realizmu takiego parasola to temat dla politologów. Tu poprzestańmy na konstatacji, że cenę uiszczamy „z góry", a czy Francja wywiąże się ze swoich zobowiązań jak w 1939 r., dowiemy się może, gdy będzie już za późno. Zwróćmy także uwagę, że ludzie, którzy w przeszłości atakowali ówczesnego sekretarza stanu w KPRM Piotra Naimskiego (zanim nie odwołał go premier Mateusz Morawiecki z powodu wymagań stawianych małym reaktorom modułowym Michała Sołowowa) odpowiedzialnego w gabinecie PiS za wybór oferty Westinghouse i dopiero potem przystąpienie do negocjacji, co miało skutkować niekorzystnymi warunkami kontraktu z powodu braku alternatywnych ofert i co Amerykanie wykorzystali bezwzględnie, dziś jako przedstawiciele obecnego rządu czynią podobnie, tyle że z korzyścią dla francuskiego dostawcy, państwowej firmy EDF. To nie pierwszyzna dla rządu liberalnego w uprzywilejowaniu oferty francuskiej. W 2012 r. rząd Donalda Tuska wydał rozporządzenie wymagające od oferentów zastosowania dwóch osłon reaktora wytrzymujących np. uderzenie dużego samolotu pasażerskiego, zamiast jednej mocniejszej. Które z tych rozwiązań jest skuteczniejsze, powinna wykazać obiektywna ocena ekspertów w ramach konkurencyjnego postępowania, a nie uprzednia decyzja polityczna eliminująca konkurentów, zwłaszcza Amerykanów. Wówczas bowiem tylko jeden oferent dysponował takim rozwiązaniem – właśnie francuski EDF. Ta historia uczy, że polityczne krótkoterminowe preferencje potrafią ważyć więcej niż długofalowe argumenty merytoryczne, a w konsekwencji Polska staje się hetką-pętelką dla mocarstw. Być może nie nadszedł jeszcze czas, by Polska – jak Indie – przestała być uczniem i zaczęła pisać własny podręcznik.

Ludzie, którzy w przeszłości atakowali gabinet PiS za wybór oferty amerykańskiego dostawcy, dziś – jako przedstawiciele obecnego rządu – czynią podobnie, tyle że z korzyścią dla firmy francuskiej

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

Doktryna „ULB” to dzieło nie tylko Jerzego Giedroycia (po prawej), lecz także – a może nawet przede wszystkim – Juliusza Mieroszewskiego (po lewej) FOT.NAC

„Giedroyciowcy” przeciw Giedroyciowi

Filip Memches

Książę z Maisons-Laffitte był chłodno patrzącym na świat realistą. Niewykluczone, że dzisiejsze rojenia ludzi, którzy się powołują na jego koncepcję dotyczącą polskiej polityki wschodniej, uznałby za dawanie upustu szkodliwym fantazjom

Intelektualne dziedzictwo Jerzego Giedroycia funkcjonuje w Polsce niczym eksponat muzealny. Każdy może z myślą polityczną szefa paryskiej „Kultury” zrobić to, co chce. I nie ma znaczenia, czy chodzi o to, żeby ją afirmować czy dezawuować. A książę z Maisons-Laffitte w tej sprawie z oczywistych względów głosu zabrać nie może (zmarł w roku 2000). Warto zatem przypomnieć jego poglądy i zastanowić się nad tym, ile mają one wspólnego z tym, co na ich temat można przeczytać lub usłyszeć dziś, gdy nazwisko redaktora „Kultury” przywołuje się w sporach o polską politykę wschodnią, bo właśnie z nią jest ono często kojarzone.

Koniec zimnej wojny przyniósł zmianę architektury świata. Na gruzach Związku Sowieckiego utworzono państwa, z którymi III Rzeczpospolita miała nawiązać dobrosąsiedzkie relacje. Tym samym mogło się wydawać, że marzenia wielu pokoleń Polaków o agonii rosyjskiego imperializmu stały się rzeczywistością. I właśnie wtedy na politycznych salonach III RP zaczęła królować koncepcja znana jako doktryna Giedroycia. Choć trzeba odnotować, że gdy pierwszy gabinet Donalda Tuska w roku 2007 uruchomił reset stosunków z Kremlem (co nie podobało się w Kijowie), to znalazła się ona w odwrocie, czego ówcześni jej krytycy – jak choćby Bartłomiej Sienkiewicz, wtedy jeszcze komentator i analityk, a nie polityk – woleliby obecnie nie przypominać, bo jednak potem wróciła do ich łask.

Gwoli ścisłości trzeba doprecyzować, że doktryna Giedroycia jest dziełem nie tylko szefa „Kultury”, lecz także – a nawet przede wszystkim – jego bliskiego współpracownika, Juliusza Mieroszewskiego (dlatego jako jej twórców wypada podawać te dwa nazwiska). To właśnie ten emigracyjny publicysta zamieścił w paryskim miesięczniku w roku 1974 tekst „Rosyjski »kompleks polski« i obszar ULB”, uważany za coś w rodzaju manifestu zawierającego zręby programowe przyszłej polskiej polityki wschodniej.

Podstawową tezę Mieroszewskiego można streścić następująco: Polacy powinni uznać polityczną podmiotowość Ukraińców, Litwinów, Białorusinów i oczekiwać takiego rozwoju wydarzeń, który doprowadzi do stopniowego wybicia się tych trzech narodów na niepodległość. Wyodrębnienie się Ukrainy, Litwy, Białorusi jako suwerennych bytów politycznych (stąd skrót nazwy doktryny: „ULB”) sprawi, że rozwiązany zostanie wielowiekowy problem: Rosja bez tych trzech krajów utraci status imperium i przestanie stanowić zagrożenie dla Polski.

WBREW IDEI JAGIELLOŃSKIEJ – JAK DMOWSKI

Czy obecnie ludzie, którzy w polskiej debacie publicznej deklarują się jako „giedroyciowcy” – lub złośliwie są tym mianem określani przez swoich oponentów (zresztą karykaturujących przesłanie z Maisons-Laffitte) – to faktycznie spadkobiercy owej tezy Mieroszewskiego? Można odnieść wrażenie, że w przekonaniu tych osób Giedroyc był głównie kresowym arystokratą (bo urodził się w Mińsku, należał do książęcego rodu z Wielkiego Księstwa Litewskiego). Komuś takiemu zagadnienia polskiej polityki wschodniej spędzały sen z powiek, dlatego że – niczym Adam Mickiewicz 100 lat wcześniej – przebywając na emigracji we Francji, tęsknił za miejscami swojego dzieciństwa, więc żywił sentyment do wschodnich rubieży przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. A wypada zauważyć, że gdy dziś pada termin „doktryna Giedroycia”, to często łączony jest z ideą jagiellońską. Panowanie dynastii Jagiellonów cechowała przecież ekspansja Polski w kierunku wschodnim. Zdaniem „giedroyciowców” była to epoka chwalebna. Roztaczają oni wizję, w której Polacy, Ukraińcy, Litwini, Białorusini – niegdyś zamieszkujący razem Rzeczpospolitą – stanowią polityczną wspólnotę bratnich narodów (choć nieraz bardzo kłócących się – jak to w rodzinie). Miłują

eprasa.pl d22c75f697

one demokrację i wolność, a ich odwiecznym wrogiem są Moskale. Ci nie dość, że się wykazują agresywnością w swoich zakusach terytorialnych, to jeszcze rażą w oczy azjatycką dzikością – jako jedyną metodę sprawowania władzy dopuszczają zamordyzm. I w tym kontekście historycznym – wnioskują „giedroyciowcy” – należy interpretować słuszność obecnego zaangażowania Polski po stronie Ukrainy odpierającej napaść Rosji.

Odwoływaniu się do idei jagiellońskiej towarzyszy z kolei postponowanie tego, co bywa nazywane ideą piastowską. Ziściła się ona w Polsce po drugiej wojnie światowej. Kiedy cały „obszar ULB” znalazł się w granicach ZSRS, Polacy zmuszeni byli z trzema bratnimi narodami się rozstać. Nastąpiło odwrócenie się od Wschodu. W efekcie rządzona z nadania Kremla przez komunistów Polska skarlała. Społeczeństwo polskie stało się jednolite etnicznie i kulturowo. Z Polski wyparował dawny kresowy, romantyczny duch. Wygrał prozaiczny nacjonalizm Romana Dmowskiego (nieżyjącego od roku 1939) w kostiumie realnego socjalizmu. Ów polityk zaś jest dla „giedroyciowców” prawdziwym szwarccharakterem, bo przecież nie dość, że był antagonistą wielokulturowości („rzeczpospolitańskiej”!), to przed pierwszą wojną światową współpracował z caratem (nie dodają jednak tego, że w jego przypadku była to tylko taktyczna gra, której cel stanowiła niepodległość Polski, a sam przywódca Narodowej Demokracji widział w Rosjanach prymitywnych barbarzyńców do ogrania).

Przy czym rzecz jasna „giedroyciowcy” nie twierdzą, że trzeba rewidować granice III RP. Wręcz przeciwnie, przestrzegają przed skutkami, jakie może przynieść ostrzenie apetytów na to, żeby Lwów i Wilno znalazły się znów w Polsce. Mają rację, twierdząc, że rewizjonizmem terytorialnym prowokująco bałamuci pewnych niemądrych polskich polityków Kreml (choćby wysyłając sygnały, że może by tak się Ukrainą podzielić), dlatego że Rosjanie chcą na dłuższą metę uwikłać państwo polskie w kłopoty. O co zatem chodzi „giedroyciowcom” w kwestii obecności Polski na Wschodzie? O ofensywę geopolityczną – w praktyce: wyciąganie „obszaru ULB” z rosyjskiej strefy wpływów na stronę Zachodu.

Tymczasem, kiedy zagłębimy się w doktrynę Giedroycia-Mieroszewskiego, to się okaże, że pod wieloma względami jest ona czymś innym niż to, co głoszą ludzie, którzy się na nią powołują. Wbrew obiegowej opinii nie sugeruje ona, że Polska – w sensie wyboru opcji geopolitycznej – ma ponownie zwrócić się ku Wschodowi. Nie ma mowy o budowie postjagiellońskiego bloku polsko-ukraińsko-litewsko-białoruskiego przeciw Rosji, już pomijając kosmiczny pomysł tworzenia wspólnego federalnego państwa polsko-ukraińskiego, który zaczął w Polsce świtać w gorących głowach niektórych osób (bynajmniej nie postaci anonimowych) po wybuchu pełnoskalowej wojny rosyjsko-ukraińskiej w roku 2022.

Przede wszystkim Giedroyc był chłodno patrzącym na świat realistą. Pod tym względem przypominał – co może zabrzmieć zaskakująco – Dmowskiego. Akceptacja granic Polski po drugiej wojnie światowej była dla niego aksjomatem. Nie ulegał żadnym kresowym sentymentom. Na tym polegała jego wielkość. Niewykluczone, że dzisiejsze postjagiellońskie rojenia „giedroyciowców” uznałby za dawanie upustu szkodliwym fantazjom.

RELIKT NIESPEŁNIONYCH NADZIEI

Mało tego, Giedroyc miał na swoim koncie wypowiedzi, które z dzisiejszej perspektywy mogą się Polakom wydać obrazoburcze. Warto przywołać choćby to, co powiedział on na początku lat 90. Natalii Gorbaniewskiej, rosyjskiej dysydentce czasów sowieckich, tłumaczce literatury polskiej. Przeprowadziła ona wywiad z Giedroyciem, opublikowany w roku 1991 w redagowanym, tak jak „Kultura” we Francji, rosyjskim kwartalniku „Kontinient”.

Rozmówca Gorbaniewskiej nie krył swojej fascynacji literaturą rosyjską. Wyznał, że z uwagi na swoje zainteresowania więcej czyta książek po rosyjsku niż po polsku. To jednak jeszcze nic w porównaniu z tym, co padło w innym wątku wywiadu. Otóż Giedroyc oznajmił, że rusyfikacja Białorusi zaszła tak daleko, że należałoby się zastanowić, czy nie za późno jest na niepodległość tego kraju. A co do Ukrainy stwierdził, że w jej zrusyfikowanych regionach trzeba plebiscytowo zapytać ich mieszkańców, w skład którego państwa mają one wejść. Brał zatem pod uwagę to, że terytorialny stan posiadania Rosji może się okazać dużo większy, niż był w momencie rozpadu Związku Sowieckiego.

Natomiast co do Mieroszewskiego to w tekście „Rosyjski »kompleks polski« i obszar ULB” mocno on podkreślał, że historia nie może warunkować teraźniejszości i przyszłości. Dlatego postulował, żeby Polacy na nowo ułożyli swoje relacje ze wschodnimi sąsiadami. Znamienne, że w nowym układzie sił nieimperialistyczne miały być zarówno Rosja, jak i Polska. Mieroszewski bowiem nie upiększał epoki panowania Jagiellonów. Wskazywał, że narody „obszaru ULB” żywią rozmaite urazy wobec Polaków jako tych, którzy prowadzili na Wschodzie politykę podbojów. Tyle że mieli oni dla rdzennej ludności ziem ruskich ofertę cywilizacyjną, której Rosji zabrakło. Tak więc Rosjanie czują się pod tym względem wobec Polaków gorsi. Stąd tytułowy „rosyjski »kompleks polski«”. Niemniej jednocześnie Mieroszewski przyznawał, że nie da się zaprzeczyć, iż fizycznie rywalizację o „obszar ULB” wygrała Rosja i Polacy powinni się z tym werdyktem dziejów pogodzić.

W trzeciej dekadzie XXI w. trzeba jednak patrzeć na świat inaczej, niż to było w okresie zimnej wojny i tuż po niej. Doktryna Giedroycia-Mieroszewskiego jest reliktem nadziei żywionych przez polską emigrację antykomunistyczną na to, że Rosja się zliberalizuje i zdemokratyzuje, a co za tym idzie – wyrzeknie się ambicji imperialnych. Tak się oczywiście nie stało. Przemianom w Rosji kierunek nadało postsowieckie deep state, a nie zapatrzona w Zachód pięknoduchowska inteligencja.

Niemniej ważny jest aspekt, w którym to, co intelektualnie zostało po Giedroyciu i Mieroszewskim, zachowuje wartość. Chodzi o trzeźwą ocenę sytuacji Polski w stosunkach z „obszarem ULB”. Państwo polskie nie powinno się znów zapędzać w imię historycznych sentymentów i szczytnych mrzonek na dawne ziemie ruskie. W tej sprawie – wbrew temu, co uważają i „giedroyciowcy”, i ich oponenci (to zresztą jednych z drugimi łączy) – doktryna Giedroycia-Mieroszewskiego koresponduje z ideą piastowską oraz koncepcją Dmowskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

Leon XIV to kontynuacja

Paweł Chmielewski

Narastają problemy z papieżem Leonem XIV. Ojciec Święty wydaje się o wiele bardziej zachowawczy i tradycyjny niż jego poprzednik, ale nie przekłada się to wcale na kluczowe zagadnienia doktrynalne

FOT. VATICAN MEDIA/ZUMA PRESS/FORUM

W pierwszych miesiącach swojego pontyfikatu Leon XIV wzbudzał sporą sensację takimi działaniami jak pobłogosławienie bryły lodu, wpuszczenie do Watykanu pielgrzymów LGBT czy ogłoszenie dokumentu o tytułach dla Matki Bożej, odrzucającego tytuł „Współodkupicielki". Nie były to jednak jego decyzje. Chodziło o wydarzenia zaplanowane znacznie wcześniej. Wielu dziennikarzy tłumaczyło papieża, przekonując, że chce odciąć się od dziedzictwa papieża Franciszka, tylko nie miał po temu jeszcze możliwości. Dlatego, ich zdaniem, jeżeli czegoś u Leona brakuje, to jedynie decyzyjności, która miałaby przyjść z czasem. Rzecz w tym, że czas mija, a decyzji tego rodzaju po prostu nie ma. Wprost przeciwnie, zapadają dokładnie odwrotne, a dodatkowo na jaw wychodzą fakty, które jeszcze silniej plasują Leona w zgodności z Franciszkiem.

W połowie marca wielkie zdziwienie internautów na całym świecie wywołała publikacja archiwalnych zdjęć Roberta Prevosta związanych z jego posługą w Ameryce Południowej. W 1995 r. augustianin uczestniczył w sympozjum dotyczącym myśli ojców Kościoła w Brazylii. Jak to w tym regionie, rzecz dotyczyła m.in. ekologii oraz podejścia do rdzennych kultur indiańskich. Na fotografiach widać ludzi zgromadzonych w jakimś ogrodzie. Klęczą na ziemi, jest wśród nich o. Prevost. W centrum znajduje się grupa Indian, którzy wykonują jakieś niesprecyzowane gesty. Pod zdjęciem widnieje napis: „Celebracja rytu Pachamamy (matki ziemi), który jest rytem rolnym praktykowanym w kulturze Andów Południowych w Peru i Boliwii". Trudno po tylu latach ocenić w pełni kontekst tego wydarzenia. Z pewną dozą dobrej woli możemy założyć, że Prevost był tylko biernym uczestnikiem lokalnych zwyczajów, które zakładały próby włączania elementów indiańskiej tradycji w kult katolicki: ot, pojawił się na konferencji i robił po prostu to, co wszyscy, uznając, że tak trzeba.

Nie usuwa to jednak zasadniczego problemu, to znaczy pogańskich konotacji kultu matki ziemi. Do dzisiaj zdarza się, że Pachamamie, rozumianej jako demoniczna bogini ziemi, składa się ofiary z ludzi… Udział o. Prevosta w „rycie Pachamamy" może znamionować jego niefrasobliwość w kwestii dialogu międzyreligijnego, która była immanentną cechą papieża Franciszka. Wszyscy pamiętamy obnoszenie figurek Pachamamy ulicami Rzymu w 2019 r. W przypadku Jorge Maria Bergoglia ta pobłażliwość wobec indiańskich kultów wiązała się też z ogólnym liberalnym stanowiskiem względem religii niekatolickich. Franciszek twierdził nawet, że mogą prowadzić do Boga. Leon na razie nie wygłosił takich dziwacznych tez, ale z drugiej strony nigdy ich nie

eprasa.pl d22c75f697

potępił, a podczas pielgrzymki na Bliski Wschód wychwalał modlitwy, które płyną od muzułmanów w kierunku nieba…

„PROMIENNE PRZESŁANIE NADZIEI"

To jednak nie Pachamama jest najtrudniejszym elementem dziedzictwa Franciszka, które odżywa za Leona XIV. Za taki należy uznać raczej adhortację „Amoris laetitia" z 2016 r. 19 marca tego roku minęło 10 lat od jej publikacji. Papież z Argentyny zasugerował tam nową dyscyplinę sakramentalną wobec osób w powtórnych związkach, zgadzając się, by w niektórych przypadkach Komunię Świętą otrzymywali nawet ci, którzy prowadzą życie intymne poza małżeństwem. Podbudował to ekstrawagancką nauką na temat roli ludzkiego sumienia, która w ocenie wielu teologów jest wprost sprzeczna z tym, czego na ten sam temat nauczał jeszcze Jan Paweł II, idąc zresztą za wcześniejszą tradycją. Duża grupa kardynałów i biskupów prosiła Franciszka o to, by wyjaśnił albo po prostu wycofał „Amoris laetitia". Po jego śmierci formułowano nadzieje, że na taki krok zdecyduje się nowy papież. Leon XIV rzeczywiście postanowił odnieść się do tematu, ale sposób, w jaki to zrobił, wskazuje na zdecydowaną chęć utrzymania linii Jorge Maria Bergoglia.

19 marca 2026 r. papież Prevost opublikował przesłanie z okazji 10-lecia adhortacji swojego poprzednika. Już w pierwszym zdaniu określił ją mianem „promiennego przesłania nadziei" na temat „miłości małżeńskiej i rodzinnej". Według Leona XIV w tym dokumencie Franciszek dał Kościołowi impuls do „nawrócenia duszpasterskiego". Ojciec Święty poprosił też Pana Boga o „odwagę, aby kontynuować tę drogę".

W tych słowach zawiera się tak naprawdę wszystko, co istotne. Franciszek napisał „Amoris laetitia" pod dyktando kard. Waltera Kaspera, jednego z najważniejszych przedstawicieli niemieckiej teologii moralnej wieków XX i XXI. Kasper, idąc za tradycją teologów z Tybingi, zainspirowanych z kolei filozofią idealistyczną, uczy o nowej, dynamicznej roli ludzkiego sumienia. W zgodzie z tym ujęciem możliwe staje się „omijanie" niektórych reguł wynikających z prawa Bożego. W praktyce chodzi o takie sprawy jak Komunia dla rozwodników, Komunia dla protestantów, antykoncepcja, związki jednopłciowe czy nawet obowiązek niedzielny. To, co wcześniej uznawano w Kościele za obiektywny grzech wykluczający od Komunii Świętej, teraz staje się potencjalnie dopuszczalne, zależnie od okoliczności. Za pontyfikatu Franciszka określano tę zmianę właśnie jako „nawrócenie duszpasterskie". Skoro Leon XIV użył tej frazy i ogłosił, że Kościołowi jest potrzebna „odwaga" do kontynuowania linii papieża z Argentyny, to nie można mieć już wątpliwości: nowy papież nie chce rewidować „Amoris laetitia". Podkreśla to jeszcze fakt, że Leon w swoim przesłaniu odwołał się również do VIII rozdziału adhortacji Franciszka, dokładnie tego, w którym zawarte zostały kluczowe zmiany…

Co więcej, wiele wskazuje na to, że papież chce podjąć próbę „domknięcia" rewolucji duszpasterskiej Franciszka, zobowiązując Kościół na całym świecie do wdrożenia w życie rozwiązań Waltera Kaspera. Na październik 2026 r. papież postanowił zwołać do Rzymu przewodniczących konferencji episkopatów z całego świata. Jak stwierdził, chce „dokonać synodalnego rozeznania kroków, które należy uczynić, aby głosić dzisiaj Ewangelię rodzinom, w świetle »Amoris laetitia«". We wrześniu 2023 r. obecny prefekt Dykasterii Nauki Wiary, kard. Victor Manuel Fernández, wysłał list do byłego prymasa Czech, kard. Dominika Duki. Stwierdził, że cały Kościół powinien przyjąć idee Franciszka. Jak dotąd tak się nie stało i być może Leon XIV chce to zmienić. To oznaczałoby, że również w Polsce duszpasterstwo rodzin ulegnie głębokiej zmianie, znacząco przybliżając się do modelu, który funkcjonuje choćby w Niemczech. Na spotkaniu w Rzymie Polskę będzie reprezentować arcybiskup Gdańska, Tadeusz Wojda. Zobaczymy, z czym pojedzie – i z czym wróci.

REWOLUCJA W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH

Kiedy Robert Prevost został wybrany na papieża, napisałem w mediach społecznościowych, że oznacza to moim zdaniem kontynuację rewolucji Franciszka – tyle że w białych rękawiczkach. Wydaje się, że europejscy liberałowie po roku rządów Leona XIV są podobnego zdania; uważają, że mają duże możliwości działania. Pod koniec marca jasno dał to do zrozumienia biskup belgijskiej Antwerpii, Johan Bonny. To zdecydowany progresista, przyjaciel niemieckiej „drogi synodalnej", człowiek przekonany o specyfice katolicyzmu „germańskiego" (jak sam się wyraża). Biskup ogłosił, że zamierza wyświęcić na księży… żonatych mężczyzn. W specjalnym komunikacie do diecezjan poinformował, że rozpoczyna już przygotowania, które dotyczą m.in. odpowiedniego teologicznego wykształcenia kandydatów. Zamierza też wysłać stosowne pisma do Konferencji Episkopatu Belgii oraz do Stolicy Apostolskiej, tłumacząc swój krok. Biskup Bonny chciał wyświęcać żonatych już wiele lat temu, zwłaszcza w okolicach Synodu Amazońskiego z 2019 r., kiedy ten temat żywo dyskutowano. Papież Franciszek nie dał takiej możliwości i progresiści musieli się z tym pogodzić. Bonny uznał najwyraźniej, że za pontyfikatu Leona XIV nie ma się czego obawiać. Chociaż jego zapowiedzi brzmią szokująco i ocierają się o deklarację schizmy, to niewykluczone, że Belg wie, co robi. To właśnie on w 2022 r. był głównym mózgiem operacji wprowadzenia w części swojego kraju błogosławieństw par tej samej płci, całkowicie wbrew nauce Kościoła. Franciszek nie tylko przyjął to milczeniem, lecz także rok później wydał jeszcze własne wytyczne (deklaracja „Fiducia supplicans"), które pozwoliły rewolucyjnym Belgom na ugruntowanie swoich zdobyczy osiągniętych metodą faktów dokonanych.

Na podstawie rzetelnej obserwacji rzeczywistości trudno o inny wniosek: Leon XIV kontynuuje dzieło Franciszka. Tak naprawdę odszedł jedynie od tego, co było za Bergoglia „osobistą" ekstrawagancją, wynikającą ze szczególnych cech charakteru czy kultury latynoamerykańskiej. W sprawie najgłębszych przekonań teologicznych nie widać istotnej różnicy. Franciszek ogłosił kiedyś, że nie potrzebujemy wcale „nowego" Kościoła, ale „innego" – już tak. Projekt zasadniczej przebudowy katolicyzmu ewidentnie nie zakończył się wraz z jego pontyfikatem.

Pozostaje zatem skupić się na studiowaniu tradycyjnej doktryny oraz pielęgnowaniu zdrowej i czystej liturgii, żywiąc nadzieję, że niebezpieczne uwikłanie katolicyzmu w liberalną ideologię naszych czasów prędzej czy później ustanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl d22c75f697

Bękarci judaizmu

Barbara Stanisławczyk

Po Rosji krążyły tysiące „apostołów" herezji; ludzi dobrze do swego zadania przygotowanych i wykształconych. Byli wśród nich duchowni i lekarze. Z sekt rekrutowały się hordy bezwzględnych rewolucjonistów. Wystarczyło ich uruchomić, by zawrzała rewolucja

Turańszczyzna, która naznaczyła kulturę rosyjską „dwojewierjem", zaowocowała jeszcze innym, bliźniaczym mu zjawiskiem – kultem jurodiwych („świętych szaleńców"), mającym swe źródła w pogańskich zwyczajach szamanów. Jurodiwi w istocie przypominali szamanów, zarówno w sposobie ubierania się, jak i zachowania […]. Żywiołem jurodiwych były targowiska i różne zgromadzenia, gdzie krzyczeli, płakali, prowokowali, znęcając się nad przechodniami, rzucali klątwy i przepowiadali przyszłość. Bełkotali, dlatego potrzebowali „tłumaczy" […]. Przewodników, którzy z chorych psychicznie, nierozgarniętych ludzi czynili ich prorokami, świętymi i duchowymi przywódcami wszystkich klas społecznych, w tym najwyższych […].

Równolegle z wyłanianiem się i umacnianiem Wielkiego Księstwa Moskiewskiego (wieki XIII–XV) następuje zasadnicza zmiana semantyczna słowa „jurodiwy/jurodstwo". W Latopisie pochodzącym z XVI w., opisującym życie słynnego jurodiwego Wasilija Błażennego, pojawia się powiązanie „jurodiwy z Christa radi", które to połączenie traktuje się już jako oczywiste […]. Zbiega się to w czasie z okresem wielkiej rewolucji w chrześcijańskim świecie – reformacji i renesansu oraz towarzyszącej im popularności gnostycyzmu w różnych jego odmianach: neoplatonizmu, kabały, także w jej wersji „chrześcijańskiej" [Różokrzyż] i związanych z nimi magii, astrologii, ezoteryzmu, wróżbiarstwa.

ELITARNY SPIRYTUALIZM

Od tego czasu w Rosji możemy mówić o wielkim wpływie jurodiwych oraz praktyk okultystycznych nie tylko na rosyjskie społeczeństwo, ale także na carów i rosyjskie elity […]. W pierwszej połowie XIX w. kult „jurodiwych" jeszcze się umocnił w związku z modą na mistycyzm i spirytualizm, która zapanowała wśród elit Petersburga. „Juridiwych" zapraszano na salony, których bywalcy lubili patrzeć na ich ekstatyczne tańce i słuchać proroctw w sprawach prywatnych i publicznych.

Mimo że praktyki te zostały w końcu potępione przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną, to w XIX w. nastąpił prawdziwy rozkwit tego fenomenu. Świętych szaleńców zaczęto utożsamiać z tym, co najlepsze w rosyjskiej tradycji, a ich postępowanie oraz reprezentowana przez nich hierarchia wartości wywierały dogłębny wpływ na rosyjską

eprasa.pl d22c75f697

„Głupi dla Boga siedzący na śniegu", obraz Wasilija Surikowa (1885) FOT. DOMENA PUBLICZNA

świadomość narodową [...]. Tak jak samo określenie „święty szaleniec" jest oksymoronem, tak sprzeczne są z gruntu zasady rządzące tym fenomenem, które tłumaczono „za pomocą paradoksów i błędów formalnych wnioskowania", nie dbając o logikę wywodu. Tym niemniej „święci szaleńcy" stali się wyznacznikami tzw. tradycji rosyjskiej, z ich kodeksem binarnych przeciwieństw: mądrość-głupota, czystość-nieczystość, tradycja-wykorzenienie, łagodność-agresja, cześć-szyderstwo. Oznaczała ona akceptację skrajnych zachowań i tłumaczenie ich metodą manichejskich przeciwieństw; zła za pomocą dobra, mądrości upośledzeniem, szacunku dla tradycji pogardą dla niej, czystości i pokory amoralnością i cielesną rozpustą oraz agresywnością, honorowanie szyderstwem. Ewa Thompson twierdzi, że wchłonięcie przez rosyjskie życie intelektualne dialektycznych przeciwieństw, będących nieodłącznym elementem „świętego szaleństwa", utorowało drogę stosunkowo łatwemu przyjęciu marksistowskiej dialektyki przed rewolucją bolszewicką, jak i w Rosji sowieckiej. Kult „świętych szaleńców" trwał praktycznie nieprzerwanie aż do rewolucji październikowej, znacznie się do niej zresztą przyczyniając.

Kariera Rasputina dobitnie pokazuje, jak silna była wiara w nadprzyrodzone moce „świętych szaleńców" i jak wielkie były ich wpływy wśród najpotężniejszych przedstawicieli XIX- i XX-wiecznego społeczeństwa rosyjskiego. „Ten fałszywy mnich jest najsławniejszym przedstawicielem »jurodstwa« ostatnich wieków". Rasputin, podejrzewany o przynależność do sekty chłystów, wśród których „jurodiwi" byli szczególnie liczną grupą, zdołał jednak odwieść władze od rzucenia na niego tego oskarżenia. Nie było to z pewnością zbyt trudne, zważywszy na względy, którymi cieszył się na dworze carskim, i wśród rosyjskich elit. Z łatwością pozyskiwał przychylność księży, biskupów, generałów i dam carskiego dworu [...]. „W chwilach największej śmiałości [Rasputin] sugerował, że łączy go intymna relacja z żoną cara, Aleksandrą". Właśnie poprzez Aleksandrę uzyskał decydujący wpływ na obsadzanie stanowisk w rosyjskim rządzie w czasie nieobecności cara Mikołaja w Piotrogrodzie w 1915 r., jak

eprasa.pl d22c75f697

też na samą decyzję wyjazdu i de facto rezygnacji z kierowania państwem. „Nieoficjalnie oskarżano wpływową dworską koterię, kierowaną przez carową i Rasputina, o świadome ułatwienie wrogowi najazdu na terytorium kraju”.

Ewa Thompson wysunęła tezę, że „powszechna akceptacja dla »świętego szaleństwa« w życiu społecznym Rosji odcisnęła niezatarty ślad na rosyjskim rozumieniu priorytetów społecznych, moralności i niemoralności, świętości i grzechu, mądrości i głupoty, patriotyzmu i obojętności na dobro wspólne”. Już od czasów Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, ukształtowanego na turańszczyźnie, gusła, czary i magia „należały do żywotnych elementów wspólnotowego życia”; władcy wręcz zachęcali do ich praktykowania. W XIX w. „jurodstwo”, według Aristowa, było promowane i wspierane raczej przez wykształcone warstwy niż przez chłopstwo. Wykształceni poddani zaś byli wpływom zachodniego romantyzmu, a pod koniec XIX w. neoromantyzmu (modernizmu), z ich skłonnością do mistycyzmu i okultystycznych praktyk. „Jurodstwo” przetrwało i rozkwitło nie dlatego, że stanowiło ono starodawną formę rosyjskiej religijności, lecz ponieważ oferowało drogę na skróty do tego, co nadprzyrodzone. W książce „Rosyjska pobożność” Nikołaj Arsienjew stwierdził, że przed rewolucją październikową „duchowe postawy wykształconych Rosjan cechowały się religijną histerią […], mieszanką pogaństwa i najświętszych chrześcijańskich misteriów, ekstazą, rozmyślnym szałem”.

KODEKS ŚWIĘTEGO SZALEŃCA

[…] Kodeks świętego szaleńca przypomina „bluźniercze błogosławieństwo” zrewolucjonizowanych sabatajczyków – „Bądź pochwalon, Boże, który zezwalasz na to, co zakazane”. Szaleńczy trans połączony z elementami magii lub nawet przeniknięty magią jest istotą kabalistycznej mistyki modlitewnej, której źródła – jak wskazuje Gershom Scholem – sięgają Babilonii (Aarona z Bagdadu), skąd poprzez Włochy przybyła do Niemiec i wypełniła niemiecki chasydyzm Jehudy Chasyda. Druga droga wiodła do Chazarii, skąd powędrowała dalej na Ruś i do Moskwy, odnajdując się w licznych mistycznych sektach, z których wywodzili się „święci szaleńcy”. W szaleńcze transy wpadał Sabataj Cwi, człowiek chory psychicznie, jednak uznany za mesjasza. „W stanach iluminacji był on żywym pierwowzorem paradoksu »świętego grzesznika«. Jest całkiem możliwe, że – choć sam nie potrafiłby tego jasno wyrazić – w stanach podniecenia miał przed oczami akty »tikun« polegające na naruszaniu prawa. To właśnie, nie co innego, jest oryginalnym dziedzictwem, jakie pozostawił ruchowi [sabataizmowi]”. I on także potrzebował „tłumacza” swych dziwnych zachowań, którym był Nathan z Gazy. Jak twierdzi P. Maciejko – „podobno Heszel Coref, uznawany przez zwolenników za człowieka wyjątkowej mądrości, a przez przeciwników za półanalfabetę (albo po prostu analfabetę) i prostaka, także wpadał w trans – w bardzo podobny sposób jak 100 lat później Frank i Wolf (Eibeschutz) – pozwalający mu wyjawić najgłębszą tajemnicę »Zoharu«, której inaczej nie mógłby poznać i zrozumieć”. „Uświęcone zło” znalazło w Rosji otwartą drogę dla mesjańskiego „tikkun olam”.

Rewolucja tliła się podskórnie. Wszystkie rosyjskie sekty, od początku ich istnienia, miały rewolucyjny charakter: antychrześcijański, antyustrojowy i egalitarny. Schlebiały biedocie, przygarniały i wykorzystywały margines społeczny, zbiegłych chłopów, dezerterów wojennych, zbrodniarzy. Na przykład Szałapuci, uznawali tylko pracę fizyczną, odrzucali handel i w ogóle finanse; byli w większości rolnikami. Ziemia, jako własność Boga, należała do całej wspólnoty (kolonii). Wspólne były także narzędzia, służące do jej uprawy, a nawet zwierzęta. Wszystko poza przedmiotami osobistego użytku. Między podwórzami nie było płotów; w domach mieszkały po dwie, trzy rodziny. Kolonia była „stowarzyszeniem ekonomicznym”, jednym wielkim, wspólnie prowadzonym gospodarstwem. Ta wspólność wszystkiego dochodzi aż do wspólności żon. Zresztą tradycyjnych małżeństw nie zawierali. Ciemny lud prawosławny chętnie podążał za pozorami „bogobojności” sekciarzy.

Najłatwiej i najliczniej sekty przyjęły się i rozpowszechniły na Syberii, Ukrainie i w Noworosji; „wypłynęło to stąd, iż w prowincjach tych więcej stosunkowo niż w innych znalazło się ludzi wykolejonych, do fortecy bowiem Azowskiej z całej Rosji wysyłano przestępców, a na Ukrainę oni sami uciekali”. Syberia zawsze była matecznikiem sekciarstwa ze względu na szamańską tradycję zamieszkujących tam ludów, a także na fakt, że na Syberię byli zsyłani przywódcy i członkowie tępionych przez władze religijnych odszczepieńców.

GOTOWI NA ŚMIERĆ

Po Rosji krążyły tysiące „apostołów” herezji; ludzi dobrze do swego zadania przygotowanych i wykształconych. Byli wśród nich duchowni i lekarze. „[…] nie brak ich i w Królestwie Polskim, na rozmaitych stanowiskach, i często ten, kogo uważamy za prawosławnego, z prawosławiem nic wspólnego nie ma, owszem, jest jawnym lub ukrytym wrogiem tego wyznania”. Wielu nie wahało się pójść na męczeńską śmierć. Mesjanizm wymagał ofiar, ale dzięki temu tworzył kult i przyciągał rzesze wyznawców. W połączeniu z głoszonym egalitaryzmem tworzył zaczątki komunizmu.

Ostatni spis ludności w Rosji przed 1910 r. wykazał w całym państwie rosyjskim 2 137 738 sekciarzy. Badacz tego zjawiska, A.S. Prugawin, stwierdził jednak, iż jest to liczba mocno niedoszacowana, i ocenił ją na ok. 20 mln. Wśród nich ok. 300 tys. skopców, których kastracja przemieniła w armię bestii.

Z sekt rekrutowały się hordy bezwzględnych rewolucjonistów. Wystarczyło ich uruchomić, by zawrzała rewolucja. Zwłaszcza że sprzyjały im rosyjskie elity kulturalne. Uwzględnienie sekciarskich wierzeń w badaniach dziejów Rosji umożliwia zrozumienie przebiegu rosyjskiej rewolucji, wojny domowej, terroru bolszewickiego i losu Rosjan. W zeświecczonej formie stają się one „apokaliptycznymi aktami zeświecczonej eschatologii gnostyckiej”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem książki „Bękarci Judaizmu. Dzieje rewolucji gnostyckiej” Barbary Stanisławczyk (wyd. Wektory, 2025). Śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl d22c75f697

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zmiany nazwisk

Jak to ze zmianą nazwisk było zaraz po wojnie? Czy żydowscy obywatele Polski Ludowej robili to ze strachu przed „polskim antysemityzmem" czy też sprawa miała drugie dno, zaczęła się wcześniej i była czymś innym spowodowana? Kto szuka, nie błądzi – mówi stare porzekadło. Warto zatem uważniej szukać i samodzielnie wyciągać wnioski.

Oto wspomnienia Ester Rozental-Szneiderman, opublikowane w 1979 r. w paryskich „Zeszytach Historycznych" (nr 49). Przybyła ona potajemnie do Moskwy w 1926 r. na polecenie Komunistycznej Partii Polski na szkolenie polityczno-ideologiczne (i nie tylko takie) Kominternu.

Na początku otrzymała propozycję wyboru polskiego imienia i nazwiska: „Wybierzcie sobie słowiańskie, dobrze brzmiące". Autorka wspomnień podobno odmówiła zmiany tożsamości, ale inni komuniści, przybyli wraz z nią, skwapliwie skorzystali z kuszącej oferty: „Mało kto z moich nowo przybyłych towarzyszy oparł się tej pokusie. Lea Kantorowicz przeobraziła się w Jelenę Kamińską; jej mąż Icchak Gordon – w Aleksandra Lenowicza; Nechama i Józef Feigenbaum stali się Natalią i Osipem Krawczyńskimi; Chana Milsztajn jest tu Hanną Turską; Motke Hajman to teraz Mikołaj Wojnarowicz; z jednego Rapaporta zrodził się Krawiecki, z drugiego, częstochowskiego – Józef Karpiński itd., itp.". Czyli akcja miała podłoże wyłącznie ideologiczne i polityczne.

Przybyli do Moskwy komuniści mieli – mimo że byli ateistami – stosunek do instytucji sowieckich wprost nabożny, co nawet po kilkudziesięciu latach bije z takich wspomnień. Autorka rozmarzyła się: „Któż może pojąć i opisać święty dreszcz, jaki mnie przejął, gdy weszłam do gmachu Kominternu, znajdującego się nieopodal Kremla... Wątpię, czy młody czytelnik naszych czasów potrafi sobie to uprzytomnić".

Proceder ten okazał się bardzo przydatny, na nieporównanie wielką skalę, po 1944 r., gdy tak bardzo potrzebni byli „pełniący obowiązki Polaków" towarzysze innego pochodzenia. Dziś jest to tłumaczone strachem i obawami o zdrowie, a nawet życie, żeby zacierać za sobą ślady, choć tak naprawdę nic im nie groziło. Konieczne jest bowiem wyrobienie przekonania, że przyczyną był wyłącznie strach. Otóż tak nie było.

Typowe podanie funkcjonariusza UB z Siedlec, który chce wydajniej pracować „na gruncie polskim" nie pod swoim nazwiskiem. Emmanuel Alberg proponuje, że będzie… Janem Karpińskim: „Ze względu na bardziej wydajną pracę chciałbym pracować nie pod mym właściwym nazwiskiem, lecz pod przybranym jako Jan Karpiński". I całą narrację, że to wszystko ze strachu przed Polakami, diabli wzięli, bo to Polacy się ich bali. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Skroplenie azotu

Znakomity fizyk, Zygmunt Wróblewski, miał w życiorysie chwalebny epizod patriotyczny. Jako student Uniwersytetu w Kijowie przyłączył się do powstania styczniowego, za co zapłacił kilkuletnim zesłaniem na Syberię. Karczowanie lasów w okolicach Tomska spowodowało pogłębienie jego wady wzroku, groziła mu nawet całkowita ślepota.

Zwolniony na mocy amnestii studiował w Berlinie, następnie pracował w laboratorium w Monachium. Po uzyskaniu doktoratu, a później habilitacji, osiadł w Krakowie. Poświęcił się wówczas całkowicie nauce, nie angażując się już więcej w politykę. Pod Wawelem objął katedrę fizyki, a wraz z Karolem Olszewskim stworzył znakomity duet naukowy. 13 kwietnia 1883 r. jako pierwsi na świecie dokonali skroplenia azotu, ale niebawem do głosu doszły ambicje osobiste i panowie zaprzestali współpracy. Duży wpływ na to miało środowisko Krakowa, dla którego Wróblewski był przybyszem z zagranicy (urodził się w Grodnie, a obywatelstwo miał pruskie) i popierano pochodzącego z Galicji Olszewskiego.

Wróblewski nie zwracał jednak uwagi na krytyków, tym bardziej że jego obsesją stało się przekształcenie podległej mu katedry w czołowe światowe laboratorium. Poświęcał temu niemal każdą wolną chwilę, jednak ze względu na ograniczenia finansowe droga do osiągnięcia celu nie była najłatwiejsza. Nic zatem dziwnego, że narzekał na „zaściankowość" Krakowa, twierdząc, że miejscowe środowisko naukowe jest zbyt prowincjonalne i mieszczańskie, a na dodatek nie toleruje nowatorskich pomysłów. Dlatego też coraz większą wagę przykładał do kontaktów naukowych w Wiedniu i w Paryżu.

Został jednak wybrany na dziekana Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego (katedra fizyki była jego częścią). Chociaż kadra naukowa za nim nie przepadała, to uznawano go jednak za wybitnego naukowca, a studenci tłumnie odwiedzali jego wykłady. „Już na dłuższy czas przed godziną 10 przed południem – wspominał lekarz Leon Wachholz – gromadziły się w dziedzińcu, w sieni i na schodach wiodących do zakładu fizycznego zastępy słuchaczy żądnych zająć jak najlepsze miejsce w sali. Wróblewski wykładał z pamięci, nie posługując się nigdy choćby drobnym zapiskiem, a każdy ważniejszy szczegół objaśniał eksperymentem, trafnym przykładem lub obrazem […]. Zręczność jego i biegłość w eksperymentowaniu budziły podziw u widzów, a w twarzy jego radosne zadowolenie".

W maju 1887 r. oddano do użytku budynek Collegium Novum i Wróblewski miał wielkie nadzieje związane z tą inwestycją. Niestety, nie dożył ich spełnienia, ale o tym w jednym z najbliższych felietonów. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

„Papierowe” NATO?

Jacek Przybylski

Po przegranej w wojnie z Iranem Donald Trump nie ukrywa rozczarowania brakiem wsparcia ze strony NATO, zapominając, że to sojusz obronny, a nie ofensywny. Według nieoficjalnych informacji Biały Dom ma rozważać ukaranie części sojuszników i przeniesienie baz z Hiszpanii, Niemiec lub Włoch do krajów na wschodniej flance, takich jak Polska

Czy to już koniec NATO? To pytanie w ubiegłym tygodniu wielokrotnie padało na łamach poczytnych gazet i w studiach największych telewizji. Zarówno w Europie, jak i w Turcji czy w samych Stanach Zjednoczonych eksperci zastanawiali się nad przyszłością „najsilniejszego obronnego sojuszu militarnego w historii”, który miał szansę, aby stać się jeszcze potężniejszy, bo Europejczycy wreszcie się przebudzili i coraz więcej inwestują we własne uzbrojenie.

Pytania o koniec sojuszu padały nie tylko dlatego, że amerykański przywódca – mimo publicznie wyrażonego marzenia, by cieśnina Ormuz nosiła jego imię, i wielu buńczucznych wypowiedzi, z których część zawierała groźby popełnienia zbrodni wojennych – musiał de facto zgodzić się na kapitulację w wojnie z Iranem. Ameryka nie zdołała zmienić reżimu w Teheranie. Ajatollahowie pokazali zaś, że nawet bez broni nuklearnej potrafią tygodniami bronić się przed agresją potężnych sił amerykańskich i izraelskich. Amerykanom udało się wprawdzie zniszczyć irańską flotę wojenną, ale nie udało się „zrównać z ziemią” irańskiego potencjału rakietowego. Prezydentowi Trumpowi nie udało się też zastraszyć europejskich sojuszników i zmusić ich do przyłączenia się do nielegalnej napaści na Iran. Teheran nie tylko uderzył w globalną gospodarkę, lecz także zmusił bliskowschodnich sojuszników USA – którzy ponieśli duże straty przez nie swoją wojnę – do ponownego przemyślenia swych strategicznych wyborów.

Donald Trump nie tylko zlekceważył zdanie sojuszniczych krajów arabskich w kwestii nielegalnej napaści na Iran, lecz także zdążył obrazić bliskowschod-

eprasa.pl d22c75f697

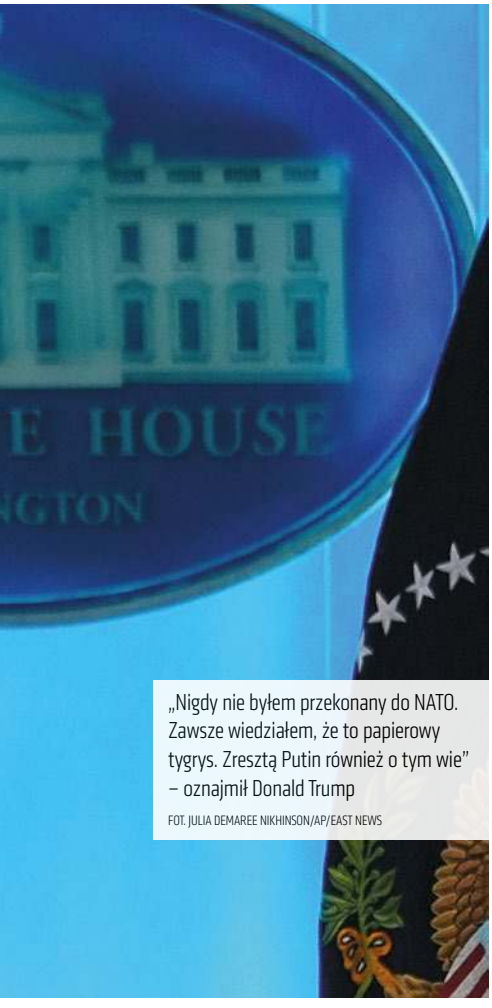

„Nigdy nie byłem przekonany do NATO. Zawsze wiedziałem, że to papierowy tygrys. Zresztą Putin również o tym wie" – oznajmił Donald Trump

FOT. JULIA DEMAREE NIKHINSON/AP/EAST NEWS

nich przyjaciół Ameryki (np. publicznie deklarując na konferencji prasowej, że saudyjski książę Muhammad ibn Salman nawet nie myślał, iż będzie Trumpa „całował w tyłek"). I chociaż Trump uważa, że następca tronu Arabii Saudyjskiej „musi być dla niego miły", to w krajach Bliskiego Wschodu słowne zniewagi mogą być trudniejsze do wybaczenia niż złośliwe uwagi rzucane pod adresem prezydenta Francji Emmanuela Macrona (o tym, że śmiesznie wygląda w okularach przeciwsłonecznych lub że bije go własna żona).

„TCHÓRZE"

Wyjątkowo aroganckie podejście Donalda Trumpa do europejskich sojuszników wpędziło NATO w najpotężniejszy kryzys od lat. I nie chodzi tylko o publiczne nazwanie ich „tchórzami" za to, że nie pomogli w ponownym otwarciu cieśniny Ormuz, lecz także o ignorowanie podstawowych zasad współpracy. To właśnie dlatego Włochy odmówiły amerykańskim samolotom wojskowym dostępu do bazy Sigonella na Sycylii – jak wyjaśniał w rzymskim parlamencie minister obrony Guido Crosetto, Amerykanie poprosili o zgodę na lądowanie, gdy maszyny były już w powietrzu, a tymczasem według obowiązujących procedur rząd może takiej zgody udzielić wyłącznie w porozumieniu z parlamentem.

„NATO nie było, kiedy potrzebowaliśmy pomocy, i nie będzie go, jeśli znów będziemy go potrzebować" – napisał Donald Trump na platformie Truth Social. W swoich mediach społecznościowych zwrócił się też do europejskich sojuszników, którzy ponoszą ogromne gospodarcze koszty wojny wywołanej przez USA i Izrael. „Będziecie musieli nauczyć się walczyć o siebie, bo USA już nie będą wam pomagać, tak jak wy nie pomogliście nam" – zapowiedział rozgoryczony amerykański przywódca, który ewidentnie nie rozumie, że NATO jest sojuszem obronnym, a nie ofensywnym.

Nie jest to nowa postawa Trumpa. Amerykański prezydent celowo stara się nie pamiętać, że art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego, stanowiący fundament zasady obrony zbiorowej NATO, został w historii oficjalnie uruchomiony tylko raz: po zamachach terrorystycznych na Stany Zjednoczone z 11 września 2001 r. I chociaż podczas misji w Afganistanie zginęło 1144 żołnierzy międzynarodowej koalicji, w tym 43 polskich wojskowych (i jeden pracownik cywilny), to Donald Trump stwierdził w styczniu obecnego roku, że NATO w Afganistanie trzymało się „trochę z tyłu" od linii frontu, wywołując ogromne poruszenie w wielu krajach świata.

Założone w 1949 r. NATO zrzesza obecnie aż 32 państwa z Europy i Ameryki Północnej (Polska jest członkiem tej organizacji od ponad ćwierć wieku). Według deklaracji wojskowych ma obecnie ponad pół miliona żołnierzy w stanie wysokiej gotowości. W wyjątkowo niebezpiecznej trzeciej dekadzie XXI w. przyciągnęło nawet nowych członków: Finlandię oraz Szwecję. To właśnie dzięki NATO ryzyko rychłego zbrojnego ataku na kraje bałtyckie czy też Polskę nawet podczas rosyjskiej inwazji na Ukrainę wydawało się stosunkowo niewielkie.

Najlepsi stratedzy nie przewidzieli jednak, że zdeklarowany wróg NATO zamieszka w Białym Domu. I to dwukrotnie. A jego wielokrotnie powtarzane groźby wobec sojuszników oraz samego sojuszu wyraźnie nadszarpną wiarygodność organizacji, której główną zaletą jest nie tyle sama zdolność do prowadzenia wojny na wielką skalę, ile możliwość skutecznego odstraszania potężnych przeciwników w różnych częściach globu. Europejczycy nie rozważali na poważnie możliwości obrony bez pomocy USA, nawet gdy w 2018 r., podczas pierwszego szczytu sojuszu zorganizowanego w oddanej rok wcześniej potężnej siedzibie NATO w Brukseli, główny gość honorowy Donald Trump mówił publicznie o możliwości wystąpienia USA z tej organizacji. Wielu analityków sądziło bowiem, że to wyłącznie retoryka, której celem jest tak naprawdę wzmocnienie NATO poprzez zmuszenie liderów europejskich krajów do wydawania na obronność co najmniej 2 proc. PKB.

Tymczasem już wtedy wyraźnie widać było, że amerykański prezydent zmierza do formalnego wyprowadzenia USA z NATO. „Widzieliśmy wyraźne sygnały, że Trump przygotowuje się do podjęcia działań w odpowiedzi na swoje groźby" – napisał były sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg w swoich niedawnych wspomnieniach „On My Watch". Podobnie działania swego szefa oceniał były doradca Donalda Trumpa do spraw bezpieczeństwa narodowego, konserwatywny republikanin John Bolton.

REPRYMENDA OD „TATUSIA"

„Nigdy nie byłem przekonany do NATO. Zawsze wiedziałem, że to papierowy tygrys. Zresztą Putin również o tym wie" – oznajmił Donald Trump w ubiegłotygodniowej rozmowie z „The Telegraph". Z tej i innych wypowiedzi amerykańskiego prezydenta można by wnioskować, że od lat lepiej dogaduje się z Władimirem Putinem czy Kim Dzong Unem niż z przywódcami demokratycznego świata. Zresztą Trump nazywał NATO „papierowym tygrysem", jeszcze zanim po raz pierwszy oficjalnie przeprowadził się do Białego Domu, przekonując, że sojusz jest już „przestarzały" i że „kosztuje fortunę" amerykańskich podatników.

W ubiegłym tygodniu w podobnym tonie prezydent USA wypowiedział się

eprasa.pl d22c75f697

nie tylko dla „The Telegraph", lecz także dla agencji Reuters, deklarując, że „zdecydowanie rozważa" wycofanie Stanów Zjednoczonych z NATO. – Nie byli naszymi przyjaciółmi, kiedy ich potrzebowaliśmy. Nigdy nie prosiliśmy ich o wiele… to droga jednokierunkowa – stwierdził Trump.

I chociaż podobne deklaracje Donald Trump składał już za pierwszej kadencji w Białym Domu, to tym razem w zbliżonym tonie do prezydenta wypowiadają się też inni członkowie amerykańskiej administracji, np. szef dyplomacji Marco Rubio czy sekretarz obrony Pete Hegseth. – Bez Stanów Zjednoczonych nie ma NATO. Wszyscy to rozumieją, w tym NATO. Gdybyśmy jutro zdecydowali, że wycofamy nasze wojska z Europy, oznaczałoby to koniec NATO – oznajmił amerykański sekretarz stanu w wywiadzie dla telewizji Al-Dżazira. – Koniec końców, to bardzo proste. NATO to sojusz, a sojusz oznacza, że musi przynosić korzyści obu stronom. Nie może to być droga jednokierunkowa. Miejmy nadzieję, że uda nam się to naprawić – dodał Marco Rubio.

W ubiegłą środę rzeczniczka Białego Domu Karoline Leavitt publicznie oznajmiła zaś na konferencji prasowej, że prezydent Donald Trump rozważa wyjście z NATO i że kwestia ta będzie przedmiotem dyskusji z przybyłym do Waszyngtonu sekretarzem generalnym sojuszu Markiem Ruttem.

Rutte, który już w roku 2018 zyskał przydomek Zaklinacz Trumpa, robi, co może, aby powstrzymać katastrofę w relacjach transatlantyckich. Nie ma jednak łatwego zadania. Wprawdzie do tej pory jego strategia polegająca na próbie udobruchania Trumpa przynosiła efekty, ale tym razem gospodarz Białego Domu jest tak sfrustrowany, że nie pomoże nawet „tatusiowa dyplomacja" (szef NATO publicznie porównał Donalda Trumpa do „tatusia" interweniującego za pomocą „mocnych słów" podczas bójki na szkolnym podwórku, gdy USA w zeszłym roku włączyły się do konfliktu między Izraelem a Iranem). Rutte przymilał się też Trumpowi przed ubiegłorocznym szczytem sojuszu, gdy napisał do amerykańskiego przywódcy, że „udało mu się osiągnąć coś, czego żaden amerykański prezydent przez dziesięciolecia nie zdołał dokonać" (odwołując się do zwiększenia wydatków europejskich sojuszników na zbrojenia). Niestety, strategia ta nie powstrzymała prezydenta USA np. od gróźb wobec Grenlandii i duńskich sojuszników. W udobruchaniu Trumpa nie pomogło nawet wyrażone przez sekretarza generalnego NATO jednoznaczne poparcie dla wojny Donalda Trumpa z Iranem. „Robi to, aby zapewnić bezpieczeństwo całemu światu" – oznajmił Rutte, wywołując wściekłość innych członków sojuszu, którzy inwazji na Iran absolutnie nie popierają i którzy ponoszą koszty skokowego wzrostu cen ropy oraz gazu.

Jak poszło Ruttemu spotkanie w Waszyngtonie? Nie wiadomo. Rutte oznajmił jedynie, że Trump jest wyraźnie zawiedziony sojusznikami. Z kolei Donald Trump dzień po rozmowach opublikował na Truth Social krótki wpis: „Nikt z tych ludzi, łącznie z naszym, bardzo rozczarowującym, NATO, nie zrozumiał niczego dopóty, dopóki nie wywarto na nich presji!". Amerykański prezydent nie doprecyzował jednak, kogo i co ma na myśli.

BAZY Z NIEMIEC DO POLSKI?

Nie wiadomo, czy udało się przekonać Trumpa, że pozostanie w NATO leży również w interesie Ameryki. Tymczasem napięcie między USA a Europą stało się już tak mocno odczuwalne, że – jak zauważył „Wall Street Journal" – „wielu po obu stronach Atlantyku zastanawia się, czy są w ogóle jeszcze sojusznikami".

Ten sam amerykański dziennik poinformował również w ubiegłym tygodniu, że Biały Dom rozważa wycofanie amerykańskich wojsk z tych krajów NATO, które jego zdaniem nie udzieliły wystarczającego wsparcia USA podczas wojny z Iranem (prezydent ma być szczególnie zirytowany postawą Hiszpanii, Niemiec oraz Włoch).

Gdybyśmy jutro zdecydowali, że wycofamy nasze wojska z Europy, oznaczałoby to koniec NATO – ostrzegł Marco Rubio

Czy tym razem Donald Trump, rozgoryczony postawą Europejczyków, którzy nie chcą gasić pożarów wywołanych przez USA, rzeczywiście mógłby wycofać Stany Zjednoczone z najpotężniejszego sojuszu wojskowego? Teoretycznie nie. Zgodnie z prawem przyjętym w 2023 r. potrzebuje do tego zgody Senatu. W tej kwestii prezydentowi trudno byłoby zaś uzyskać potrzebną większość. Biały Dom mógłby się jednak powołać na wydaną w roku 2000 przez Biuro Radcy Prawnego Departamentu Sprawiedliwości opinię prawną, która stwierdza, że prezydentowi przysługuje wyłączna władza nad traktatami międzynarodowymi. Wówczas kwestię legalności decyzji prezydenta ostatecznie rozstrzygnąłby sąd. Trump może też po prostu nieformalnie zniszczyć NATO. – Prezydent Stanów Zjednoczonych nie może wyprowadzić USA z NATO. Niemniej jednak, prezydent może zatruć studnię, czyli prezydent, jeśli tylko zechce, może doprowadzić do całkowitego zniszczenia [NATO – przyp. red.] – oznajmił w wywiadzie dla telewizji ABC czołowy republikański senator Thom Tillis. Już teraz Donald Trump konsekwentnie oddziela Stany Zjednoczone od NATO, a także zapowiada, że jeśli nawet Ameryka przyjdzie z pomocą europejskim członkom sojuszu, to bronić będzie jedynie wybranych państw, które spełniają wyznaczone przez Biały Dom dodatkowe kryteria.

Przez dekady sojusz północnoatlantycki mniej lub bardziej sprawnie dostosowywał się do nowych zagrożeń. Czy przetrwa również aroganckiego gospodarza Białego Domu? Dopóki USA jedynie grożą sojusznikom i nie wycofują swych wojsk ze Starego Kontynentu, dopóty zapewne w jakiejś formie tak. Agresywna retoryka Trumpa wyraźnie osłabia NATO, na czym ucierpieć może nie tylko Europa. Wspomniany były doradca Trumpa John Bolton już kilka miesięcy temu politykę zagraniczną obecnej administracji nazwał „globalnym piractwem" i ostrzegał na łamach „The Atlantic", że skutki działań obecnego gospodarza Białego Domu mogą się okazać dla USA katastrofalne.

Wypowiedzi o śmierci „całej cywilizacji" i nieprzewidywalne działania amerykańskiego przywódcy zaczynają coraz krytyczniej oceniać sami Amerykanie. Część z nich mówi już o konieczności usunięcia go z urzędu (albo za pomocą procedury impeachmentu, albo poprzez wykorzystanie 25. poprawki do Konstytucji USA, która pozwala uznać danego prezydenta za niezdolnego do dalszego sprawowania urzędu).

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

FOT. ADOBE STOCK

KOMU PSIECI?

W Brazylii zmieniono przepisy dotyczące opieki nad zwierzętami w przypadku, gdy para się rozwodzi lub wybiera separację. Jeśli rozstającym się osobom nie uda się porozumieć w tej sprawie, to decyzję ma podjąć sędzia. To wówczas do niego należy orzeczenie o podziale opieki nad pupilem i rozłożeniu kosztów jego utrzymania. Komentatorzy wskazują rosnącą tendencję do traktowania zwierząt jako pełnoprawnych członków rodziny, szczególnie w rodzinach, gdzie jest mało dzieci lub ich w ogóle nie ma.

LOTNISKOWI STACZE

Na amerykańskich lotniskach wciąż dają o sobie znać braki kadrowe w agencji odpowiedzialnej za bezpieczeństwo transportu (TSA). W efekcie pasażerowie skazani są na kilkugodzinne stanie w kolejkach do kontroli bezpieczeństwa. To skłania ich do szukania nietypowych rozwiązań. Niektórzy z nich płacą innym osobom za zajmowanie miejsca w kolejce. Koszt usługi lotniskowego stacza waha się między 35 a 65 dol. za godzinę oczekiwania.

SAMOCHÓD JAK ROWER

Między Bärenbach a Fischbach w Nadrenii-Palatynacie samochód utknął na wąskiej ścieżce rowerowej. Za kółkiem siedziała 75-letnia kobieta, która prawdopodobnie pomyliła drogę. Zamiast wjechać na trasę B41, zboczyła ona na trakt przeznaczony dla rowerów. Auto znalazło się między metalowymi barierkami i zaklinowało się tak, że nie mogło ruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Na pomoc wezwane zostały odpowiednie służby, które pomogły seniorce wydostać się z auta. Nikomu z rowerzystów nic się nie stało.

PRZECIW FUTROM

Grupa aktywistów walczących o „prawa zwierząt" wdarła się do flagowego sklepu Louis Vuitton w Londynie. Akcja była protestem antyfutrzarskim. Demonstranci zakłócili pracę butiku, odtwarzając na okrągło przez megafony sygnał alarmowy. W rezultacie w sklepie zapanował chaos. Sprzedawcy i ochroniarze próbowali usunąć intruzów z obiektu, a klienci nie mogli przez jakiś czas dokonać zakupów. Potem akcja przeniosła się na ulicę.

PODRÓŻE NIEISTOTNE

Premier Senegalu Ousmane Sonko wprowadził dla ministrów swojego rządu zakaz podróży zagranicznych uznanych za nieistotne. Decyzja podyktowana jest gwałtownym wzrostem cen ropy naftowej, spowodowanym konfliktem na Bliskim Wschodzie. Sam Sonko odwołał wizyty m.in. we Francji i w Hiszpanii. Zapowiedział też dalsze cięcia wydatków państwa. Gospodarka Senegalu uzależniona jest od importu paliw. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pożegnanie z WNP

Walka o wpływy między Wschodem a Zachodem trwa. Prezydent Mołdawii Maia Sandu oficjalnie poparła w ubiegłym tygodniu decyzję parlamentu w Kiszyniowie, który po kilku latach prawnych starań wypowiedział w końcu umowę o utworzeniu Wspólnoty Niepodległych Państw, protokół do niej oraz statut WNP.

Formalnie decyzja o opuszczeniu Wspólnoty Niepodległych Państw przez Mołdawię wejdzie w życie 12 miesięcy po przekazaniu stosownych dokumentów do Komitetu Wykonawczego WNP.

Mołdawia to kolejny kraj, który opuszcza WNP (po Gruzji i Ukrainie). Wychodząc z rosyjskiej orbity, chce przyspieszyć integrację z UE (na budynkach rządowych w Kiszyniowie już powiewają flagi mołdawskie i unijne). Decyzja o wyjściu z sojuszu postsowieckich państw nie zapadła jednak jednogłośnie. Za opuszczeniem WNP głosowało 60 ze 101 deputowanych. Posłowie z Partii Komunistycznej i Partii Socjalistycznej alarmowali zaś, że opuszczenie WNP doprowadzi gospodarkę do katastrofy.

Członkostwo Mołdawii w WNP nie uchroniło jej przed rosyjskim embargiem gospodarczym czy przed rosyjskim szantażem energetycznym. Mołdawianie marzą więc o UE oraz rozważają ponowne zjednoczenie z Rumunią.

Mołdawia to niejedyny kraj, który chce być w zachodniej strefie wpływów. Jak zauważyli niedawno analitycy Carnegie Europe, wojna na Ukrainie ograniczyła potencjał Rosji, pozostawiając geopolityczną próżnię od Kaukazu Południowego po Bliski Wschód i Afrykę. „To strategiczna szansa dla Europy" – podkreślają autorzy raportu. Ta okazja nie będzie jednak trwała wiecznie...

eprasa.pl d22c75f697

Maciej Pieczyński

Astana Moskwie wciąż wierzy

Kazachstan przestał być bezpieczną przystanią dla przeciwników Władimira Putina. Po wybuchu wojny na Ukrainie to środkowoazjatyckie państwo zwiększyło swoją suwerenność względem Kremla, nie zamierza się jednak od niego odcinać

Prezydenci Kazachstanu Kasym-Żomart Tokajew i Rosji Władimir Putin podczas nieformalnego szczytu przywódców Wspólnoty Niepodległych Państw (WNP) w Petersburgu, 22 grudnia 2025 r. FOT. ALEXANDER KAZAKOV/POOL/AFP/EAST NEWS

Po ogłoszeniu częściowej mobilizacji we wrześniu 2022 r. setki tysięcy Rosjan uciekły do Kazachstanu. Prezydent Kasym-Żomart Tokajew deklarował wówczas, że zapewni tym ludziom bezpieczeństwo. Władze Kazachstanu dały do zrozumienia, że nie będą deportować uciekinierów unikających służby wojskowej, z wyjątkiem tych, przeciwko którym toczy się postępowanie karne. Kierunek ten był dla przeciwników wojny (albo przynajmniej dla osób, które nie chcą iść na front) bezpieczną przystanią albo przynajmniej krajem tranzytowym na drodze do jeszcze bezpieczniejszej przystani. W ostatnim czasie to się jednak diametralnie zmieniło. Władze Kazachstanu zaczęły wydawać Moskwie Rosjan o antywojennych poglądach. Nawet tych, którzy mieszkali w tym kraju na stałe.

Aż do wiosny 2024 r. jedynym znanym rosyjskim żołnierzem, któremu nie udało się ukryć w Kazachstanie, pozostawał major Federalnej Służby Ochrony Michaił Żylin. Zaraz po przekroczeniu granicy został deportowany do Rosji. Za dezercję dostał wyrok sześciu lat kolonii karnej. W kwietniu 2024 r. funkcjonariusze służb kazachstańskich i rosyjskich wspólnie zatrzymali Karima Kasimowa, rosyjskiego żołnierza służby kontraktowej, który zbiegł do Kazachstanu. Miesiąc później próbowano deportować dwóch kolejnych dezerterów, co się jednak nie udało dzięki interwencji obrońców praw człowieka. Oprócz tego w latach 2022–2023 w Kazachstanie zatrzymano kilku poszukiwanych w Rosji aktywistów, uniknęli oni jednak deportacji. Rozprawy o ekstradycję były przeciągane tak, aby oskarżony wyszedł w końcu z aresztu i mógł wyjechać z kraju. Władze pozostawały w tych sprawach w kontakcie z dyplomatami europejskimi.

Punktem zwrotnym okazała się sprawa informatyka Aleksandra Kaczkurkina. Urodził się na Krymie, po aneksji półwyspu otrzymał obywatelstwo rosyjskie, a w 2022 r. wyjechał do Kazachstanu. Pod koniec stycznia 2026 r. został zatrzymany w Ałmaty za przejście przez ulicę w niedozwolonym miejscu oraz za palenie sziszy w zamkniętym pomieszczeniu. To wystarczyło, by deportować go do Rosji. Cała procedura trwała kilka godzin, choć zazwyczaj ciągnie się miesiącami. Gdy tylko przyleciał do Rosji, już czekał tam na niego akt oskarżenia o zdradę. Na początku lutego br. z kolei kazachstańscy policjanci przekazali rosyjskim żołnierzom dezertera Semiona Bażukowa, który starał się o status uchodźcy. Pod koniec stycznia br. Astana zgodziła się na ekstradycję jeszcze dwojga Rosjan: czeczeńskiego aktywisty Mansura Mowlajewa (oskarżonego o finansowanie ekstremizmu) oraz byłej współpracowniczki Aleksieja Nawalnego Julii Jemieljanowej (miała ukraść telefon taksówkarzowi). Ostatecznie Mowlajew uniknął kary dzięki interwencji Komitetu Praw Człowieka ONZ. Jemieljanowa miała mniej szczęścia.

POWIELANIE WZORÓW ROSYJSKICH

Rosjanie uciekali do Kazachstanu jako emigranci. Astana praktycznie nie przyznawała im statusu uchodźcy. Często jednak przeciwnicy Putina składali wniosek o azyl, aby zyskać na czasie. Jednak – jak w rozmowie z portalem Mediazona wskazuje prawnik Kazachstańskiego Biura Praw Człowieka Artur Ałchastow – Kazachstan obecnie zmienił swoją politykę i teraz deportuje nawet tych Rosjan, którzy jeszcze nie otrzymali odmowy. Zdaniem rosyjskiego obrońcy praw człowieka Jewgienija Smirnowa Astana w ten sposób zbliża się do Moskwy: „[W Kazachstanie] przyjęto ustawę o zakazie propagandy LGBT, rozpatrywana jest kwestia agentów zagranicznych […]. Wygląda na to, że nie są to odosobnione przypadki, tylko skutek jakichś ustaleń między Rosją a Kazachstanem na najwyższym szczeblu" – spekuluje Smirnow w rozmowie z „Nową Gazetą Jewropa".

Deportacje dezerterów nie są jedynym gestem, który wykonuje Astana wobec Moskwy. Kazachowie coraz częściej stają przed sądem za „podżeganie do nienawiści na tle narodowościowym". Takim przypadkiem był satyryk Temirlan Jensiebek. W mediach społecznościowych opublikował post wyśmiewający tezy kremlowskiej propagandy o rzekomym prześladowaniu języka rosyjskiego w Kazachstanie. Rok później stanął przed sądem. Został skazany na pięć lat ograniczenia wolności. – To był sygnał skierowany do społeczeństwa kazachstańskiego o aktualnych granicach dopuszczalnej krytyki Rosji – mówi „Do Rzeczy" Marcin Popławski, analityk do spraw Azji Centralnej w The Opportunity Institute for Foreign Affairs.

eprasa.pl d22c75f697

W marcu 2026 r. Kazachowie poparli w referendum projekt nowej konstytucji. Jeden z jej zapisów obniża status języka rosyjskiego. Tu ważne zastrzeżenie: językiem państwowym był, jest i pozostaje kazachski. Rosyjski funkcjonował jako język oficjalny, którego można używać w organach państwowych i samorządowych „na równych prawach" z kazachskim. Konstytucja wprowadza tu drobną, ale znaczącą korektę. Formuła „na równych prawach" zostanie zastąpiona formułą „obok".
– Symbolicznie podkreśla to nadrzędną pozycję kazachskiego, a praktycznie nadaje priorytet kazachskojęzycznym wersjom dokumentów w razie rozbieżności – mówi Marcin Popławski. Jego zdaniem można mówić o osłabieniu pozycji rosyjskiego w Kazachstanie, przy czym na razie trudno orzec, na ile ma to wymiar realny, a na ile jedynie symboliczny, biorąc pod uwagę rzeczywistość językową tego państwa.

– Rosyjski ma tam wysoką pozycję, to faktycznie język biznesu, nadal do pewnego stopnia język miast, choć to się odwraca ze względu na procesy demograficzne, migracje Kazachów i przełamanie negatywnego stereotypu o tym języku – mówi analityk. – Dużo hierarchii dotyczących postrzegania Rosji czy Związku Sowieckiego odwraca się na poziomie społecznym w Kazachstanie. Lokalna popkultura jest tam bardziej popularna niż rosyjska, powiedziałbym, że dla niektórych grup turecka czy południowokoreańska są znacznie bardziej atrakcyjne niż rosyjska. Słabnie soft power Rosji w Kazachstanie – dodaje Popławski.

Kwestia językowa jest bardzo ważna z uwagi na silną mniejszość rosyjską, ale też ze względu na historię. Kazachstan znajdował się pod panowaniem Imperium Rosyjskiego i Związku Sowieckiego i ta przeszłość wciąż potencjalnie wisi nad Astaną jako groźba powrotu moskiewskiej dominacji w przyszłości. Groźba czasem artykułowana przez niektórych kremlowskich propagandystów. Ostatni spis powszechny w tym kraju przeprowadzono w 2021 r. Wtedy znajomość rosyjskiego deklarowało 84 proc. obywateli, kazachskiego zaś – 80 proc., przy tym tylko 25 proc. kazachstańskich Rosjan. – Kazachowie faktycznie w większości są dwujęzyczni, ale widać też zwrot szczególnie wśród młodego pokolenia, które uważa kazachski za co najmniej równie wartościowy, co rosyjski

Według spisu powszechnego z 2021 r. znajomość rosyjskiego deklarowało 84 proc. obywateli, kazachskiego zaś 80 proc., przy tym tylko 25 proc. kazachstańskich Rosjan

i ze względu na tę pozytywną zmianę atmosfery, a także na to, że sektory rozrywki, kultury i inne muszą uwzględniać tego, kto jest konsumentem w Kazachstanie, a jest nim w przeważającej mierze kazachskojęzyczny lub dwujęzyczny Kazach, i to ma odzwierciedlenie w procesach językowych – przekonuje Marcin Popławski.

Kwestie językowo-kulturowe i etniczne wpływają też na postawy polityczne Kazachów. – Ta korelacja jest widoczna i stąd wrażliwość tego tematu, również ze strony władz, które dokładają starań, aby to nie stało się polem konfliktu – dodaje analityk. Podkreśla przy tym, że władze Kazachstanu od dawna (jeszcze od czasów prezydentury Nursułtana Nazarbajewa) konsekwentnie, acz powolnie popierają zwiększenie roli kazachskiego w życiu społecznym.

Wiele mówią też wyniki badań opinii publicznej. – Widać, że niechęć do Rosji wzrosła w ciągu ostatnich pięciu lat z 13 do 34 proc. – odnotowuje Marcin Popławski. – I tu przejawia się polaryzacja społeczna na podstawie języka i etniczności, pokazując ich znaczenie polityczne we współczesnym Kazachstanie. Najchętniej pozytywne oceny wystawiają Rosji rosyjskojęzyczni (70 proc.), a używający kazachskiego oceniają ten kraj bardziej negatywnie (42 proc.) niż pozytywnie (38 proc.) – dodaje analityk. Przy tym ogół społeczeństwa jest nastawiony do Rosji i Ukrainy w większości „neutralnie".

Astana po wybuchu wojny na Ukrainie prowadzi niejednoznaczną politykę zagraniczną. Raz od Moskwy się dystansuje, raz się do niej zbliża. Dystans był bardziej widoczny do jesieni 2023 r. – Władze Kazachstanu zinterpretowały wojnę jako największe pogwałcenie reguł na obszarze państw byłego ZSRS i realne zagrożenie, które powoduje dotychczas najważniejszy politycznie partner i sojusznik. Wtedy zachowały one asertywność, nie poparły Rosji ani dyplomatycznie, ani wojskowo, symbolicznie się od niej dystansowały – mówi Marcin Popławski. Astana z niezłym skutkiem próbowała zastąpić Rosję jako dostawcę surowców do państw UE. Kraje Azji Centralnej po wybuchu wojny postawiły na własny interes. Oddaliły się od Moskwy i, zdaniem analityka The Opportunity, trwale zdywersyfikowały relacje międzynarodowe.

POLITYKA WIELOWEKTOROWA

Jednak na przełomie lat 2023 i 2024 sytuacja zaczęła się zmieniać. – W kalkulacjach władz Kazachstanu zwyciężyło wtedy podejście, aby nie zadrażniać relacji z Rosją – twierdzi Popławski. – Bezpośrednio spowodowała to nieudana ukraińska kontrofensywa, ale też stanie Chin u boku Rosji, które wyrosły wtedy na największego partnera handlowego Kazachstanu, detronizując państwa UE jako całość i – nie waham się tego powiedzieć – gwaranta suwerenności Kazachstanu, gdy Xi Jinping poparł to publicznie w kontekście nasilonej presji Rosji na Kazachstan, która przejawiała się w zabiegach o dostęp do kazachskiej infrastruktury przesyłowej czy agresywniejszej propagandzie w mediach i wypowiedziach polityków – dodaje.

Później jednak Kazachstan m.in. przyjął rosyjską ofertę budowy elektrowni atomowej, wycenianą na 10–12 mld dol. czy wzmocnił de facto współpracę energetyczną, wysyłając więcej surowców do państw Unii Europejskiej przy wykorzystaniu rosyjskiej infrastruktury lub szlaków transportowych, od których jest zależny. – Rozwinął też inne drogi i sposoby przesyłu, ale te przez Rosję są dla niego niezastąpione, co przy tym, że ta infrastruktura bywała przedmiotem ataków wojsk ukraińskich, czyni to państwo bardzo wrażliwym i podatnym na nagłe załamanie możliwości eksportu głównego towaru eksportowego – przekonuje analityk do spraw Azji Centralnej.

Nie ma więc podstaw, by sądzić, że Astana odcina się od Moskwy. Kazachstan prowadzi wielowektorową, asertywną politykę, mając przy tym cały czas na uwadze, że potężny północny sąsiad nie zniknie z mapy, trzeba więc z nim w tej czy innej formie współpracować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

Z Michałem Bruszewskim, autorem książki „Eurokalifat. Dżihad, gangi i islamizacja Europy"
rozmawia Piotr Włoczyk

Eurokalifat zamiast euroislamu

PIOTR WŁOCZYK: W swojej książce omawia pan wynik raportu przygotowanego przez think tank Pew Research Center, który starał się przedstawić prognozę na rok 2050. Skrajny scenariusz przewiduje, że w Niemczech niemal 20 proc. populacji będzie wtedy wyznawało islam, a RFN wyprzedzi w tym względzie Francję i Wielką Brytanię. Co musiałoby się wydarzyć, żeby ten scenariusz się ziścił?

MICHAŁ BRUSZEWSKI: Autorzy badania przyjęli kilka scenariuszy rozwoju wydarzeń. W tzw. wysokim scenariuszu założono, że będziemy mieli do czynienia z kolejnymi kryzysami migracyjnymi. Ostatnie lata pokazują, że musimy na poważnie brać taką możliwość. Bliskim Wschodem cały czas wstrząsają przecież kolejne kryzysy. Wciąż niepewna jest sytuacja Palestyńczyków ze Strefy Gazy, którym grozi przesiedlenie. Obecnie mamy też do czynienia z atakiem USA i Izraela na Iran, co może przynieść bardzo daleko idące skutki. W Iranie żyje 90 mln ludzi, ale przebywa tam również ogromna populacja uchodźców. Samych Afgańczyków jest tam ponad 700 tys. A to oznacza, że ci ludzie mogą zacząć migrować w kierunku Europy. To samo dotyczy Afryki, gdzie nierozwiązane problemy wypychają ludzi na północ.

Niemcy wyspecjalizowały się w szantażowaniu moralnym, twierdząc, że bez względu na liczbę Europa jest w stanie przyjąć migrantów szukających lepszego miejsca do życia. Jeżeli przy okazji kolejnych kryzysów będziemy widzieli tę samą politykę co poprzednio, to nietrudno sobie wyobrazić, że w Niemczech w połowie stulecia faktycznie 20 proc. tamtejszego społeczeństwa będzie wyznawało islam.

Trzeba jednak zauważyć, że od kryzysu w 2015 r. sporo się zmieniło w niemieckiej polityce. Trudno sobie wyobrazić, by Niemcy powtórzyli błędy ery Angeli Merkel.

To prawda, że zmienił się ton debaty w RFN, ale jeżeli spojrzymy na konkretne działania, to zobaczymy, że z szumnie zapowiadanych akcji deportacyjnych niewiele wyszło. Nastroje polityczne zmieniły się praktycznie wszędzie w Europie i co do zasady widzimy, że przekaz partii prawicowych w sprawie migracji znajduje odzew w społeczeństwie, ale jednak biznes potrzebuje rąk do pracy i nie jestem przekonany, że przy okazji kolejnego kryzysu migracyjnego Europa nie powieli starych błędów. Może się bowiem okazać, że wielkie korporacje, widząc tłumy ludzi dobijających się do bram Europy, zdołają przekonać polityków, żeby ich wpuścić, bo przydadzą się do pracy. Dlatego uważam, że tzw. wysoki scenariusz powinniśmy uważać za realną perspektywę.

Jak duży problem z radykalizmem islamskim mają nasi zachodni sąsiedzi?

W Niemczech żyje ok. 6 mln muzułmanów. To jest bardzo różnorodna społeczność i jej częścią są członkowie różnych organizacji dżihadystycznych. Najbardziej znany przykład to ochroniarz Osamy bin Ladena, który przebywał w RFN i nie można go było deportować, ponieważ w Tunezji, skąd pochodził, groziło mu więzienie, co niemiecki sąd uznał za zagrożenie dla jego życia. Ostatecznie udało się go wydalić, ale tylko dzięki użyciu kruczków prawnych. Niektórzy dżihadyści z paszportami niemieckimi budowali tzw. Państwo Islamskie (PI) w Iraku i w Syrii, po czym trafili do irackich więzień. Co się z nimi stanie po wyjściu na wolność?

eprasa.pl d22c75f697

Enea B., oskarżony o planowanie zamachów, podczas rozprawy w sądzie w Düsseldorfie, 8 września 2014 r.

FOT. INA FASSBENDER/REUTERS/FORUM

Nietrudno sobie wyobrazić, że w Niemczech w połowie stulecia faktycznie 20 proc. tamtejszego społeczeństwa będzie wyznawało islam

Pozornie odrębnym tematem jest przejmowanie niemieckiego świata przestępczego przez klany migranckie. Jednym z nich jest tzw. Großfamilie Al-Zein. Jest to gang muzułmański, który wiedzie w RFN prym w działalności przestępczej. W innych państwach europejskich widać ten sam problem.

Dlaczego tylko pozornie jest to zupełnie odrębny temat? Co wspólnego z dżihadem mają gangi złożone z muzułmańskich imigrantów?

W Europie są wielkie muzułmańskie syndykaty przestępcze: Dödspatrullen (Szwecja), DZ Mafia (Francja), Mocro Maffia (Holandia, Belgia, Hiszpania). Działalność przestępcza, jak choćby sprzedaż narkotyków czy czerpanie zysków z prostytucji, jest w islamie „haram", czyli zabroniona. Ale ponad połowa dżihadystów, którzy dokonali w Europie ataków, przeszła przez system penitencjarny. Europejskie więzienia to istne kuźnie dżihadystów. To prosty mechanizm: muzułmańscy przestępcy trafiali w Europie za kratki, spotykali tam poprzednią generację dżihadystów i na wolność wychodzili już jako nowe pokolenie dżihadystów. W więzieniach uczyli się organizowania zamachów i wyprowadzania w pole służb.

Oba te środowiska korzystają z tych samych dzielnic imigranckich, by rekrutować nowych członków. W tej sytuacji bardzo często oba te światy się przeplatają. Świetnym przykładem jest tu Szwecja, gdzie problemem jest nie tylko przestępczość somalijska, lecz także działalność największej grupy dżihadystycznej z Somalii – Asz-Szabab – która rekrutowała Somalijczyków żyjących w Szwecji na dżihad w... Somalii. Badacze zwykle analizują albo przestępczość, albo grupy dżihadu. Ja przedstawiam to w mojej książce całościowo, ponieważ oba te problemy się przenikają.

Co istotne, na exodusie migrantów korzystają obie grupy. Na przerzucie ludzi do Europy przestępcy z różnych klanowych organizacji zarabiają nawet więcej niż na handlu narkotykami, a dodatkowo bardzo łatwo w czasie takiej olbrzymiej „wędrówki ludów" wysłać do Europy ludzi należących do organizacji dżihadystycznych, co zresztą się działo.

I chociaż w islamie przestępczość jest „haram", to jednak musimy pamiętać o ummie, czyli wspólnocie wszystkich muzułmanów. Należą do niej i ci bardziej grzeszni, i ci bardziej bogobojni. W starciu z instytucjami państwa europejskiego umma się jednoczy i broni swoich członków. Najlepiej widać to na przykładzie sprawy palestyńskiej. Wśród społeczności muzułmańskiej w Europie są głębokie podziały etniczne i religijne – m.in. na sunnitów i szyitów – ale jednak takie sprawy łączą wszystkich. Pomimo wielu różnic umma w Europie potrafi się jednoczyć.

Na co mogą sobie w Europie pozwolić duchowni muzułmańscy?

W krajach Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej imam nie może w czasie

eprasa.pl d22c75f697

nabożeństwa powiedzieć wszystkiego. Władze bardzo ściśle kontrolują, co duchowny mówi, ponieważ w islamie sunnickim imam ma ogromny wpływ na społeczeństwo. Pomijając internetową propagandę dżihadystyczną, radykalny imam to najłatwiejsza droga do radykalizacji. To jest paradoks: w krajach Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej imam jest pod kontrolą, ale w europejskich meczetach i salkach modlitewnych nie ma takiego nadzoru. I to jest słabość demokracji liberalnych…

… gdzie wciąż wielu ludzi ma problem ze zrozumieniem podstawowych kwestii, jak choćby tego, czym jest islam, a czym islamizm.

To jest bardzo powszechny problem. Pisząc dla polskiej prasy teksty na takie tematy, ze zdumieniem zauważyłem, że nawet niektórzy redaktorzy myśleli, iż są to synonimy. Rzecz jest w gruncie rzeczy prosta: nie każdy muzułmanin jest islamistą, ale każdy islamista jest muzułmaninem. Islamizm to islam polityczny, czyli próba wdrożenia w danym państwie szariatu jako zbioru praw regulujących codzienne życie. Islamizm jest w Europie coraz bardziej widoczny, co pokazuje najnowszy francuski raport, stworzony na zlecenie rządu. Oskarżono w nim islamistyczną organizację Bractwo Muzułmańskie o „entryzm", czyli infiltrację francuskich instytucji, co jest „zagrożeniem dla spójności narodowej".

Jednak pod względem politycznym to w Wielkiej Brytanii islamiści mają najwięcej do powiedzenia. Pamiętajmy, że 80 proc. brytyjskich muzułmanów głosuje na Partię Pracy. W Wielkiej Brytanii jest ok. 500 radnych muzułmanów. Notabene jeden z tych radnych świętował nawet swoje zwycięstwo okrzykiem „Allahu Akbar".

Czy tzw. euroislam to już zupełnie martwy temat?

Tak, teraz już nikt nie ma wątpliwości, że to kompletna mrzonka. Nawiasem mówiąc, jeden z czołowych liderów tego ruchu, prof. Tariq Ramadan, nie pomógł promowanej przez siebie idei, gdy okazało się, że gwałcił swoje studentki. Od początku była to mrzonka elit europejskich, które wymyśliły, że poradzą sobie z islamizacją społeczeństw poprzez tworzenie atrakcyjnej, liberalnej alternatywy dla muzułmanów. Sęk w tym, że taka alternatywa po prostu nie istnieje, ponieważ islam jest tylko jeden. Europejczycy projektujący nową wersję islamu to kuriozum, więc to się nie mogło udać.

A czy eurokalifat to realne zagrożenie?

Tytuł mojej książki to intelektualna prowokacja, ale ta nazwa oddaje pewien ogólny kierunek zmian. Musimy jednak wiedzieć, że nic tu nie jest przesądzone. Podróżowałem wielokrotnie po Bliskim Wschodzie i rozumiem, jak skomplikowany jest świat islamu. Podobnie jest w Europie. Pytanie, czy mieszkający tu muzułmanie byliby w stanie stworzyć jeden organizm.

Wektor jest jednak oczywisty?

Wektorów jest tu kilka, ale są one podobne. Na zachodzie Europy muzułmanie pną się w strukturach państwowych i zaczynają oddziaływać na kraje UE w sposób polityczny. Co jest na końcu takiej działalności? Szariat. Tu nie ma innej opcji i stąd tytuł mojej książki. W czasie wojny z terrorem nie wiedzieliśmy jeszcze do końca, o co chodziło islamistom prowadzącym dżihad, bo Al-Kaida nie budowała „swojego" państwa. Ale gdy na terytorium Syrii i Iraku powstało Państwo Islamskie, zrozumieliśmy, o co toczy się gra. W PI chrześcijanie musieli płacić specjalny podatek nazywany dżizją, dochodziło do niewolnictwa seksualnego – im młodsza była dziewczynka, tym więcej za nią płacono. Radykałowie z Europy pojechali tam budować ich wymarzony kalifat. Od tego momentu nie mówimy już o czymś abstrakcyjnym, tylko o konkretnym projekcie. Niech nikt nie ma złudzeń, że radykalne organizacje islamistyczne działające w Europie chcą budować jakiś bardziej liberalny twór. Nic z tych rzeczy – chodzi właśnie o coś na kształt PI. Tacy ludzie chcą wprowadzać w życie polityczne przepisy z Koranu czy z hadisów.

A może kolejne pokolenie europejskich muzułmanów w końcu przekona się do liberalnej demokracji?

Nic na to nie wskazuje. Badania pokazują wręcz, że pierwsze pokolenia muzułmanów w Europie były mniej radykalne. Kolejne generacje jeszcze bardziej zamykają się w swoim świecie. Dzielnice imigranckie zamieniają się w getta i tworzy się tam społeczeństwo równoległe. Na Bliskim Wschodzie nikt nie podniesie głosu na policjanta. Jak to wygląda w państwach zachodniej Europy, wszyscy możemy zobaczyć na wielu nagraniach z tamtejszych ulic. Niestety, słabość instytucji zachęca radykałów do przekraczania kolejnych granic. Nie widać też konkretnej wizji politycznej, co z tym problemem zrobić. W niektórych przypadkach europejscy politycy działają wręcz w drugą stronę, by muzułmańscy wyborcy głosowali na ich partię.

MICHAŁ BRUSZEWSKI „EUROKALIFAT" ZONA ZERO 2026

Bardzo jaskrawym przykładem jest tu lider francuskiej skrajnej lewicy Jean-Luc Mélenchon, który wprost zabiega o głosy muzułmanów.

Nie on jeden. Przecież brytyjska Partia Pracy również chce reprezentować interesy tych wyborców. To bardzo ciekawy paradoks, który ma już dłuższą historię. Przypomnę, że w 1979 r., przy okazji rewolucji islamskiej w Iranie, tamtejsze środowiska lewicowe zawiązały sojusz z islamistami, by obalić szacha. Po wszystkim islamiści zniszczyli swoich sojuszników, a ich niedobitki musiały uciekać za granicę. Ten flirt polityczny wydaje się absurdalny, ale – jak widać – niektórzy politycy nie uczą się na błędach innych.

Czy w takim razie Europa skazana jest na eurokalifat?

Nic nie jest przesądzone, ale musimy sobie zdawać sprawę ze skali wyzwań. W książce opisałem ostatnią dekadę i to, jak nasz kontynent zmienił się od czasu kryzysu migracyjnego z 2015 r. Obawiam się, że nie mam tu dobrych wieści. Nie widać poprawy, a wręcz jest coraz gorzej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Michał Bruszewski jest reporterem wojennym, ekspertem do spraw bezpieczeństwa, autorem książki „Eurokalifat. Dżihad, gangi i islamizacja Europy".

eprasa.pl d22c75f697

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl d22c75f697

FOT. ADOBE STOCK

Dług kosmiczny

Łukasz Warzecha

Naprawa finansów publicznych w Polsce powinna być jednym z naczelnych tematów publicznej dyskusji, podczas gdy ten temat znajduje się na dalszym planie. Może to wynikać z faktu, że w sprawie rujnowania finansów w sposób perwersyjny współpracują poprzednia i obecna władza

Deficyt budżetowy na cały rok zaplanowany na niebotyczne 271 mld zł (i tak o kilka miliardów lepiej niż w 2025 r.) do lutego 2026 r. został wykonany w 17,8 proc. – 48,5 mld zł. Gdyby uznać to za wartość średnią, stałoby się jasne, że nie zmieścimy się w zaplanowanym wymiarze i przekroczymy na koniec roku 290 mld zł. Nadzieja w tym, że deficyt nie rośnie w ciągu roku równomiernie.

Dla porządku przypomnijmy, że deficyt to różnica pomiędzy dochodami budżetu i jego wydatkami w danym roku, a dług publiczny to pieniądze, które pożyczają, głównie w formie obligacji, budżet centralny i budżety samorządowe, a jeśli liczyć rzetelnie – to w ogóle wszystkie instytucje publiczne. Dług publiczny jest zatem konsekwencją tworzenia kolejnych budżetów z deficytem. W statystykach ekonomicznych zwykle przedstawia się dług publiczny w relacji do PKB, ale trzeba pamiętać, że oznacza to, iż ta relacja może się zmienić radykalnie na niekorzyść, jeśli wzrost gospodarczy wyhamuje.

Dług publiczny przekracza dzisiaj 2,43 bln zł. Na koniec ubiegłego roku liczony w całości jako zadłużenie sektora instytucji rządowych i samorządowych, sięgnął niemal granicy konstytucyjnego progu zadłużenia w relacji do PKB i wyniósł 59,97 proc. Gdyby liczyć go w ten sposób, za moment stanęlibyśmy w obliczu art. 216 konstytucji, który zakazuje zadłużania państwa w stopniu przekraczającym trzy piąte PKB. Ustawa o finansach publicznych przewiduje również próg ostrożnościowy między 55 a 60 proc. zadłużenia do PKB. Po przekroczeniu jego dolnej granicy konieczne jest uchwalenie budżetu bez deficytu albo takiego, który zapewni, że zadłużenie zacznie się na koniec roku w relacji do PKB zmniejszać.

Jak to zatem możliwe, że nie zostały jeszcze uruchomione restrykcyjne mechanizmy ze wspomnianej ustawy? Rząd korzysta z tego samego triku od lat: część zadłużenia nie jest do niego wliczana, bo zapisuje się ją jako zadłużenie funduszy (takich jak np. fundusz covidowy, ustanowiony za PiS), choć faktycznie jest to dług publiczny. Pozwala na to konstytucja, która stwierdza, że sposób obliczania długu publicznego określa ustawa. Dlatego formalnie relacja długu do PKB wynosi ok. 48 proc., więc wyraźnie poniżej progu ostrożnościowego. Dlatego też chcąc wiedzieć, jak naprawdę jesteśmy zadłużeni, powinniśmy patrzeć na bardziej restrykcyjne dane unijne (EDP).

NAJGORSZA SYTUACJA OD LAT

Mistrzem w wypychaniu zadłużenia poza budżet, czyli również poza kontrolę parlamentu, był rząd PiS. Koalicja Obywatelska w trakcie kampanii wyborczej zapowiadała, że z tym skończy, ale zrealizowała tę obietnicę w bardzo ograniczonym stopniu. Nadal poza budżetem jest jedna piąta długu publicznego, czyli ok. 420 mld zł.

Jedno nie budzi wątpliwości: polskie finanse publiczne są dzisiaj w sytuacji naj-

eprasa.pl d22c75f697

gorszej od lat. Dług publiczny w liczbach bezwzględnych rośnie od 2001 r. – z małymi wyjątkami. Zmniejszył się minimalnie między 2013 a 2014 r. z 931 mld zł do 874 mld zł, w roku 2017 zaś był o 3 mld zł niższy niż rok wcześniej (ale przekraczał już wtedy bilion). W 2023 r., gdy PiS oddawał władzę, zadłużenie Polski wynosiło 1,691 bln zł. To znaczy, że do dzisiaj wzrosło o ponad 700 mld zł. To więcej, niż wynosi cały roczny budżet naszego państwa (ponad 630 mld zł).

Polska została objęta unijną procedurą nadmiernego deficytu w 2024 r. po raz trzeci w historii naszej obecności w UE. Wcześniej miało to miejsce w latach 2004 i 2009. Unijne przepisy, w tym traktat fiskalny z 2012 r., tworzą dwa progi, z których jeden odpowiada temu zawartemu w polskiej konstytucji. Czytamy zatem: „Jeżeli dług sektora instytucji rządowych i samorządowych Umawiającej się Strony w stosunku do jej produktu krajowego brutto przekracza wartość odniesienia wynoszącą 60 proc. […], ta Umawiająca się Strona zmniejsza go w tempie wynoszącym średnio jedną dwudziestą rocznie".

Z kolei traktat o funkcjonowaniu Unii Europejskiej mówi o konieczności unikania nadmiernego deficytu, a protokół 12. określa konkretnie wysokość progu na 3 proc. PKB w cenach rynkowych. Deficyt realizowany w ostatnim roku rządów PiS, a sięgający wówczas ok. 80 mld zł, czyli 5,1 proc. PKB, dał Komisji Europejskiej prawo do objęcia Polski tą właśnie procedurą w roku kolejnym. Nie jesteśmy sami – ta procedura dotyczy obecnie w sumie aż 10 państw członkowskich. Najnowszym krajem na liście jest Austria, która znalazła się tam na początku tego roku. Inne państwa to Rumunia, Belgia, Francja, Słowacja, Malta, Węgry, Włochy i Finlandia. Objęcie procedurą nadmiernego deficytu oznacza, że państwu zostaje wyznaczony termin naprawy oraz że musi ono konsultować z Komisją Europejską i sygnalizować jej na bieżąco podejmowane przez siebie działania, które mogą mieć wpływ na osiągnięcie celu. Polska dostała termin do 2028 r. Najgorsza jest sytuacja Rumunii, która w procedurze jest od 2020 r., a termin naprawy wyznaczony jest dopiero na 2030 r.

Rząd doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jesteśmy finansowo na krawędzi. Najbardziej spektakularnym tego przykładem jest sytuacja w służbie zdrowia. Natychmiastowo sytuację mogłyby polepszyć znaczące cięcia w wydatkach, ale tego nikt nie chce zrobić. Tymczasem jest kilka pozycji, które do kolumny „winien" wprowadził PiS, a obecna koalicja nie ma ochoty ich ruszać, bo oznaczałoby to danie przeciwnikowi amunicji i ogromne ryzyko polityczne. To takie wydatki jak „800+" w niezmienionej, arcyhojnej postaci – ponad 60 mld zł rocznie; 13. i 14. emerytury – ok. 33 mld zł, czyli już tylko te dwa świadczenia to blisko jedna szósta rocznych przychodów budżetowych.

Poziom wydatków socjalnych w Polsce do PKB jest zatrważający. To w sumie ponad 22 proc. PKB. Nie jest to poziom najwyższy w UE, są kraje, gdzie jest on wyższy. Na przykład w Finlandii to ponad 32 proc., a we Francji prawie 32 proc. (dane Eurostatu za 2024 r.). Jest też jednak wiele państw o znacznie mniej rozdętym socjalu: Irlandia (12,4 proc.) czy Węgry (16,6 proc.). Gdy jednak spojrzeć jedynie na pieniężne transfery socjalne, Polska okazuje się niechlubnym liderem. W 2025 r. te nakłady wyniosły ok. 17,5 proc. PKB, a więc o 3 punkty procentowe więcej niż średnia dla całej UE.

ZALEŻNOŚĆ POLAKÓW OD PAŃSTWA

Potężnym problemem są także w ogóle wydatki publiczne, a te są w Polsce gigantyczne. W ubiegłym roku wyniosły ponad 50 proc. PKB. Oznacza to, że zamiast stawiać na przedsiębiorczość obywateli, państwo niejako napędza się samo, wzmacniając zależność Polaków od swoich wydatków.

Wiele osób zadaje sobie pytanie, co właściwie takiego się stało z finansami publicznymi w Polsce. Serwowane przez polityków PiS wyjaśnienie – że to jakaś nieudolność czy nawet celowy sabotaż obecnej władzy – już na pierwszy rzut oka jest zdecydowanie zbyt proste. Można oczywiście zastanawiać się nad kwestią ściągalności danin, ale to nie wyjaśnia tak radykalnego pogorszenia sytuacji.

Przedstawiciele obozu władzy często mówią o konieczności zwiększenia wydatków na obronność, co częściowo wynika z czynnika całkowicie obiektywnego – wojny na Ukrainie – a częściowo z decyzji poprzedniej władzy o przekazaniu Kijowowi ogromnych ilości polskiego uzbrojenia, co sprawiło, że zamiast zastępować je nowym w bardziej umiarkowanym tempie, jesteśmy zmuszeni skokowo zwiększyć wydatki na nowy sprzęt. Jak jednak zauważyli autorzy raportu „Budżetowy SOS. Jak wyprowadzić finanse publiczne na prostą w ciągu 3 lat. Diagnoza, narzędzia, plan działania", wydanego w styczniu wspólnie przez Warsaw Enterprise Institute i Forum Obywatelskiego Rozwoju, zbrojenia odpowiadają tylko za 25 proc. wzrostu wydatków publicznych w okresie 2022–2025, podczas gdy transfery socjalne aż za 40 proc. Można by złośliwie stwierdzić, że mimo wojowniczej retoryki Polska wciąż wyraźnie stawia na socjal, a nie na bezpieczeństwo.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, naprawa finansów publicznych – czy, jak to się fachowo nazywa, konsolidacja – powinna być jednym z naczelnych tematów publicznej dyskusji, podczas gdy ten temat znajduje się na dalszym planie. Może to wynikać z faktu, że w sprawie rujnowania finansów w sposób perwersyjny współpracują poprzednia i obecna władza. Przez lata Polska funkcjonowała na podstawie paradygmatu, który w uproszczeniu można by nazwać liberalnym, a który wywodził się z założeń przyjętych jeszcze na początku lat 90. i mógł być obrazowo kojarzony z Leszkiem Balcerowiczem (bardziej jako symbolem niż autorem przyjętego programu). Tak naprawdę nie był to jednak paradygmat jakiegoś dzikiego liberalizmu, ale po prostu podejście z klasycznej ekonomii, którego jednym z podstawowych założeń jest, że państwo musi prowadzić swoją gospodarkę finansową w taki sposób, żeby nie popaść w nadmierne zadłużenie.

CZY MOŻNA ZBANKRUTOWAĆ WE WŁASNEJ WALUCIE?

Oficjalnie ten paradygmat został zarzucony w okresie kierowania rządem przez Mateusza Morawieckiego, który zaczął mamić publiczność i kierownictwo swojej partii „odkryciami" z dziedziny nowoczesnej teorii monetarnej (MMT – Modern Monetary Theory), nawet jeśli nie mówił tego wprost. Jednym z najważniejszych postulatów MMT jest twierdzenie, że państwo nie może zbankrutować w swojej suwerennej walucie, a to oznacza, iż nie trzeba się przejmować rosnącym zadłużeniem.

eprasa.pl d22c75f697

Jako dowód na rzekomą nieszkodliwość wysokiego poziomu długu publicznego wskazuje się, że polski poziom zadłużenia – mierzony jako relacja do PKB – nie jest wcale rekordowy. W niektórych państwach świata jest wielokrotnie wyższy, np. w Japonii w 2024 r. było to blisko 240 proc., w Grecji zaś – 154 proc. Czy są to jednak przykłady do naśladowania? Japonia jest krajem rozwiniętym, ale zarazem ledwo się rozwijającym – choć oczywiście nie znaczy to, że wysoki poziom długu publicznego jest tego jedyną i naczelną przyczyną (istnieje tu poza tym sprzężenie zwrotne). W XXI w. tylko raz – w 2010 r. – Japonia zanotowała rozwój na poziomie wyższym niż ok. 2 proc. – było to 4,1 proc. Aż czterokrotnie odnotowywano tam w tym okresie recesję, w tym jedną bardzo głęboką – -5,7 proc. w 2009 r. (co tłumaczy odbicie rok do roku w kolejnych 12 miesiącach). Grecja z kolei od 2009 do 2013 r. tkwiła w recesji, wracając do tego stanu w roku 2020 – wtedy PKB skurczył się o 9,2 proc. Niewiele mniej niż w roku 2011 (-9,9 proc.).

Zapytałem Mikołaja Pisarskiego, byłego prezesa Instytutu im. Ludwiga von Misesa, o tezę MMT dotyczącą niemożności bankructwa państwa w suwerennej walucie. – Przy bardzo wąskiej definicji bankructwa formalnie prawdą jest, że państwo nie może zbankrutować we własnej walucie – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Mikołaj Pisarski. – Faktycznie, zawsze możemy wygenerować w banku centralnym odpowiednią liczbę zer po jedynce, żeby zobowiązania spłacić – dodaje. Tyle że – jak wyjaśnia Mikołaj Pisarski – jest to prawdziwe jedynie w ramach zamkniętego układu księgowego. Bankructwa na długu wewnętrznym i zewnętrznym, jak pokazują analizy Europejskiego Banku Centralnego, stały się w ostatnich latach częstsze i są realnie kosztowne dla gospodarek. Kosztem rosnącego długu będzie też oczywiście inflacja, która przecież musi stanowić granicę dla ekspansji kredytowej. Ale gdzie ta granica, zdaniem zwolenników MMT, jest? Nie ma odpowiedzi – wskazuje Mikołaj Pisarski. I dodaje, że choć w teorii państwo może odwlekać w nieskończoność swoje bankructwo z powodu nadmiernego zadłużenia, to realne koszty rosną w pewnym momencie tak dramatycznie, że w końcu państwa decydują się na przeprowadzenie operacji restrukturyzacji swojego długu. Czyli kontrolowanego bankructwa.

Dług publiczny jest konsekwencją tworzenia kolejnych budżetów z deficytem

Można oczywiście uznać, że ostrzeżenia są zdecydowanie zbyt wczesne, bo poziom zadłużenia do PKB w Polsce nie jest na razie groźny. Tyle że, jeśli przyjąć optykę Mateusza Morawieckiego – obecna władza właściwie nie odwołuje się do żadnych ekonomicznych teorii czy poglądów, odmiennie niż były premier – nie istnieje żaden próg ostrożnościowy. Skoro faktycznie możemy się bezpiecznie zadłużyć w relacji 60 proc. do PKB, to właściwie dlaczego nie w relacji 120 proc. albo i 200 proc.?

Tymczasem rosnące zadłużenie niesie ze sobą ryzyko nagłego i niekontrolowanego zwiększenia obciążenia, jakie stanowi dla państwa. Część długu to dług wewnętrzny – czyli państwo winne jest pieniądze swoim obywatelom – ale część, a dokładnie minimalnie powyżej 20 proc. zadłużenia (403 mld zł), to dług w walutach obcych.

– Podstawowy problem polega na tym, że rentowność tej części naszego zadłużenia jest poza naszą kontrolą i wynika z naszego położenia na mapie, czyli z czynników geopolitycznych – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy" Mikołaj Pisarski. – Nie mamy wpływu na to, jak rynek zacznie wyceniać premię za ryzyko np. w wypadku eskalacji rosyjskiej agresji. Kryzys finansów publicznych stał się w ten sposób kryzysem bezpieczeństwa. Tymczasem Polska nie zrobiła nic, żeby bezpieczeństwo w tym aspekcie zwiększyć.

Pisarski zwraca także uwagę, że przeznaczanie zadłużenia przede wszystkim na transfery pieniężne jest najgorszym sposobem na napędzanie rozwoju, bo ten sposób wydawania pieniędzy ma najniższy mnożnik fiskalny. Inaczej mówiąc, badania pokazują, że jedna złotówka wydana w ten sposób zwraca się w najmniejszym stopniu w postaci PKB w stosunku do innych sposobów wydawania pieniędzy publicznych.

Najbardziej widocznym skutkiem fatalnego stanu finansów publicznych jest rozpaczliwe poszukiwanie przez państwo kolejnych źródeł dochodu. Skoro bowiem władza nie kwapi się, aby ścinać wydatki, to musi grzebać przy stronie dochodowej. Że grzebie, to widać gołym okiem. Na przykład reforma Państwowej Inspekcji Pracy, podpisana niestety ostatnio przez prezydenta, oznacza akcję przymuszania do przechodzenia na umowy o pracę, które z kolei – odmiennie niż umowy-zlecenia – wymuszają pełne oskładkowanie, także gdy idzie o składkę zdrowotną. Skarbówka realizuje zalecenie, aby drobiazgowo przyglądać się wszystkim miejscom, gdzie można znaleźć pieniądze – stąd akcja lustrowania twórców internetowych i niekorzystna dla podatników zmiana interpretacji dotyczącej przekazywanych przez odbiorców darowizn. Stąd próby radykalnego podwyższenia, niezgodnie z ustaleniami poczynionymi jeszcze za PiS, akcyzy na wyroby tytoniowe i alkohol. To pierwsze się zresztą udało dzięki podpisowi złożonemu pod koniec 2024 r. przez byłego prezydenta Andrzeja Dudę. Być może prezydent, jak sam tłumaczył w jednym z programów już po odejściu z urzędu, miał poczucie, że i tak za dużo wetował.

***

Opowiem historię o długu publicznym,
Nazwijmy go dziś długiem kosmicznym.
Można wysłać – nie, to nie farsa –
Za te pieniądze Polaka na Marsa [...].
Gdy gram na basie, myślę, jak Polska zadłuża się.
Jak rząd bezkarnie okrada ciebie, mnie i dziecko sąsiada.
Gdy walę w kontrabas, to tak się wk....am na was,
Hołoto zwana rządem – niech bas razi was prądem!

Tak śpiewał 15 lat temu DJ Funky Koval. Jego „Piosenkę o długu publicznym" można nadal znaleźć na YouTube. W czasie gdy powstawał ten utwór, nasz dług publiczny nominalnie był ok. trzech razy niższy niż obecnie – wynosił niespełna 750 mld zł i 51,9 proc. w relacji do PKB (według polskiej metodologii). DJ Funky Koval nie jest niestety aktywny od dawna. Szkoda, bo czas na skomponowanie nowej wersji utworu. Tyle że tym razem trzeba by użyć znacznie mocniejszych słów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Da się jeszcze wrócić do węgla?

Jak wiadomo, władze Polski za czasów rządów Morawieckiego – w ślad za żądaniami Brukseli – przesądziły o wygaszeniu całego polskiego górnictwa, czyli zamknięciu wszystkich, co do jednej, kopalni węgla – najpóźniej do roku 2049. Przewiduje to podpisana w maju 2021 r. przez rząd i związki zawodowe umowa społeczna, wprowadzająca bardzo daleko idące osłony socjalne dla pracowników likwidowanych kopalni.

I, co ze wszech miar logiczne, przyspieszeniu w ten sposób procesu wygaszania polskiego górnictwa zaczęło wówczas towarzyszyć także przyspieszone wycofywanie się przez rząd Polski z energetyki opartej na węglu. Symbolem z kolei tej, także nabierającej tempa reorientacji było zburzenie dwóch ogromnych pylonów, które miały stanowić element węglowego bloku C elektrowni w Ostrołęce i zmiana koncepcji, sprowadzająca się do zastąpienia go zaplanowanym w tym samym miejscu blokiem gazowym.

Co nie zmienia postaci rzeczy, że ani na inwestycje w kopalnie węgla i w elektrownie na węgiel (oraz ciepłownie na węgiel), ani nawet w modernizowanie już istniejących już od wielu lat nie wydaje się znaczących pieniędzy, zapewne dlatego, „żeby ich w ten sposób nie marnować" – w oczekiwaniu na wykonanie ostatecznego wyroku na jednych i drugich (i trzecich) przez tzw. Zielony Ład.

A, niestety, idące falami – przy okazji kryzysów, czyli a to „pandemii" (COVID-19), a to wojny (a to na Ukrainie, a to w Iranie) – wielkie podwyżki cen gazu, niczego nie potrafiły nas nauczyć – a choćby tego, że trudno polegać na energii, do której pozyskania paliwo musimy sprowadzić spoza Polski, czasami z bardzo daleka. Podobnie zresztą jak nie potrafimy wyciągnąć właściwych wniosków z nagromadzonej już sporej wiedzy na temat sposobu funkcjonowania OZE, czyli farm fotowoltaicznych i wiatrowych, które nie są w stanie zapewnić potrzebnej nam ilości energii nieprzerwanie przez 12 miesięcy w roku (latem, jesienią, wiosną i zimą) i przez całą dobę (a więc w dzień i w nocy).

No ale załóżmy, że któregoś dnia rządzący Polską politycy wreszcie pojmą, że bez własnego prądu z własnych elektrowni, zasilanych węglem z własnych kopalń, Polska nie ma jednak bezpiecznej i pewnej przyszłości. Czy wtedy będzie jeszcze jak te kopalnie i elektrownie odbudować i uruchomić? Czy będzie miał kto to zrobić? Innymi słowy: czy np. po 2049 r., jeśliby przebudzenie „po OZE-sroze" nadeszło dopiero wtedy, Polska będzie jeszcze w stanie wrócić do własnej energetyki opartej na własnym węglu?

Zwłaszcza pozyskiwanym – a to nie udało się także przez całą III RP – przez górnictwo wysoko wydajne, a więc prywatne? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Prezydent na pasku Solidarności

Pełną odpowiedzialność za kształt tej ustawy ponosi oczywiście rząd. Zarówno za sposób jej przygotowania, jak i za zobowiązania wynikające z KPO, które znacząco zawęziły pole wyboru" – tak tłumaczył prezydent Nawrocki, dlaczego podpisał fatalną, a nawet bolszewicką ustawę, radykalnie zwiększającą kompetencje Państwowej Inspekcji Pracy. Prezydent nie wspomniał jednak, który rząd tę odpowiedzialność ponosi w przypadku zobowiązań wynikających z KPO. Zatem pozwolę sobie uzupełnić tę niewątpliwie przypadkową lukę: chodzi o rząd Mateusza Morawieckiego. To bowiem on odpowiadał za kształt aneksu do KPO, zawierającego kamienie milowe i warunki, od których uzależniona jest wypłata pieniędzy w każdej z 18 transz programu. Przypominam: programu w całości opartego na kredycie, który jako UE musimy spłacać.

Kamień milowy A71G mówi o zapobieganiu fragmentacji rynku pracy. Rząd PiS chciał to początkowo osiągnąć poprzez rozwiązanie jeszcze gorsze niż wzmocnienie PIP: jednakowe oskładkowanie każdego typu umowy. Na szczęście nie zdążył.

Obecny rząd wysmażył za to reformę, której głównym celem jest masowe zamienianie umów cywilnoprawnych na umowy o pracę w celu fiskalnym. Te ostatnie bowiem są obowiązkowo oskładkowane w pełnym wymiarze, także gdy idzie o składkę zdrowotną.

Karol Nawrocki powtarza lewicowe banialuki, bezkrytycznie przyjmuje retorykę partii Razem

Uzasadnienie, które przedstawił prezydent, jest wstrząsające, bo pokazuje, że Karol Nawrocki powtarza słowo w słowo etatystyczne, lewicowe banialuki, przyjmując bezkrytycznie retorykę już nawet nie PiS, ale partii Razem. Dowodzi tego już choćby nazywanie umów cywilnoprawnych – legalnego, pełnoprawnego rodzaju kontraktu pomiędzy pracodawcą a pracobiorcą – „umowami śmieciowymi". Głowa państwa w żadnym wypadku nie powinna stosować takich propagandowych chwytów. Wiele jednak wyjaśnia fakt, że Nawrocki odwołuje się dwukrotnie do opinii Solidarności. Sprawia to wrażenie, jakby nad prezydentem stał jeszcze nadprezydent Duda, z tym że nie Andrzej, ale Piotr – wieczny przewodniczący związku zawodowego. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

Wojciech Pokora jako gosposia w komedii „Poszukiwany, poszukiwana”
FOT. POLFILM/EAST NEWS

Kobieta z brodą

Joanna Bojańczyk

Stereotyp płci, zdawałoby się, najbardziej niepodważalny i najtrudniejszy do obalenia zaczyna się chwiać. Erozja ról męskich i żeńskich trwa od 30 lat. I z każdym rokiem jest silniejsza

Wojciech Pokora jako gosposia rozśmieszał w komedii „Poszukiwany, poszukiwana”, Dustin Hoffman uwodził w „Tootsie” jako aktor, który przyjmuje kobiecą rolę, by zdobyć pracę. Komedie z zamianą ról męskich na żeńskie (i odwrotnie) od czasów Szekspira były niezawodnym sposobem na sukces. Miały nieodpartą siłę rozśmieszania. On czy ona, zabawa trwa, a na końcu wszystko wraca do odwiecznego porządku: mężczyzna jest mężczyzną, kobieta kobietą. Rewolucji nie ma.

Dzisiaj teren stał się grząski. Żarty z płci stały się podejrzane i niebezpieczne. Hunwejbini progresizmu czuwają – dla nich płeć to nie fakt biologiczny, tylko to, co czujesz. Ideologia gender pomieszała szyki: wtrąciły się uniwersytety, nakazano zmieniać słownictwo, wprowadzono nowe rubryki w formularzach i toalety dla tych, którzy utożsamiają się z zaimkiem Ono. Zaczęła się fala tranzycji zagubionych nastolatków, którzy uznali, że wszystkie ich problemy biorą się z tego, że źle się czują w swoim ciele.

Rozmawiając z urzędniczką w okienku, mając przed sobą osobę długowłosą, o delikatnych rysach i łagodnym spojrzeniu, nie wiedziałam, czy zwrócić się per pani czy per pan, dopóty, dopóki osoba w okienku nie odezwała się głębokim barytonem. Zagadka się rozwiązała.

Ostatnia dekada wywróciła wszystko do góry nogami, nie tylko dekretując ileś tam możliwych płci, wprowadzając nowe rubryki w formularzach i trzeci rodzaj toalet. Przede wszystkim wprowadzając poczucie niepewności co do faktów biologicznych, które dotychczas wydawały się niepodważalne. – Czy mężczyzna może urodzić dziecko? – spytał Krzysztof Stanowski posłankę Lewicy, Annę Marię Żukowską (znaną również jako Anna Maria Wanna, dzięki scenie z kąpieli, która omyłkowo trafiła do sieci). Odpowiedź posłanki: mężczyzna transpłciowy (czyli osoba, której przypisano płeć żeńską przy urodzeniu, ale identyfikuje się jako mężczyzna) może zajść w ciążę i urodzić

eprasa.pl d22c75f697

dziecko, „zdarzają się takie sytuacje, że biologiczny mężczyzna rodzi dziecko".

Czasy dla osób trans mamy tolerancyjne. To zmiana, i to na lepsze, bo ponad dekadę temu te sprawy budziły zaciekawienie, ale traktowano je jak osobliwość przyrodniczą: coś w rodzaju kobiety z brodą. W roku 2008 brazylijska transseksualistka Lea T, urodzona jako mężczyzna Leandro Cerezo, zaczynała karierę modelki w wieku 17 lat. Od razu została zaproszona przez dyrektora artystycznego Givenchy Riccarda Tisciego do kampanii reklamowej tej marki. Wtedy zaczęła otwarcie mówić o swoim ciele. Temat okazał się na tyle pociągający dla mediów, że dziewczyna od razu otrzymała 400 próśb o wywiady. „Kiedy jesteś transseksualistką, nie widzisz dla siebie przyszłości" – poskarżyła się dziennikowi „New York Times". „Ja chcę dać sygnał innym, takim jak ja, że jest szansa".

MĘSKI FEMINIZM

Dzisiaj mówi się o kryzysie męskości, ale przecież erozja ról męskich i żeńskich trwa od 30 lat. Nie trzeba badań psycho- i socjologicznych, wystarczy popatrzeć na ewolucję stylu.

Zmiękczenie stylu męskiego, jego fuzja z damskim zaczęły się w połowie lat 90. Wtedy nowym zjawiskiem na mapie społecznej Zachodu stali się mężczyźni metroseksualni. Miejscy single, nie geje, lecz hetero, używający kosmetyków, dbający o urodę, modnie ubrani. Na nich nastawiali się handlowcy, dla nich męskie linie uruchomiła większość firm kosmetycznych. Zjawisko po jakimś czasie spowszedniało i wtopiło się w obyczajowość. Ale metroseksualni stali się kamieniem, który uwolnił lawinę: feminizację męskiej mody. Przez ostatnią dekadę mężczyzna wyjął koszulę na wierzch, zrzucił krawat, zaczął nosić T-shirt do marynarki, odważył się na różowe koszule, klapki japonki, biżuterię...

Jeśli na chwilę pominiemy biologiczne aspekty zjawiska, to w powszechnym odczuciu różnica płci w najbardziej oczywisty sposób wyraża się ubiorem. Dwudziesty wiek zmienił to, co zapisała historyczna ikonografia stroju: podział na ubiór męski i kobiecy. Fotografie z lat 60. XX w. pokazują ostatnie lata tego niezachwianego porządku. Kobiety w sukienkach, szpilki na nogach, na głowie tapir, panowie w garniturach o różnym fasonie i stopniu zużycia, ale są krawaty i sznurowane solidne buty.

Rewolucje młodzieżowe końca lat 60., które przeszły przez całą cywilizację zachodnią, wywróciły hierarchie, zachwiały wartościami estetycznymi. Wszystko się zakotłowało i pomieszało. W modzie, czy raczej w ubiorze, nigdy już nie wróciło do punktu wyjścia.

Dzisiaj, gdy staniemy przed szkołą, zobaczymy tłum identycznie wyglądających nastolatków: bluzy z kapturem, szerokie spodnie, adidasy, długie włosy. Chłopiec czy dziewczyna, nie wiadomo. Trzeba przyjrzeć się z bliska i rozstrzygnąć.

CHŁOPCY MAKARONIARZE

Timothée Chalamet, gwiazda ostatnich lat, czyż to nie śliczna dziewczyna? Delikatne rysy, uwodzicielskie spojrzenie spod długich rzęs. Jego rówieśnicy chcą być jak on, a wielu uważa, że już się do niego upodobnili. 27 października w Nowym Jorku nowojorscy sobowtórzy Timothée Chalameta zebrali się pod łukiem w Washington Square Park, aby zorganizować gigantyczny konkurs na sobowtóra. Wydarzenie, szeroko komentowane na TikToku, zakończyło się niespodziewanym pojawieniem się samego Tymoteusza.

Który nie jest sam. W wielkiej rodzinie cherubinopodobnych mężczyzn on króluje, ale są też inni: irlandzki aktor Paul Mescal, Australijczyk Jacob Elordi, Amerykanin Dominic Sessa, Finn Wolfhard, a ostatnio Mark Eidelstein, którego wielu uważa za nowego Chalameta. To nowy podgatunek mężczyzny: noodle boy. Wąskie ramiona, brak owłosienia klatki piersiowej, dziecięcy wyraz twarzy.

Noodle Boys, wzmocnieni sławą, użyczają swojej miękkiej męskości dużym markom mody. Paul Mescal pojawił się w miniszortach w pierwszym rzędzie pokazu Gucciego, Jacob Elordi uosabia nową elegancję w najnowszej reklamie najbardziej kobiecych perfum: Chanel N°5.

To nic naprawdę nowego. W latach 90., długo po serii „Rocky" z napompowanym Sylvestrem Stallone'em, w kinie pojawiły się nowe, spokojniejsze męskie twarze o smuklejszych sylwetkach: od tragicznego Leonarda DiCaprio w „Titanicu" po enigmatycznego Johnny'ego Deppa w „Edwardzie Nożycorękim". Wyrzeźbione ciało już jest niepotrzebne lub może tylko nieobowiązkowe.

RODZAJ CZARNEJ WRAŻLIWOŚCI

Do tych nowych standardów męskości w Hollywood amerykański protrumpowski ruch MAGA odnosi się z pogardą, jako do mało męskich. Próbuje się znaleźć alternatywę, bo czarnoskórzy Amerykanie nie mieszczą się w konwencji chłopców makaronów.

„MAGA prezentuje agresywny, wojowniczy, drapieżny typ białej męskości" – mówi dziennikowi „NYT" Jeffrey McCune, profesor, kierownik Katedry Studiów Afroamerykańskich Uniwersytetu w Rochester. „W czasach inkluzywności wyłączanie czarnoskórej populacji jest niewybaczalne".

„Według prof. MacCune istnieje realne pragnienie czegoś innego niż ta „wojownicza i otwarcie drapieżna biała męskość" – mówią naukowcy z Rochester, w wywiadzie dla „The New York Times". Według nich bycie białym nie jest czynnikiem decydującym. Dwudziestodziewięcioletni czarnoskóry aktor Ashton Sanders doskonale uosabia na ekranie „pewien rodzaj czarnej wrażliwości".

Stereotyp płci, zdawałoby się najbardziej niepodważalny i najtrudniejszy do obalenia, zaczyna się chwiać. Kampanie reklamowe i magazyny mody testują odporność widza na podważanie „stereotypów". W ikonografii mody widać to najlepiej. Okładki pism, katalogi sieciowych sklepów zaludniają osobniki, których płeć trudno określić. Dziewczyny z krótkimi włosami, wąskimi biodrami, bez biustów oraz długowłosi chłopcy pozbawieni muskulatury i owłosienia na klatce piersiowej. Jedni i drudzy podobnie ubrani, o podobnym łagodnym i nieobecnym wyrazie twarzy.

Już w roku 1994 oglądając reklamę perfum CK One Calvina Kleina, miało się wrażenie, że mamy do czynienia z jedną tylko płcią. Potem na naszych oczach odbywała się dalsza konfuzja wyróżników i cech, które tradycyjnie definiowały role i ciało. Pojęcia „mężczyzna" i „kobieta" skrzyżowały się ze sobą. Zmodyfikowano tradycyjną rolę mężczyzny i kobiety. Słaba płeć? Nie, to obie płcie są słabe.

Tylko dlaczego kobiety skarżą się, że brakuje im silnej ręki, oparcia? „Gdzie ci mężczyźni, wspaniali tacy?" – jak śpiewała Danuta Rinn.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d22c75f697

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Koniec marzeń Witolda

W połowie drogi pomiędzy Krzemieńczukiem a miastem Dnipro, na wschodnim brzegu rzeki Dniepr, znajduje się ujście Worskli. Tutaj w 1399 r. rozegrała się bitwa, która choć bezpośrednio nie jest związana z dawną Rzeczpospolitą, to jej rezultat miał ogromny wpływ na powstanie państwa polsko-litewskiego. Było to starcie księcia Litwy Witolda Kiejstutowicza z armią władcy Złotej Ordy Temüra Kutługa i wspierającego go emira Edygeja. Było efektem polityki Litwina, który wykorzystując przejściowy spokój w walkach z Krzyżakami, zmierzał do podporządkowania sobie terenów państwa mongolskiego, trapionego okrutnymi walkami o władzę. W 1395 r. jego kolejny chan Tochtamysz został pobity przez Tamerlana, władcę Samarkandy i twórcę azjatyckiego imperium. Uciekł na Krym, władza zaś nad Złotą Ordą dostała się w ręce wspomnianego Temüra Kutługa. Tochtamysz zawarł układ sojuszniczy z księciem Witoldem, który zamierzał uczynić z Litwy największą potęgę na wschodzie Europy, zjednoczyć księstwa ruskie, podbijając nawet rosnącą w siłę Moskwę, zerwać unię polsko-litewską i wreszcie ogłosić się królem. „Pobijemy cara Temüra Kutługa, odbierzemy mu carstwo i posadzimy na tronie Tochtamysza, on zaś posadzi mnie na tronie całej Rusi" – powiedział. W lipcu 1399 r. zgromadził ogromną armię, w której skład wchodziły praktycznie wszystkie nacje Europy Wschodniej. Było więc ok. 10 tys. bojarów litewskich – podzielonych na hufce: wileński, połocki, briański i wołyński. Do tego dochodziły potężne posiłki polskie – 4 tys. rycerzy prowadzonych przez Spytka z Melsztyna, kasztelana krakowskiego i namiestnika podolskiego. Krzyżackie – oddział ok. 500 rycerzy z pocztami pod wodzą komtura Markwarda von Salzbach, a także mołdawskie – przyprowadzone przez lennika Polski, hospodara Stefana I. Towarzyszyło im ok. 15 tys. Tatarów wiernych Tochtamyszowi. Była to więc prawdziwa krucjata; Witold zebrał ok. 40 tys. ludzi, więcej niż w wojskach polsko-litewskich pod Grunwaldem.

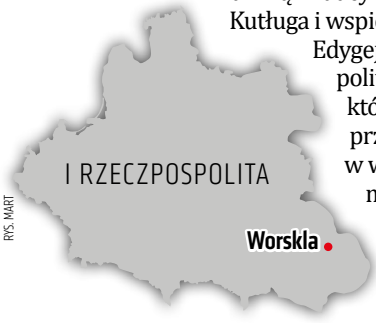

RYS. MART

Armia przeprawiła się przez Dniepr pod Kijowem, a następnie ruszyła na południowy wschód, rozbijając 9 sierpnia siedem obozów w zakolu rzeki Worskli. Miejsce starcia nie jest ustalone. Niektórzy historycy przyjmują, że stało się to u ujścia rzeki do Dniepru, ale wskazywano także inne lokalizacje – wzdłuż Worskli, aż do położonej na północnym wschodzie Połtawy. Albo dalej na północ – w okolicy grodziska Bilsk, gdzie znajdywano w przeszłości pozostałości pancerzy, zbroi i broni. Być może prawdziwe miejsce wskazuje znajdująca się pod wsią Lichaczewka „Witoldowa mogiła", jednak ostateczna lokalizacja nie jest pewna.

Przebieg bitwy nad Worsklą powinien stać się cenną lekcją walk z Tatarami, ponieważ później, w XVII w., wielokrotnie nasi dowódcy popełniali podobne błędy co Witold. Starcie wyglądało podobnie co bitwy pod Oryninem, Cecorą czy pod Piławcami. Siły sprzymierzonych rozbiły się bowiem na znacznej przestrzeni, tworząc siedem osobnych obozów. Tymczasem 11 sierpnia nadeszła ogromna armia Temüra Kutługa licząca nawet do 40 tys. ludzi. Tatarzy nie rozpalali ognisk, aby nie zdradzać położenia, rozpoczęli też pertraktacje, aby zyskać na czasie, gdyż do Worskli zbliżały się kolejne wojska dowodzone przez Edygeja – przysłanego na pomoc Kutługowi.

12 sierpnia sprzymierzeni ujrzeli całość sił tatarskich, które zaatakowały najpierw lewe skrzydło wojsk Witolda, potem jego centrum, na koniec zaś prawy róg sił litewsko-rusko-polskich, gdzie stał hufiec Spytka. Bitwa od razu rozpadła się na wiele nieskoordynowanych starć, część sprzymierzonych nie była jeszcze gotowa do walki, a Witoldowi nie udało się zapanować nad tak różnorodną armią. Jedyne, co pozostało, to ratować życie – książę zatem uciekł, pozostawiając sojuszników. W jego ślady poszedł Tochtamysz, wyprowadzając większość swoich ludzi, a także Mołdawianie, choć zginął ich wódz – hospodar Stefan I. Na polu bitwy pozostali broniący się zaciekle Rusini, Polacy i Krzyżacy. Kolejno ginęli dowodzący – Dymitr Wołyniec, Dymitr Briański Starszy, padł trafiony strzałą Spytek z Melsztyna. W sumie zabitych zostało ponad 20 kniaziów, jak Andrzej Garbaty z Połocka i Andrzej kniaź Drucki, kniaziowie Koriatowicze – Gleb i Semen czy Dymitr Olgierdowicz. Tatarzy ścigali uciekających ponoć aż do samych bram Kijowa.

Bitwa pokazała, że Litwa nie była w stanie podporządkować sobie spuścizny po Złotej Ordzie, wzmocniła też jej głównego konkurenta – Moskwę, która od tej pory rozpoczęła walkę o wydarcie jej kolejnych ziem dawnej Rusi. Przegrywające to starcie Wielkie Księstwo musiało zatem powrócić do współpracy z Królestwem Polskim, co ostatecznie doprowadziło do unii lubelskiej w 1569 r. ©℗

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl d22c75f697

NISSAN X-TRAIL E-POWER E-4ORCE

FOT. JAP.

Ten model od ćwierć wieku jest jednym z bestsellerów japońskiej marki. Debiutował w roku 2001 i od tego czasu został sprzedany w ponad 8 mln egzemplarzy. W tym roku do salonów wjedzie już model po liftingu, ale wciąż trwa jeszcze sprzedaż rocznika 2025, więc do testów wzięliśmy właśnie tę wersję.

Duch czasu oraz unijne rozporządzenia nakazały elektryfikację, więc Japończycy już do X-Traila przed liftingiem zamontowali napęd, który łączy zalety napędu spalinowego z elektrycznym. Mierzący niemal 4,7 m długości, solidny Nissan X-Trail e-POWER e-4ORCE to bowiem „elektryczny" SUV, którym normalnie zajeżdża się na stacje i błyskawicznie tankuje zwykłą benzynę. Pod maską pracuje trzycylindrowy, turbodoładowany silnik benzynowy 1.5 VC-T o mocy 158 KM. Nie napędza bezpośrednio kół, ale występuje w roli generatora energii do ładowania ukrytego w podłodze akumulatora (o pojemności brutto 2,1 kWh). Łączna moc maksymalna wynosi 213 KM. Prędkość maksymalna jest zaś ograniczona do 180 km/h.

Jak się jeździ SUV-em benzynowo-elektrycznym? Cicho, dynamicznie (reakcja na gaz jest natychmiastowa, a sprint od zera do 100 km/h zajmuje wersji z napędem na cztery koła zaledwie 7 s) oraz stosunkowo oszczędnie (średnie zużycie paliwa podczas wiosennego testu wyniosło 7,1 l/100 km). Po zjechaniu z asfaltu przydają się 19-centymetrowy prześwit, a także różne tryby jazdy (poza ekonomicznym, normalnym czy sportowym są też tryby dedykowane specjalnie jeździe off-roadowej lub podróży po zaśnieżonych szlakach). Gorzej, jeśli nagle trzeba wejść na bardzo wysokie obroty – przy dynamicznym przyspieszaniu na autostradzie trzycylindrowy silnik szybko przerywa błogą ciszę panującą we wnętrzu.

Bardzo dobre wrażenie robi wnętrze X-Traila. Kabina jest przestronna i przytulna. Na brak miejsca nie powinni narzekać podróżujący nie tylko z przodu, lecz także na tylnej kanapie (która ma m.in. regulowany kąt pochylenia oparć). W wersji Tekna materiały użyte do wykończenia są wysokiej jakości. Na wykończonej miękką skórą desce rozdzielczej dominuje wyświetlacz o przekątnej 12,3 cala. Do dyspozycji kierowcy są też cyfrowy kokpit (również o przekątnej 12,3 cala) oraz duży Head-Up Display (HUD). System multimedialny bez problemu łączy się z Android Auto oraz Apple CarPlay. Zaletą są też fizyczne przyciski, które ułatwiają obsługę najważniejszych funkcji (służą np. do ustawienia temperatury w klimatyzacji). Pojemność bagażnika w wersji pięcioosobowej wynosi 575 l pojemności, a w wariancie siedmioosobowym – 485 l.

Nissan X-Trail e-POWER z pięcioma miejscami oraz napędem na jedną oś (o mocy 204 KM) kosztuje w promocji 189,5 tys. zł. W wariancie e-4ORCE o mocy 213 KM w wersji N-Connecta to wydatek 199,5 tys. W najbardziej wypasionej opcji (Tekna) auto to kosztuje zaś 210,1 tys. zł. Jest też odmiana dla większych rodzin: ceny wersji siedmioosobowej wahają się od 204,5 tys. zł do 215,1 tys. zł. ©℗

ZTE G5 ULTRA (MC8512)

Szybki transfer danych w sieci 5G, trójpasmowe Wi-Fi 7, stabilne połączenie, minimalistyczny design oraz banalnie prosta obsługa to największe zalety flagowego routera chińskiej marki ZTE.

Stosunkowo niewielkie, białe urządzenie nadaje się do użytku w domu lub w małej firmie. To bowiem jeden z najszybszych dostępnych obecnie routerów na rynku. Według deklaracji producenta ZTE G5 Ultra umożliwia przesyłanie danych w sieci 5G z maksymalną przepustowością na poziomie 4,29 Gb/s podczas pobierania oraz 320 Mb/s podczas wysyłania danych. Podczas redakcyjnych testów przez brak odpowiedniej infrastruktury polskich operatorów do maksymalnych transferów nawet się nie zbliżyliśmy, ale pobieranie z prędkością ponad 800 Mb/s i wysyłanie z prędkością ponad 100 Mb/s wielokrotnie osiągnęliśmy bez problemu. Szybki transfer danych umożliwia technologia 4CC Carrier Aggregation. Innymi słowy: ZTE G5 Ultra pozwala na błyskawiczne ściąganie ogromnych ilości danych, prowadzenie wideokonferencji w wysokiej rozdzielczości czy też granie w zaawansowane tytuły niemal jak na złączu światłowodowym. Na pochwałę zasługuje również stabilność połączenia.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zaletą testowanego modelu jest także to, że ZTE G5 Ultra korzysta z technologii Wi-Fi 7 z transferami do 19000 Mb/s. Multi-Link Operaration (MLO) pozwala z kolei na wykorzystanie trzech częstotliwości jednocześnie (czyli 2,4 Ghz, 5 Ghz oraz 6 Ghz). Łącznie do routera można jednocześnie podłączyć do 384 urządzeń. Do dyspozycji użytkownika są również dwa 2,5-gigabitowe porty ethernetowe (WAN/LAN oraz LAN).

Co ważne, ZTE G5 Ultra jest banalnie prosty w obsłudze. Wystarczy włożyć kartę nanoSIM, podłączyć router do gniazdka, a następnie połączyć się z siecią wi-fi (przepisując hasło lub skanując kod QR). Testowany model obsługuje też szybkie parowanie za pomocą NFC – wystarczy zatem zbliżyć smartfon do urządzenia, by połączyć się z wi-fi (bez potrzeby wpisywania hasła).

Minusy? Chociaż układ MediaTek T830 jest wydajny, to brakuje mu wsparcia dla 5G-Advanced. Po drugie: zużycie prądu przy maksymalnym obciążeniu może wynosić teoretycznie 40 W (choć podczas testów nigdy nie było tak wysokie). Po trzecie: przydałby się jeszcze jeden port ethernet (dwa to za mało).

Cena: 1399 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl d22c75f697

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Mięso na zdrowie

Jest delikatna w smaku, soczysta i bardzo zdrowa. Oprócz witaminy B12 i białka zawiera także cynk i żelazo. A trzeba zaznaczyć, że żelazo zawarte w mięsie jest najłatwiej przyswajalną formą żelaza w diecie. Może dlatego odnotowujemy delikatny odwrót od wegetariańskich nawyków? Coraz częściej słyszy się o „byłych" wegetarianach, którzy z powodów zdrowotnych wprowadzają do diety mięso. Polacy spożywają zaledwie kilkadziesiąt dekagramów jagnięciny rocznie, a np. wieprzowiny – ok. 40 kg. A przecież mamy polską jagnięcinę, jagnięcinę podhalańską, która jest wpisana na listę produktów regionalnych, a jej nazwa jest zastrzeżona w Unii Europejskiej.

Polską jagnięcinę można kupić na targu albo w Internecie, jest kilka firm, które się tym zajmują. Jadłyśmy ostatnio jagnięcinę irlandzką i musimy przyznać, że była wybitna.

Comber jagnięcy upieczony został w całości i dopiero potem podzielony na kawałki, na których położono odrobinę ziołowego masła. Do tego purée ze słodkich ziemniaków, i to wszystko!

Pieczeń jagnięca z łopatki lub szynki

• ok. 1,5 kg mięsa • 2 lub 3 główki czosnku • kilka gałązek świeżego rozmarynu • 2–3 łyżki soli • 2 łyżki oleju • 250 ml bulionu (można rozpuścić w gorącej wodzie bulion w proszku, my używamy bulionu wegetariańskiego)

Mięso wyjąć wcześniej z lodówki, natrzeć solą, obłożyć tymiankiem i owinąć sznurkiem, tak by gałązki rozmarynu przylegały do mięsa. Główki czosnku przekroić na pół.

Do naczynia żaroodpornego włożyć mięso, wlać bulion, ułożyć czosnek, dołożyć rozmaryn i wstawić do piekarnika nagrzanego do 180 st. C. Piec przez ok. 2 godz. Nie można piec zbyt długo i w zbyt wysokiej temperaturze, bo mięso będzie przesuszone.

Można podać z pieczonymi ziemniakami lub z purée. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kraj spokojnej starości

Kupowanie mieszkań w Hiszpanii stało się ostatnio popularne, przynajmniej w pewnych kręgach. Bardziej ambitni wybierają Włochy, zamożniejsi Toskanię, gdzie – zdaje się – nie został już ani jeden rodowity Włoch. Przy czym mieszkania kupuje się albo jako inwestycję, albo jako dom wczasowy dla rodziny i znajomych, bo wiadomo, że nad naszym pięknym morzem można liczyć głównie na zimno i wiatr.

Ale są i tacy, którzy podążają w kierunku odwrotnym i na emeryturze zamierzają Europę Zachodnią zamienić na Wschodnią. Przestało to być niemożliwe, zważywszy nie tylko na koszt takiej inwestycji, lecz także koszty życia już na miejscu. Na liście krajów, które francuska gazeta „Le Figaro" poleca na emeryturę, znalazła się Polska. I to całkiem wysoko, na 13. miejscu.

Na pierwszych są – przewidywalnie – Grecja, potem Włochy, Hiszpania, Chorwacja. Wszędzie, gdzie ciepło, widać, że strach przed kryzysem energetycznym nas nie opuszcza. Tuż przed nami, na 12. – Wielka Brytania.

Ale – uwaga – Polska ma być dla uciekinierów bardziej atrakcyjna niż Szwecja, bo Szwedzi są za nami. Czy to przez wysokie koszty życia? Ja tam bym do nudnej Szwecji nie chciała, chociaż nieduża wysepka na Bałtyku, a na niej mały czerwony domek zachęcają…

W każdym razie przyjemnie dożyć czasu, kiedy mogą bez wstrętu osiedlać się u nas Francuzi. Tego jeszcze nie było, chyba że jakiś żołnierz napoleoński pozostał, zakochawszy się w niebieskookiej Marysi.

Osobiście nie noszę się z zamiarem wyniesienia z mojego zaścianka. Powodów jest wiele: rodzina, język, przyjaźnie, przeżyty tutaj kawał życia oraz – wybaczcie archaiczne słowo – patriotyzm. Lokalny, bo lubię spacerować po Lesie Kabackim, ale też pełnoskalowy – w Polsce się urodziłam i do tego kawałka planety się przyzwyczaiłam przez tę parę dziesiątków lat. Trudno mi sobie wyobrazić życie na emigracji, wprawdzie nie przymusowej, ale jednak.

Niemniej komuś, kto zaznał trudności życia PRL, przyjemnie dowiedzieć się, że Polska może być docelowym punktem na mapie życia dla przybyszy z (mitycznego) Zachodu. Najprzyjemniej z emeryckiej oferty krajów spokojnej starości wypada Hiszpania. Teoretycznie, bo przeprowadzka do bloczydła w Alicante, plaża, na której o kawałek piasku (ewentualnie kamieni) trzeba stoczyć walkę z Hansem i Helgą, którzy też tam kupili apartamencik – ta perspektywa nie zachęca.

I co tam w ogóle robić? Jak się przejeżdża przez Andaluzję i widzi te „luksusowe apartamentowce", które zbudowano pod wiaduktami autostrad, taki jest popyt – to człowiek ma ochotę pozostać w Grodzisku Mazowieckim. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

PIECZEŃ RZYMSKA

Powrót zarazy

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

W „latach ołowiu" (1969–80), jak mówią Włosi o terrorze Czerwonych Brygad i ultraprawicowców, w zamachach zginęło ponad 400 osób, zamordowany został premier Aldo Moro, a ponad tysiąc osób odniosło rany. Wydawałoby się, że te tragiczne mordy popełnione przez zaczadzonych ideologicznym bełkotem szaleńców będą nauczką dla następnych włoskich pokoleń, że anarchizm wylądował bezpowrotnie na śmietniku historii.

23 marca znów okazało się, że anarchizm jest wiecznie żywy, czego nie można powiedzieć o dwojgu zagorzałych wyznawcach. W wiejskim zapuszczonym domku na przedmieściach Rzymu Alessandro Mercogliano (57 l.) i Sara Ardizzone (36 l.) konstruowali bombę, która wybuchła im w rękach. Miała eksplodować kilka dni później, zabijając policjantów na posterunku w Rzymie w dzielnicy Tuscolana. Wszystko zatem wskazuje na to, że para anarchistów zamiast studiować Proudhona, Bakunina czy Kropotkina, powinna zajrzeć do Ewangelii św. Mateusza i wziąć sobie do serca zapisane tam słowa Jezusa do apostoła Piotra: „Schowaj miecz swój do pochwy, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną".

W tej sytuacji nieco absurdalnie i groteskowo brzmi hasło, którym towarzysze broni niedoszłych zamachowców upstrzyli rzymskie mury: „Zemsta będzie straszna". W Internecie włoscy anarchiści opublikowali nekrologi. W jednym napisano: „Sara i Sandro zginęli w akcji, stracili życie, walcząc. Wojna społeczna to nie spektakl, styl życia czy subkultura. To wojna! Oboje są światłym przykładem nierozerwalnego związku między ideą a czynem, który jest inspiracją dla anarchizmu i rewolucjonistów do ostatniego momentu życia i w chwili śmierci. Zachęcamy, by każdy z nas wykonał jeszcze jeden krok do przodu. Musimy się zbroić i działać z determinacją jako aktywny ruch oporu".

Nie lepiej z włoską młodzieżą. 30 marca antyterroryści aresztowali w Perugii 17-latka planującego dokonanie krwawego ataku w szkole na wzór tego, który przeprowadziło w 1999 r. w Columbine High School w Kolorado dwóch 18-latków, zabijając 13 uczniów i nauczyciela oraz raniąc 20 innych osób. Ten atak zainspirował amerykańskich młodzieńców do przeprowadzenia aż 70 podobnych. Zjawisko w USA nazwano efektem Columbine.

Aresztowany w Perugii 17-latek miał w domu ładunki wybuchowe, a w komputerze poradniki typu „Jak skonstruować pistolet maszynowy", „Jak zbudować bombę" (konwencjonalną i chemiczną). Co więcej, wraz z siedmioma włoskimi rówieśnikami należał do międzynarodowej neonazistowskiej grupy Werwolf Division na Telegramie. Wniosków nie mam. Mam stracha. ©℗

DEKAMERONKI

Popisowe zakupy

JERZY KARWELIS

Przestrzegając zaniedbywanej zasady tropienia końca wątków z przeszłości z gorzką satysfakcją „a nie mówiłem?", odnotowuję przegrany proces rządu polskiego z firmą Pfizer, dotyczący nieodebrania i nieopłacenia zamówionych przez gabinet PiS szczepionek. W swoim „Dzienniku zarazy" pisałem (i nie byłem w tym odosobniony), że kupowanie trzeciej partii 89 mln szczepionek w roku 2021, kiedy w magazynach zalegało niewykorzystanych 30 mln dawek, w drodze zaś – w ramach zamówienia drugiego – było 109 mln – to szaleństwo. Należy przypomnieć, że dawało to ponad sześć dawek na każdego Polaka, dwudawkowej, podobno, szczepionki. Po co zamawiano dodatkowe dawki, skoro tyle leżało w magazynach? Ano okazuje się, że nie tyle nie wiadomo dlaczego, ile okazało się, że winien jest tu za każdym razem kto inny.

W końcu belgijski sąd zasądził nam nie tylko 5,644 mld zł do zapłaty, lecz także konieczność odebrania 64 mln zamówionych dawek szczepionki, która nie wiadomo, do czego ma służyć, ale zapewne natychmiast zostanie wylana do jakiegoś chyba gigantycznego zlewu. Dowiedzieliśmy się też, jakie były argumenty polskiej strony rządowej, że nie zapłaciliśmy wtedy. Otóż okazało się, że nie płacimy z powodu… wojny na Ukrainie. No fakt, wojna na Ukrainie w jeden dzień odwołała COVID, Polacy przestali umierać i rzeczywiście – zamówiona szczepionka wtedy na nic. Ale sąd belgijski tego nie zrozumiał.

Już nawet nie chce mi się rozstrzygać, kto zawinił: czy PiS-owski rząd (to wersja KO), czy Komisja Europejska (wersja PiS), przymuszając biedny gabinet Morawieckiego do wspólnych zakupów, czy też ponadplemienny medialny szantaż, by kupować, ile się da, bo zaraz wszyscy pomrzemy. Najważniejsze, co wynika z tego przypadku, to pokaz stanu sporu politycznego w Polsce. Otóż wcześniej, za pandemii, opozycyjna wtedy PO (dziś KO) podkręcała ciśnienie, strasząc ludność, że rząd PiS ma krew na rękach, bo nie walczy z wirusem. Właśnie to samo wtedy robiono z wmuszaniem zakupu szczepionek. I teraz ta sama PO (dziś KO) mówi, że PiS nakupował tych szczepionek jak głupi Jasio pączków.

To nawet nie hipokryzja, że wcześniej wymuszano medialnie takie zakupy, by obecnie, po zmianie władzy, je krytykować. To normalka. Najgorsze jest to, że nic dla ludzi z tego nie wynika. Trzeba będzie zapłacić karę wielkości rocznego budżetu na walkę z rakiem. Za decyzje, które wtedy podjęła de facto cała klasa polityczna. I co z tego, że teraz jedni na drugich zwalają winę? Kwintesencja PO-PiS. Jest jak u Reja: „Ksiądz pana wini, pan księdza. A nam prostym zewsząd nędza". ©℗

eprasa.pl d22c75f697

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Zniszczył wielkie państwo

Zdumiewające słowa wypowiada ostatnio Donald Trump. Szczególnie godne uwagi były jego pogróżki, poprzedzające niespodziewaną decyzję o przystąpieniu do negocjacji z Iranem. „Dzisiaj w nocy zginie cała cywilizacja i nigdy już nie powróci. Nie chcę, żeby tak się stało, ale najprawdopodobniej tak będzie" – napisał amerykański prezydent w mediach społecznościowych. Wcześniej nazwał on irańskich przywódców „zwierzętami" i zapowiedział cofnięcie całego Iranu do „epoki kamienia łupanego".

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Okazuje się jednak, że rozmowy ze zwierzętami, tradycyjnie prowadzone podczas świąt Bożego Narodzenia, możliwe są także w Wielkanoc. Wprawdzie ostatnie dwie rundy tego rodzaju pogaduszek zakończyły się rzezią irańskich negocjatorów, miejmy jednak nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Do trzech razy sztuka – głosi polskie przysłowie. Najnowsze negocjacje odbywać się będą w stolicy Pakistanu. Państwo to jest od dawna największym, obok Rosji, globalnym sojusznikiem Chin, z powodzeniem wykorzystującym chińskie wyposażenie wojskowe, rakiety przeciwlotnicze i samoloty. Daje to pewną nadzieję, że przynajmniej w Islamabadzie nikt negocjatorów nie zbombarduje.

Negocjacje toczyć się będą w oparciu o 10-punktowy plan, przedstawiony przez Iran, który, zdaniem Donalda Trumpa, stanowić zaczął „podstawę do konstruktywnych negocjacji". Opinia ta stoi w sprzeczności z buńczucznymi oświadczeniami amerykańskiego prezydenta, jakoby wojna z Iranem została już wygrana, a jego zdolności wojskowe trwale unicestwione. Irańska „podstawa do konstruktywnych negocjacji" zawiera takie punkty, jak wycofanie wojsk USA z Bliskiego Wschodu, zdjęcie z Iranu wszystkich sankcji, wyrażenie zgody na rozwój pokojowego programu nuklearnego, a nawet wypłacenie Iranowi reparacji za zniszczenia wojenne.

Można odnieść wrażenie, że strona wygrywająca wojnę nieczęsto pochyla się „konstruktywnie" nad żądaniem wypłaty reparacji, a także podejmuje negocjacje w stolicy sojusznika swoich geopolitycznych rywali. Jest to zjawisko równie tajemnicze jak fakt, że nieistniejąca, zdaniem Donalda Trumpa, irańska obrona przeciwlotnicza zdołała niedawno zniszczyć co najmniej kilka nowoczesnych amerykańskich myśliwców. Strach doprawdy pomyśleć, jakie straty ponieśliby w tej wojnie Amerykanie, gdyby irańska obrona przeciwlotnicza pozwoliła sobie zaistnieć.

Trudno jest prognozować, jak potoczą się amerykańsko-irańskie rozmowy. Mogą one być nadzwyczaj złożone, ze względu na rozbieżne oczekiwania obu stron. Negocjacje mogą okazać się bolesne dla sojuszników USA w regionie Bliskiego Wschodu, którzy ponieśli ostatnio bardzo wymierne straty. Czy także oni liczyć mogą na reparacje od „zwycięskiego" sojusznika? Masowa turystyka i inwestycje w luksusowe nieruchomości, które, obok przemysłu naftowego, stanowić miały podstawę gospodarek regionalnych krezusów, okazały się pustynnym mirażem. Milionerzy kupujący wille na sztucznej wyspie w kształcie palmy, nazwanej Palm Jumeirah, dowiedzieli się właśnie, że nazwa ta oznacza po arabsku „płonące węgielki", a ich pieniądze powędrowały w większości „na palmę".

W starożytności znana była powszechnie historia lidyjskiego króla Krezusa, który stał się symbolem niewyobrażalnego bogactwa. Wyrocznia delficka przepowiedziała mu, że jeśli wyprawi się przeciw Persom, to „zniszczy wielkie państwo". Upojony bogactwem i pychą król zniszczył je rzeczywiście – choć było to państwo własne, pokonane przez perskiego króla Cyrusa. Historia ta służyła za naukę, jak katastrofalne skutki przynosi pycha władców. Uważano ją też za przykład „ironii tragicznej", z jaką do ludzkich losów odnosili się bogowie. Irańska awantura Donalda Trumpa przybiera na naszych oczach formy tak tragiczne, jak groteskowe. Tragiczna jest w niej niestety śmierć setek osób cywilnych – ofiar zbrodni wojennych, popełnianych na wszystkich frontach konfliktu. Dalszy los amerykańskiego Krezusa pozostaje niejasny. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ekumenizm i oszustwa

Aby wykryć oszustów kupujących na wolnym rynku prace magisterskie, wcale nie trzeba programów antyplagiatowych. Opieram się na własnym doświadczeniu dydaktycznym. Pamiętam sytuację sprzed kilkunastu lat w jednej z poznańskich uczelni, gdzie po raz pierwszy zetknąłem się z twardą rzeczywistością pt. „Dynamiczny wzrost skolaryzacji na poziomie wyższym". Pojawił się na moim dyżurze student, którego ani razu nie widziałem na moim seminarium magisterskim. Przyszedł już z oprawioną pracą. Od razu włączył mi się w głowie system wczesnego ostrzegania przed oszustami.

„To może przyjdę za tydzień, jak już Pan przeczyta pracę" – zaproponował magistrant. „A po co marnować czas? Proszę usiąść. Zaraz ocenię tę pracę" – odpowiedziałem. Przeszedłem od razu do badania antyplagiatowego. „Używa Pan w pracy pojęcia »ekumenizm«. Co ono oznacza?". Skonfundowany student po dłuższej chwili wahania odpowiedział: „Nooo, ekumenizm to stosunek Kościoła do ekonomii".

Mój prywatny system antyplagiatowy zadziałał perfekcyjnie. Pozostało mi tylko spytać magistranta oszusta: „Kto i za ile napisał Panu tę pracę". „No, korzystałem z pewnej pomocy" – rzekł łowca dyplomu. „W takim razie rozwiązanie jest takie. Pracę oceniam na ocenę dobrą, przy czym ocenę dzielimy przez liczbę osób zaangażowanych w jej powstanie, czyli na wykonawcę i zamawiającego" – zaproponowałem. Oszust z arytmetyką nie miał problemów. Zabrał pracę i już się nigdy na moim seminarium ani na moim dyżurze nie pojawił.

Nie chcę przez to powiedzieć, że to za sprawą incydentu z magistrantem oszustem słowo „ekumenizm" kojarzy mi się z oszustwem. W tej sprawie zupełnie inne szatany były i są czynne. Znacznie groźniejsze od klienta firm oferujących „konsultacje przy pisaniu prac magisterskich" (tak to się teraz nazywa w internetach). Ten oszust próbował zwieść jedynie niedoszłego promotora.

Szef izraelskiego rządu w orędziu do współobywateli wprost porównał bombardowania Iranu przez lotnictwo swojego kraju do plag egipskich

Architekci współczesnego ekumenizmu usadowieni w strukturach kościelnych są znacznie groźniejsi. Do wznoszonego przez nich gmachu – jak świadczy niedawny list Episkopatu Polski w sprawie judaizmu oraz Żydów – trzeba zbliżać się z maseczką (czytaj: z wiarą Kościoła potwierdzoną przez dwóch papieży w deklaracji „Dominus Iesus" z 2000 r.), by nie omdleć z powodu siarczanych miazmatów występujących tam w silnym stężeniu.

Bóg jest Panem historii i dlatego „potęga wydarzeń", która raz po raz objawia swoją zadziwiającą moc, nie jest dziełem przypadku. Niemal tydzień po opublikowaniu wspomnianego dziwacznego listu polskich biskupów władze Izraela zakazały w Niedzielę Palmową łacińskiemu patriarsze wstępu do Bazyliki Grobu Świętego w Jerozolimie. W kolejnym tygodniu w przesłaniu skierowanym do swoich współobywateli z okazji zbliżającego się święta Paschy szef izraelskiego rządu wprost porównał bombardowania Iranu przez lotnictwo swojego kraju do plag egipskich, które, zsyłane na kraj faraonów przez Boga, umożliwiły narodowi wybranemu wyjście z domu niewoli.

Przesłanie analogii zastosowanej przez premiera Netanjahu było jasne: plagi irańskie są dziełem siły wyższej. To Erec Izrael występuje w roli Wszechmocnego Jahwe karzącego tym razem Iran, a zabicie duchowego przywódcy republiki islamskiej należy traktować na równi z ostatnią plagą egipską, gdy Anioł Śmierci przeszedł w noc wyjścia, zabijając wszystko pierworodne w ziemi egipskiej. Mamy więc do czynienia nie tylko z narodem wybranym, lecz także z państwem wybranym.

Zamknięcie Bazyliki Grobu Świętego dla łacińskiego patriarchy Jerozolimy i orędzie premiera Netanjahu to jakby głos Pana wydarzeń klarownie komentujący mętne wywody zawarte we wspomnianym liście episkopatu, w którym próżno szukać przypomnienia, że od czasu Męki i Zmartwychwstania Pańskiego, od chwili Zesłania Ducha Świętego wszystkie narody są wybrane; próżno szukać w tym liście odniesienia do słów Boga – Człowieka skierowanych do apostołów oraz ich następców noszących mitry biskupie: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, poczynając od Judei i Samarii". Wszystkie narody, które są na równi wybrane i na równi potrzebują odkupienia. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

INNY PUNKT

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W amerykańskiej sieci poznikały teorie spiskowe. Nie dlatego, że ktoś je usunął – poznikały, bo przestały być „spiskowe", a zrobiły się normalne. Weszły do mainstreamu i już nie jest obciachem rozmawiać otwarcie o tym, że ktoś nie wierzy w lot na Księżyc, że ktoś uważa, że Żydzi rządzą światem, że pandemia to była ściema, a „szczepionka" na COVID powoduje śmiertelne powikłania oraz że te smugi na niebie są generowane celowo.

To się stało nagle – przejście wiodących teorii z kategorii „spiskowe" do kategorii „uprawniony punkt widzenia" nastąpiło po rozpoczęciu wojny w Iranie. Ludziom się chyba zbierało od dawna, a gdy Trump rozpoczął wojnę, to się z nich masowo wylało to wszystko, co wcześniej wstydliwie ukrywali. Zniknął wstyd, już nie ma obciachu, gdy ktoś publicznie deklaruje, że nie wierzy w oficjalną wersję czegokolwiek.

***

Ludzie mają teraz do pomocy sztuczną inteligencję, co bardzo przyspieszyło sprawdzanie wielu rzeczy. Smugi na niebie: są w sieci strony, na których można śledzić lot dowolnego samolotu. I w ten sposób można też wyśledzić samoloty, które latają jak traktor po polu – w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Ich ślad na radarze przypomina coś w rodzaju drabinki lub kaloryfera. W jakim celu samolot miałby latać w taki sposób? Odpowiedź oficjalna: robi zdjęcia do map. Tak? A po cholerę to robi samolot, skoro mamy satelity? I dlaczego ten samolot robi to trzy razy w tygodniu? I dlaczego akurat za tym samolotem zostaje smuga na niebie, a kilka innych samolotów rejsowych, które przeleciały w tym samym czasie na tej samej wysokości, nie zostawiło smug?

Siedzi pasjonat od teorii spiskowych w Oregonie, patrzy w niebo i porównuje z tym, co na jego laptopie wyświetla radar z sieci. A na dokładkę sztuczna inteligencja potrafi wyszperać stare filmy z przesłuchań w Kongresie i ONZ, gdzie różne osobistości rządowe przyznawały wiele razy, że władza realizuje programy rozpylania świństwa w atmosferze.

***

Lot na Księżyc okazał się porażką medialną. NASA zalicza różne wpadki po kilka razy dziennie. Komentarz typowy: Rakieta Artemis II osiągnęła najdalszy dystans od Ziemi bez opuszczania studia w Hollywood.

Ludzie mają rację, że nie wierzą w ten lot. Zdjęcia z kamer zamontowanych na rakiecie są gorszej jakości niż zdjęcia robione na Księżycu w roku 1969. A wtedy jeszcze nie było fotografii cyfrowej, lecz wszystko na kliszy.

Gdy się pojawiają zdjęcia dobrej jakości, wówczas widać, że nie są prawdziwe, lecz zmontowane w komputerze. Foto rzekomo wykonane przez okno rakiety: Na pierwszym planie piękna kula ziemska, dalej za ziemią widać Księżyc i on też jest piękny. Wszystko bardzo ostre, kolorowe. Tylko dlaczego, gdy stoję na ziemi i patrzę na Księżyc, to on jest mały, a gdy latam w kosmosie i jestem daleko od ziemi, i dalej od Księżyca niż kiedykolwiek, to ten Księżyc jest taki duży? Z tej perspektywy powinien być malutki, mniejszy, niż gdy go oglądam, stojąc na ziemi.

A czemu na większości zdjęć z kosmosu nie widać gwiazd na niebie? Gdy stoję na ziemi i mam nad głową zapyloną atmosferę, mimo wszystko widzę gwiazdy. Czemu na zdjęciach robionych w kosmosie, w próżni, widać tylko Ziemię i Księżyc, ale nie ma gwiazd?

NASA przez przypadek opublikowało zdjęcia powierzchni Księżyca, a w oddali na niebie widać… Księżyc. Ups. Zdjęli to foto, poprawili, podmienili Księżyc na obrazek Ziemi i wywiesili ponownie. Ślady w sieci pozostały – ludzie to sobie przesyłają.

Ludzie oglądają też stare filmy. Na przykład transmisję stacji CBS z 3 czerwca 1966 r. rzekomo z kosmosu. Astronauta wisi na sznurku, pod nim model rakiety… Wtedy telewizory były słabe i czarno-białe, więc może ktoś się nabrał, ale gdy oglądamy tę taśmę dzisiaj, widać, że to nie jest film z kosmosu, że lina, którą astronauta jest połączony z rakietą, zachowuje się jak nasz szlauch ogrodowy, a przecież powinna pływać w stanie nieważkości. Kłamali wtedy, kłamią i dziś, a ludzie w Ameryce dzielą się na tych, którzy:

1. Nie wierzą w wyprawę na Księżyc.
2. Wcale ich to nie obchodzi.

Przykrywanie afery Epsteina wojną w Iranie nie wyszło, to lecimy na Księżyc, ale to też nie wyszło. Druga w historii ludzkości wyprawa na Księżyc, a oni wysyłają jakieś kompletne nołnejmy: przypadkowa baba, nieznany Murzyn i biały Kanadyjczyk dla ozdoby. Jest zupełnie inaczej niż w latach 60., gdy cały świat śledził lot, a wcześniej wszyscy znali twarze i nazwiska astronautów.

***

YouTube oznaczył mój kanał ostrzeżeniem „Far right conspiracy theorist". Nie wiem, co dokładnie mają na myśli – czy chodzi o specjalistę od teorii spiskowych czy o wyznawcę teorii spiskowych. Nie wiem, jak ten ich zapis usunąć i już nie próbuję. Zawiera trochę prawdy – jestem skrajny, bo z powodu wieku mam coraz mniej czasu na zabawę w niuanse; mam poglądy prawicowe i lubię studiować teorie spiskowe, bo się sprawdzają częściej niż te drugie.

Pandemia to była ściema. Ktoś uważa inaczej? To niech sobie przypomni, jak w kwietniu roku 2020 w trosce o nasze zdrowie zakazano w Polsce wstępu do lasu. Spacer po lesie uznano za zagrożenie dla zdrowia i życia. Który to ekspert doradzał wtedy Morawieckiemu? Wolę szczerą wymianę poglądów z płaskoziemcą niż z tym ekspertem.

***

W prawdziwej nauce nie ma trwałej zgody na nic. Właśnie na tym polega nauka, że kwestionujemy obecny stan wiedzy i staramy się odkryć nowe. W nauce nie ma jednej obowiązującej teorii, nauka to spór. Czasami jakaś większość ma przewagę, ale nawet wtedy są ci inni – foliarze. Kopernik był foliarzem, a dziś jego teoria jest uznawana przez większość. No ale nie przez wszystkich – są przecież płaskoziemcy z tytułami naukowymi. ©℗

eprasa.pl d22c75f697

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. JERZY JASTRZĘBSKI: „DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ", GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTIAN KRATIUK, PAWEŁ LISICKI: „ŚWIAT I KOŚCIÓŁ W KRYZYSIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~763~~ ZŁ

309,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 454 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl d22c75f697

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HORROR RABACJI GALICYJSKIEJ

Szał Szeli – w trakcie rabacji galicyjskiej rozegrały się sceny, jakich na ziemiach polskich nie widziano od czasów powstania Chmielnickiego i koliszczyzny. Szlachtę mordowano z wyjątkowym bestialstwem.

Stalowy filantrop – Andrew Carnegie był najbardziej wpływowym filantropem w dziejach. Amerykański bogacz odegrał też pewną rolę w promowaniu sprawy polskiej.

Kozielska wojna nerwów – film „Pojedynek" pokazuje, jak Sowieci starali się pozyskać agenturę wśród polskich jeńców. Zważywszy na skalę podjętych działań, „urobek" enkawudzistów był dosyć mizerny.

Czmychający Bierut – namiestnik Stalina nie mógł darować młodzieży upokorzenia, które przeżył w Szczecinie podczas uroczystości państwowych.

Kod Voynicha – konspirator, Sybirak i rzutki przedsiębiorca zasłynął jako posiadacz tajemniczego manuskryptu z późnego średniowiecza.

Burzliwa młodość geniusza – wydawać się mogło, że wielka kariera stoi otworem przed młodym da Vinci. Wtedy jednak doszło do wydarzenia, które omal nie zakończyło się dla niego tragicznie.

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl d22c75f697